

EX LIBRIS



A SOMASZENSKIEGO

1035.





1 1172

A. Tomaszewski 1035

WYBÓR NOWEL

1870

WYBÓR NOWEL  
ZAGRANICZNYCH AUTORÓW

TEÓMACZYŁ

ZYGMUNT KŁOSNIK



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1903

13 99436

WOLNYA HONNY MUDAN

WOLNYA HONNY MUDAN



lit 13

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie.

K 109/64/15

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

21-0 64/15



ANATOL FRANCE.

---

## GWARDZISTA.

Wychowując się w dzielnicy Woltera w pyle książek i starych rupieci, pośród miłośników starożytności i różnego rodzaju szperaczy, znałem w moich młodocianych latach zbieraczy fajansów, broni, sztychów, medali. Znałem takich, co szukali tylko wyrobów z żelaza i takich, dla których jedynie wyroby drewniane przedstawiały wartość; znałem bibliofilów i bibliomanów i wcale nie mogę powiedzieć, żeby ci ludzie zasługiwali na żarty pospólstwa. Zapewniam was, że wszyscy odznaczyli się poczuciem piękna, niepospolitym umysłem, wzorowymi obyczajami i nic też dziwnego, że sympatya moja dla nich datuje się od moich lat dziecińczych...

W czasach, kiedy byłem najbiedniejszym, najbojaźliwszym, najniezręczniejszym i największym marzycielem ze wszystkich retoryków, dnie mego urlopu przepędzałem z rozkoszą u młodego Leclerca, handlującego starożytną bronią w małym, niskim sklepiku na wybrzeżu Woltera.

Leclerc młody był już wówczas stary. Mały ten człowiek z najeżoną czupryną, kulawy, opasany szarym fartuchem, polerował nieustannie stare szpady, które, nieszkodliwe już teraz, odczyszczane jego pracowitemi

rękami, miały spocząć kiedyś w zbrojowni jakiego zamku. Sklepienie jego pełne było halabard, przyłbic, szyszaków, ryngrafów, pancerzy i ostróg i przypominam sobie, że widziałem tam także tarczę z XV wieku, całą pokrytą różnymi napisami, jeden z najpiękniejszych z pewnością zabytków rycerstwa. Były tam klingi z Toledo i nieskończone misterne broje saraceńskie. Te hełmy owalne z tak delikatnymi jak muszlin stalowymi siatkami, te puklerze nabijane złotem, budziły podziw w moim umyśle dla tych świetnych i strasznych emirów, walczących z chrześcijańskimi władcami. I jeżeli teraz jeszcze znajduję tyle przyjemności w czytaniu tragedii »Zaira«, to z pewnością dlatego, że w tej wspaniałej zbroi widzę bohaterskiego a nieszczęśliwego Orosmana.

Hełmy i pancerze »młodego« Leclerca nie pochodziły może z czasów wojen krzyżowych, w jego sklepieniu jednak, bujna wyobraźnia moja dopatrywała się nawet zakrzywionej szabli Saladyna.

Wypływało to z mego marzycielstwa, a przyznać muszę, że fantazyi mojej wcale nie podniecał właściciel sklepienia. Dużo pracował a niewiele mówił. Nigdy nie słyszałem, żeby broń swoją chwalił, oprócz dwóch czy trzech mieczów, które uważał, jako niezwykłe okazy.

»Młody« Leclerc, dawny gwardzista królewski, był uczciwym, przez swoich klientów bardzo poważanym człowiekiem.

Jednym z jego najgorętszych zwolenników był pan de Gerboise, zagorzały rojalista, uprzyjemniający sobie starość dekorowaniem swojej zbrojowni historycznymi mieczami, a któremu »młody« Leclerc przypominał czasy przebytego w roku 1832 powstania szuanów. Ten starzec, gwardzista Karola X, niewyczerpany był w swoich opowiadaniach o dworze i jego genealogii, wygłaszanych donośnie w jakiś dawny, wydawało się, sposób, który jednak w istocie był tylko prowincjonalnym. Pan

de Gerboise był typowym szlachcicem z czerwoną twarzą pod bujnymi, siwymi włosami, wysoki, otyły, dumny jeszcze ze swoich łydek, najokazalszych niegdyś w Królestwie około roku 1827 — jak sam zapewniał, klnąc się na Boga i wszystkich świętych — porywczy i hardy, pobożny a zawadyaka i birbant. Bawił mię nieskończenie jędrnością swoich wyrażań i obfitością anegdot.

Leclerca traktował z pewnem poważaniem, jako także dawnego królewskiego gwardzistę.

Doszedłszy do wieku, w którym zwykle utracą się wszystkich towarzyszków z lat młodych, stary szuan z roku 1832 przypominał sobie z przyjemnością wobec starego żołnierza przebyte wspólnie chwile w czasach Restauracyi.

Wieleż to razy skurczony w moim kącie słyzałem ich rozprawiających o rewolucyi z roku 1830 i o podróży królewskiej z Cherbourga. Rozmowa ta kończyła się zwykle wykrzyknikiem pana de Gerboise:

— Marszałek Maison, cóż to był za gałgan!

A Leclerc nie omieszkał dodawać:

— Całymi dniami, panie margrabio, byliśmy skazani na żywienie się kartoflami, o które sami staraliśmy się w polu. Podczas jednej z takich wypraw, jakiś chłop tak poczęstował mię widłami, że stałem się kaleką.

Tyle zyskał w służbie królewskiej, a przecież nie przestał być rojalistą i w szufladzie swojej komody przechowywał starannie strzępek białego sztandaru, którym pułk podzielił się na dziedzińcu zamku Rambouillet.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia pan de Gerboise zapytał swoim podniesionym głosem:

— Leclerc, gdzieżeście wy stali załogą w lecie 1828 roku?

Puszkarz, podnosząc głowę z nad swego warstatu, odpowiadał:

— W Courbevois, panie margrabio.

— Doskonale. Znałem pańskiego pułkownika, małego de la Morse, którego synowie zajmują dziś stanowiska dworskie.

I pogardliwym ruchem ręki wskazywał na zamek, którego długie skrzydło, dominujące po drugiej stronie rzeki, widać było przez okno.

— Ja, mój kochany Leclerc, w lipcu 1828 roku służyłem jako gwardzista w zamku Saint Cloud, przy drugiej kompanii z zielonymi wyłogami... Ach! do kaduka! nie nosiliśmy takich maskaradowych kostyumów, jak tych stu gwardzistów pana Bonapartego. Żołnierzy stojących na straży tronu, przekształcać w ptaków rajskich, to pomysł godny dorobkiewicza. My, mój stary Leclerc, nosiliśmy srebrne kaski z czarnymi, jedwabnymi sznurami i białymi piórami, niebieski mundur ze szkarłatnym kołnierzem, epolety, klamry u pasów, srebrne hafty, pantalony z białego kaszmiru.

A uderzając się silnie po łydce, dodawał:

— Buty ze sztylpami... W dwudziestym roku życia gwardzista drugiej klasy w randze porucznika... co wieczora schadzka i jeden pojedynek na tydzień... Nie mogłem się uskarżać. Ach! Leclerc, dobre to były czasy!

— Tak, panie margrabió — odpowiadał przyciszonym głosem puszkarz, nie przestając polerować klingi. — Tak, dobre to były czasy w całym tego słowa znaczeniu, pomimo, że czułem się czasem nieszczęśliwym z łaski moich towarzyszków kwatery od chwili, kiedy w moim tornistrze znaleźli gramatykę. Bo muszę panu margrabiemu powiedzieć, że chcąc się w pułku nauczyć poprawnie francuskiego języka, kupiłem sobie za oszczędności z mego żołdu gramatykę. Ale ludzie śmiali się i szydzili ze mnie.

— Mieli poniekąd słusność — mówił poważnie pan de Gerboise. — W twoim stanie, mój przyjacielu, nie miałeś potrzeby uczyć się gramatyki. To tak samo, jak-

bym ja chciał w moim stanie nauczyć się hebrajskiego. Mój komendant, hrabia d'Audive byłby mię wyśmiał i miałby zupełną słusność. Otóż, mówiłem ci, Leclerc, że byłem przydzielony do służby w Saint-Cloud... w niebieskim mundurze i białych pantalonach, bo to było lato. W zimie nosiliśmy pantalony niebieskie, takie same jak mundur.

— Tak samo jak my — wtrącił puszkarz. — W lecie nosiliśmy pantalony płócienne.

— Tak — potwierdził margrabia. — Nie było to ładne w waszem umundurowaniu, ale wcale wam nie przeszkadzało być dzielnymi ludźmi, a jeżeli zrobiłem tę uwagę, mój kochany Leclerc, to nie dlatego, żeby cię zasmucić. Otóż, kiedy z ciebie szydzono na kwaterze w Courbevois, mnie przydzielono do służby w Saint-Cloud. Pewnej nocy, gdy stałem na warcie pod królewskimi oknami, zobaczyłem coś takiego, czego nigdy nie zapomnę.

— Wszystko było w porządku. Sztandar powiewał na zamku. Kapitan oddziału, w randze generałporucznika, spał wygodnie w swem łóżku z kluczami pod poduszką. Głos świerszczów rozchodził się wśród uroczystej ciszy nocy a księżyc, wysuwając się z poza drzew, srebrzył aleje pustego parku. Z muszkietem na ramieniu, dumałem naprzeciwko balkonu o moich sprawach i przyjemnościach. Naraz, spostrzegam otwierające się drzwi od sypialnego pokoju króla i ukazującego się na balkonie Karola X w nocnej czapce i szlafroku z materji w kwiaty. Księżyc i gwiazdy rozsiane na niebie oświetlały jego wielką, szlachetną postać. Z uchylonemi na pół, jak zwykle, ustami, taki smutny miał wyraz twarzy, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem u niego. Wpatrywał się, to w księżyc, to w coś, co trzymał w lewej ręce a co wydało mi się medalionem. Potem, medalion ten zaczął czule całować, wyciągając prawą rękę

ku gwiazdom, jakby je wzywał na świadków. Łzy spływały po jego policzkach. Widokiem tym tak byłem przejęty, że lufa muszkietu podskakiwała na mojem ramieniu. Spojrzenia i pocałunki trwały dość długą chwilę. Wreszcie, król wrócił do swojej sypialni i słyszałem jeszcze, jak drzwi zamykał za sobą.

— Leclerc, czy na mojem miejscu nie byłbyś wzruszony widokiem tego starego króla, całującego jakiś portret, może włosy, czy jakąś inną pamiątkę po kobiecie i księżyc wzywającego na świadka swojej wierności, przywiązania i cierpień? Biedny król! Księżyc tylko wówczas znał jego zawsze jeszcze świeże uczucia!

— Pewny jestem, Leclerc, że tej nocy pamiętnej, Karol X myślał o pani de Polastron, która go kochała kiedy był jeszcze świetnym hrabią d'Artois, która spieszyła na spotkanie z nim, kiedy w armii Kondeusza pędził mizerny żywot wygnańca i pod namiotem, w otoczeniu żołnierzy, składała mu w ofierze swoje brylanty, klejnoty, złoto i honor. Cóż ty myślisz o tem, Leclerc?

Puszkarz kiwał głową. Widoczne było, że nie o tem myślał w tej chwili.

Pan de Gerboise mówił dalej ożywiony:

— Tak, lubię wspominać, Leclerc, że owej nocy w Saint-Cloud, w trzydzieści pięć lat po śmierci pani de Polastron, Karol X opłakiwał swoją najlepszą przyjaciółkę. Żal jego istotnie był słuszny... Leclerc, my jesteśmy w błędzie, przywiązując jeszcze wartość do naszego życia.

— Dlaczegoż to, panie margrabió? — zapytał puszkarz.

— Bo, mój przyjacielu, nie warto żyć na świecie, jeżeli już na nim nie można rozkoszować się miłością. A wreszcie, nie zobaczymy już królów naszych...

Od tego czasu wyrobiłem sobie pojęcie, że Karol X był jednym z najsłabszych charakterów i jedną z naj-

słabszych głów na świecie. Dużo potem czytałem o jego życiu i nic w niem nie odkryłem takiego, coby mu mogło zaszczyt przynosić.

Anegdotę o starym królu w nocnej czapce, wzdychającym do księżycy, podaję jako jeden z charakterystycznych momentów jego życia.



F. BRADY.

## SENZACYA.

(Z angielskiego).

Pewnego gorącego, sierpniowego wieczora śpieszyło mnóstwo, potem zlanych, osób do teatru »najwięcej uczęszczanego w Ameryce« — tak przynajmniej głosiły afisze. Dzienniki zaznaczyły w swojej »kronice miejscowej« ogólne pustki w mieście i zamknięcie wszystkich teatrów z wyjątkiem Rozmaitości. Wyludnienie przecież nie było zupełne, czego najlepszym dowodem ten tłum, złożony z dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych części pozostałej w mieście ludności. Letnie ceny, brak innych rozrywek ściągnęły zapewne tych żądnych wrażeń ludzi do »świątyni wyborowych produkcji«.

Program odznaczał się zarówno różnaitością, jak i starannością w układzie pojedynczych numerów. Damy krótko... bardzo krótko ubrane podnosiły rytmicznie nogi w takt tamburina, panowie jeździli na bicyklach bez siodeł, bez pedałów, bez kierownicy, akrobaci obalali wszelkie teorye o równowadze.

Byli śpiewacy obojej płci, kłowni muzycalni, wykolejeni pianiści, monologisci, a na zakończenie zapowiedziano wodewil.

Wieczór upływał, wyczerpywał się program. Chłopaki, roznoszący afisze, zapowiadali Miss Helenę. Podniosła się zasłona. Na scenie panował zmrok; z balkonu jednak, tajemniczy przyrząd rzucił światło oslepiające, ukazując nagle publiczności malutką dziewczynkę.

Mała miss mogła mieć lat sześć. W ubraniu tancerki, w cielistych trykotach, z obnażonymi ramionami, rozsyłała na wszystkie strony całusy małemi rączkami. Zachwycająca była ze swemi niebieskimi oczami, ze złotymi włosami; przebierając małemi nóżkami, wykonywała z przedziwną zręcznością różne piruety. Byłoby to istotnie ładne, gdyby nie było bardzo przykre.

Taka się wydawała miluchna, taka dobra, świeża, taka naturalna w tej dusznej atmosferze sali, że kobiety nie mogły się powstrzymać od głośnych objawów doświadczonej na sam jej widok przyjemności i ukontentowania, a, powiedzmy prawdę, także i mężczyźni. Zachwycono się każdym jej ruchem, a kiedy nareszcie stanęła na końcach swoich nówek zdyszana, czerwona cała, rozsyłając znów całusy, zerwała się w sali istna burza oklasków. Nie było ani jednego ojca, ani jednej matki, którzyby myśląc o swoich, pozostawionych w domu, uśpionych maleństwach, nie szeptali po cichu: »Jaka szkoda! ona powinna spać teraz«. Ale, porwani wdziękiem jej ruchów i urokiem jej małej osobki, mądrzy ci rodzice oklaskiwali ją niemniej gorąco.

Brawa dopiero ucichły, kiedy zgiełk jakiś powstał w tłumie, stojącym poza ostatniemi krzesłami parteru. Jakiś człowiek, pomimo protestów i popychań, starał się przebić przez tę zbitą masę. Wysoki, barczysty brunet o sympatycznym wyglądzie, bladłość jego jednak i dzikie spojrzenia zdradzały gwałtowne wzruszenie.



— Nellie — krzyczał rozpaczliwym głosem, dominującym nad oklaskami. — Czy nie poznajesz mnie, Nellie? Nellie!..

I jak oszalały wyciągał ramiona do dziecka.

Na to wołanie, pełne czułości i bólu, unieruchomiły się ręce. Człowiek przystanął; wszystkie oczy zwróciły się ciekawie ku niemu. Dziewczynka patrzyła na niego zdziwiona, nic nie rozumiejąc. Potem nagle:

— Tatku! Tatku! — zawołała w uniesieniu — zabierz mnie!

Wątplwy głosik słychać wyraźnie wśród ciszy zaniepokojonych widzów.

— Gdzie twoja matka, moje dziecko? — pyta barczysty człowiek.

— Umarła — odpowiada dziecko, zasłaniając ręką oczy, przepełnione łzami. — Jakże się cieszę, że mnie odszukałeś. Oh! zabierz mnie!

— Tak, tak, moja ukochana, zaraz!..

Ojciec próbował znów utorować sobie drogę do sceny. Dwaj dozorczy przyskoczyli do niego, chwytając go za ręce. Pianista wstał od fortepianu i pośpieszył im na pomoc.

— Puście mnie! — wrzeszczał człowiek i rzucał się jak waryat, chcąc się uwolnić z uścisków dozorców. To moja córka, mówię wam, muszę ją mieć!

Wtem zajaśniała scena a równocześnie wysunął się z za kulis jakiś pan z surową i wyniosłą miną. Położył rękę na ramieniu małej tancerki.

— Cóż to takiego? Co znaczy ten skandal? — zapytał. — Jestem impresaryem miss Heleny; powierzyła mi ją matka. Dobrze ją żywię, dobrze ubieram, otaczam staraniem, czegoż chce więcej?

— Chcę mego drogiego tatka! — rzekło dziecko.

— I będziesz go miała, moje drogie dziecko — zapewniał ojciec.

— Nie — oświadczył impresaryo — to nie może być. Dotknięty tem bezwzględnem zaprzeczeniem, człowiek z parteru zwrócił się do publiczności, ażeby się do jej sądu odwołać:

— Szanowni państwo, przyjaciele moi, Nellie jest moją córką... Jej matka porzuciła mnie, uciekła... od lat dwóch nie widziałem dziecka... odkryłem ją tutaj przypadkiem...

— Oddaj mu pan córkę — odezwał się otyły pan z trzeciego rzędu parkietu — w przeciwnym razie...

I podnosząc swoją potężną pięść, gotową do walki, wcale nie dwuznacznie objawił chęć czynnego poparcia swego groźnego wezwania.

Powstało ogólne wzburzenie; panie płakały, panowie naradzali się, krzyczeli na niegodziwego impresaryo.

— Niech ją ojciec zabiera!

— Pan nie masz prawa zatrzymać jej!

— To hańba!

— Precz impresaryo! Obić go!

— Zlynchować!

Wobec tego wrogiego dla siebie usposobienia, nieszczęśliwiec stracił zupełnie pewność siebie i trząśnięty na całym ciele. Dozorcy i pianista wypuścili ojca.

W tym psychologicznym momencie zjawił się dyrektor teatru.

— Panowie i panie, słyszałem wszystko — przemówił, skoro tylko zapanował spokój. — »Rozmaitości« nie wydrą ojcu córki.

Następnie, zwracając się do przedsiębiorcy i przesywając go pogardliwym wzrokiem, rzekł do impresaryo tonem rozkazującym:

— Oddaj pan dziecko ojcu i wynoś się!

Impresaryo skonfundowany, cofając się, wśród śmiechu i drwin tłumowi wykonał swój odwrót za kulisy, dyrektor zaś podszedł do miss Heleny, podniósł ją i od-

dał dziecko ojcu. Ten pochwycił ją z szaloną radością, okrywał pocałunkami i pieścizotami. Ona zarzuciła mu rączki na szyję i tuliła się do niego z główką, opartą na jego potężnem ramieniu.

— Dziękuję panu, panie dyrektorze, wszystkim dziękuję, jestem teraz szczęśliwy...

Tłum się przed nim rozstąpił i uszczęśliwiony ojciec dostał się ze swoim drogocennym skarbem na rękach do drzwi, prowadzących na ulicę. W widowni tymczasem manifestowano entuzjazm, graniczący z szałem, nieskończonymi wiwatami i tupaniem.

Gdy nareszcie uspokojono się trochę, dyrektor bardzo łatwo przekonał publiczność, że żaden z aktorów nie byłby w stanie brać udziału w dalszem przedstawieniu wskutek tej małej, tak szczęśliwie zresztą zakończonej tragedyi. Nikt też nie protestował, nie interesując się już wcale zapowiedzianym wodewilem po tem wielkiem wzruszeniu.

. . . . .

W foyer, w pół godziny później.

— No! Nieźle poszło — zapewniał brunet.

— Wspaniale, cudownie ułożone i nadzwyczajnie odegrane — potwierdził dyrektor. — Spisałeś się, winszuję ci, mój stary.

— A Nellie, co?

-- Zdziwiająca jest ta mała!

— O mało nie rozplakałem się, słowo daję!

— Stworzona na aktorkę, to skarb kiedyś będzie.

— Jest nim już teraz, oszczędziła nam wodewil.

— Ale taka sztuczka może się tylko raz udać w jednym i tem samym mieście. Tu jest sęk!

I dwaj współnicy zabrali się do picia na nowe powodzenie senzacyjnego numeru.



ANDRZEJ THEURIET.

## CHANTERAINÉ.

Administracya dóbr państwowych wysłała mnie do J... w celu załatwienia pewnej sprawy. Bawiłem tam od tygodnia i nudziłem się szalenie. Mieścina ta, wyłącznie rolnicza, leży pośrodku błotnistej równiny, której horyzont zamyka z jednej strony skraj lasu a z drugiej szereg małych nagich wzgórz. Mętny strumyk, Buante, wije się dokoła niej i otacza w części pasmem drżącego sitowia.

W XVI wieku, było J... warownią zaszczyconą obłężeniem Karola V. Ale od czasu, jak Ludwik XIV zbudował mury forteczne, utraciło zupełnie swoją dawną świetność. Dziś, jest to wielka wieś bez żadnego charakteru, z pustemi, źle utrzymanemi ulicami, zabudowanemi jedynie stodołami, stajniami i chłopskimi chatami.

Żadnej rozrywki, żadnego towarzystwa. Wieczorem, po ukończeniu moich czynności i kiedy już upał mniej dokuczał — było to w lipcu — jedyna moja przyjemność polegała na przechadzce po dawnych fosach fortecznych, przeistoczonych na sady, gdzie bujnie na torfowym gruncie rozrośnięte drzewa owocowe dawały nieco chłodu.

Jedna część dawnej warowni zwłaszcza, przyciągała mnie szczególnie swoim dziwnie ponurym wyglądem. W zagłębieniu fosy płynęła leniwie, jakby drzemiąc pod osłoną roślin wodnych, Buante. Oba stoki obsadzone różnego rodzaju drzewami i krzewami, przecinały tu i ówdzie porośniętą trawą, zaniedbane uliczki. Wyżej, na miejscu dawnej baszty, dostrzegało się taras, ciągnący się wzdłuż ściany z cisów i sosen, a pod tą grobowo

ciemną osłoną piętrowy dom mieszczański, pokryty omszałą dachówką z szczelnie pozamykanymi okiennicami. Opustoszałe to domostwo, uosobienie smutku i zaniedbania, nazywało się Chanteraine. I dobrze je nazwano, bo od rana do wieczora żaby, uwijające się między bujną roślinnością Buante'y zawodziły chrapliwym głosem swoje pienia żałośnie.

Zakątek ten miał w sobie coś tajemniczego. Ta drzemiąca woda, ta gęstwina drzew z popłatanami, nigdy nie podcinanymi gałęziami, ten taras podobny do cmentarnej alei, ten dom zamknięty, sprawiały na mnie wrażenie, że ukrywają jakąś tragiczną historię. Codziennie o zmroku, z jakimś rodzajem uporczywości biegłem w stronę Chanteraine'u, a ciekawość moja zwiększyła się jeszcze, kiedy w parę dni odkryłem, że dom, mimo swego pozornego opuszczenia był zamieszkały. O zachodzie słońca, na tle cisów i sosen zarysowała się sylwetka mężczyzny, przechadzającego się tam i napowrót po tarasie urywanymi krokami. Nieznużony samotnik błąkał się jak dusza pokutująca i z nastaniem nocy dopiero kończyło się to nerwowe bieganie, podobne do kręcenia się dzikiej bestyi pomiędzy żelaznymi prętami swojej klatki.

Szczególny ten człowiek zainteresował mnie do tego stopnia, że zapomniałem o najelementarniejszych zasadach przeczności. Czołgałem się po pochyłości szkarpu i przedzierałem się aż do miejsca, skąd mogłem dokładniej obserwować tajemniczego mieszkańca Chanteraine'u. Byłem tak dalece nieostrożny, że w końcu uczułem, że go podpatruję i pewnego wieczora, przerywając swoją przechadzkę, skierowałem niespokojne spojrzenie na gąszcz, w którym się ukrywałem. Zrozumiałem, że zostałem odkryty: w połowie jednak przez miłość własną, a w połowie z ciekawości, nie miałem wcale ochoty uciekać jak złodziej i stanąłem w wyzywającej pozycji.

Nie czekałem długo. Pędził prosto na mnie po zбочy, wymachując nerwowo rękami. Czerwone na zachodzie niebo pozwoliło mi rozróżnić najdrobniejsze szczegóły w całej jego postaci: kamizelkę z zielonawego sukna upiętą skośnie na wełnianym trykocie, twarz wychudłą i poczerniałą, zarośniętą rzadką, rudą brodą, oczy złośliwe, zanadto zbliżone do nosa, usta kurczowo zaciśnięte, o wąskich, bezkrwistych wargach. Zbliżywszy się do mnie na parę kroków, odezwał się głuchym, wściekłość zdradzającym, głosem:

— Co pan tu robisz?... Powinieneś wiedzieć, że posiadłość ta jest prywatną własnością...

Wykręcałem się jak mogłem, tłómacząc się nieświadomością, że dom ten jest zamieszkały. Spojrzał na mnie podejrzliwie i mówił dalej, przybierając groźną postawę:

— A więc, jesteś pan w błędzie! Ja tu mieszkam i nie znoszę, żeby wchodzono do mnie jak do młyna... Nie radzę też wracać tutaj... bo mógłbyś pan pożałować!...

Odwrociłem się od niego i wyniosłem się skonfundowany wcale niegościnnem przyjęciem, na co mię naraziła moja niepomamowana ciekawość. Niemniej jednak, żółte, zezowate oczy i nienawiścią jakąś tchnąca twarz cała, właściciela Chantaraine'u, głębokie na mnie wywarła wrażenie i przy najbliższej sposobności chciałem się czegoś więcej o nim dowiedzieć od mego współmieszkańca w oberży pod *Wielkim Jeleniem*, drogomistrza gminnego.

— Któż to jest, ten właściciel Chanteraine'u? — zapytałem. — Czy zna go pan?

— Agrippart? — odpowiedział — Hm!... nic dobrego... Krąży bardzo brzydka o nim historia. W roku 1870, Prusacy postawili przed sądem wojennym notariusza z I..., pana Nouâtre'a, oskarżając go o znoszenie

się z wolnymi strzelcami, obozującymi w lesie sąsiedniej gminy i zawiadomienie ich o przemarszu oddziału ułanów, granicą lasu. Dwóch żołnierzy z tego oddziału zabito, a notaryusza pociągnięto za śmierć ich do odpowiedzialności. Proces nie trwał długo. Tego samego dnia rozstrzelano Nouâtre'a pod wielkim orzechem, o sto kroków stąd, przy drodze. Zawsze podejrzewano Agripparta, że to on zadenuncyował nieszczęsnego notaryusza, z którym żył w niezgodzie, a więcej jeszcze utwierdza to przypuszczenie to, że Agrippart, któremu aż dotąd powodziło się nieszczęśliwie, nabył Chanterraine w kilka miesięcy po ustąpieniu Prusaków. Prócz podejrzeń jednak, nic więcej przeciwko niemu nie świadczy, a dwaj obywatele tutejsi, którzy się poważyli podejrzeń te rozgłaszać publicznie, źle na tem wyszli. Zaskarżeni przez właściciela Chanterraine'u, dostali się do więzienia za oszczerstwo. Agripparta wzięto jednak w kwarantanę. Unikają go wszyscy, a kupcy tutejsi odmówili mu sprzedaży swoich towarów tak, że we wszelkie potrzeby zmuszony jest zaopatrywać się w mieście. Żyje w swojej żabiarni jak parias, sam na sam z wyrzutami sumienia... jeżeli je ma.

Współmieszkaniec mój, gdy nalegałem, żeby mi więcej jeszcze powiedział, potrząsnął znacząco głową.

— Dosyc, — rzekł. — Im mniej się o tem mówi, tem lepiej... Agrippart jest mściwy... Zresztą, jeśli pan chce bliższych szczegółów, zwróć się pan do pani Salorne, naszej gospodyni... Była pokojówką u notaryusza, kiedy się stało nieszczęście i ona coś więcej wie o tem odemnie.

Nazajutrz poszedłem zobaczyć orzech, pod którym rozstrzelano notaryusza. Żadnej tabliczki, nic, coby przypominało tę straszną egzekucyę, nic, prócz śladów kul wydobytych z pnia. Orzechowi nic to nie zaszkodziło, rósł dalej rozkosznie i bujnym pokrywał się liściem.

Pod tem drzewem, gdzie straszną popełniono zbrodnię, odrażająca twarz właściciela Chanteraine'u stanęła mi żywo przed oczyma, a młodzieńcze oburzenie zbudziło we mnie pragnienie zemsty.

Wróciłem do oberży z postanowieniem wyświecenia tej niejasnej sprawy.

Los sprzyjał widocznie moim zamiarom, gdyż zaraz po powrocie zastałem wdowę Salorne w kuchni samą, z czego korzystając, zagadnąłem ją wprost o dramat z roku 1870. Salorne bynajmniej nie zdradziła chęci zaspokojenia mojej ciekawości; odpowiedzi jej były wymijające i co chwila zwracała na inny przedmiot rozmowę. Zrozumiałem, że naleganiem nic tu nie poradzę i że należy pomyśleć o innym środku. Przypatrywałem się wdowie uważniej. Mogła mieć lat trzydzieści pięć, była świeża jeszcze, zalotna, wcale powabna, a często występujące na jej policzkach rumieńce, wilgotny blask jej oczu niebieskich, wyraźnie wskazywały, że ciążyło jej wdowieństwo i że nie wyrzekła się jeszcze chęci podobać się. Postanowiłem zalecać się do niej. Byłem młody, ona nie była dzika i w parę dni zaskarbiłem sobie zupełnie jej względy.

I tak, podczas jednego z naszych sam na sam, w porze, kiedy nikt czułych wyznań kochankom zakłócić nie może, podjąłem z nią na nowo rozmowę o rozstrzelanym notaryuszu i podejrzeniach, ciężących na Agripparcie.

Zasypana pytaniami, przeplatanemi pocałunkami, opowiedziała mi w końcu:

— A więc tak! Agrippart sprzedał biednego pana Nouâtre'a... Mam na to dowód. Kiedy po odjeździe oficerów zamiatałam salon, gdzie odbywali swoją naradę, znalazłam świstek papieru na ziemi... Była to denuncyacya Agripparta... Schowałam to i mogę panu pokazać.



Pobiegła do biurka, przeszukała szufladę i wróciła z zaplamioną ćwiartką papieru. Donos był lakoniczny i przeczytawszy go dwa razy, umiałem całą treść jego na pamięć. Oto, co zawierał dosłownie:

»Znam mieszkańca I..., który uprzedził wolnych strzelców. Jeżeli chcecie wymienię jego nazwisko«.

— Przysięgam — mówiła pani Salorne, chowając znów do biurka świstek papieru — przysięgam, że to pismo Agripparta... Mogłam go zdradzić z kolei, gdybym była chciała, ale bałam go się i wolałam nie mieszać się do tej szkaradnej sprawy.

Na drugi dzień po tem zwierzeniu, cały przejęty poczuciem sprawiedliwości, nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby nie nastraszyć mieszkańca Chanteraine'u. O zmroku przedarłem się przez zarośla dawnej warowni i tym razem z zachowaniem wszelkich ostrożności, podsunąłem się pod same cisy tak, że skoro Agrippart rozpoczął swoją wieczorną przechadzkę, stanąłem przed nim niespodzianie.

Spostrzegłszy mię, zatrząsł się cały, zbladł i straszonym głosem:

— Znów? — wrzasnął. — Czego pan chcesz ode mnie?... Jestem uzbrojony w broń palną, uprzedzam, że strzelę do pana...

— Ja także — odparłem rezolutnie — i nie zabijesz mnie tak, jak zabiłeś notaryusza Nouâtre'a.

Skoczył gwałtownie z zaciśniętymi pięściami i pozieleniałą twarzą:

-- Kłamiesz!... — krzyknął

— Nie kłamię, jesteś mordercą i zdrajcą... Mam kartkę, którą go zadenuncyowałeś pruskiej komendzie.

I jednym tchem wyrecytowałem mu treść niewątpliwego świadectwa jego zbrodni. Odrażająca twarz Agripparta przybrała okrutny wyraz. Wyczytałem na niej chęć rzucenia się na mnie, ale wyciągniętym z kie-

szeni rewolwerem zmusiłem go do respektu. Wargi mu się trzęsły, a w żółtych, rozszerzonych źrenicach jego oczu widać było przestach. Nagle, ruchem wymykającego się wilka, cofnął się przedemną do uchylonych drzwi swego mieszkania.

— Daję panu — ciągnąłem dalej — dwadzieścia cztery godzin czasu, ażebyś sam zgłosił się do sądu... W przeciwnym razie ja pana oskarżę.

Mruknął jeszcze groźnie i znikł za drzwiami, zaryglowując je od środka. Wróciłem z wyprawy zadowolony, że zdemaskowałem zdrajcę i położyłem się spać, nie bez pewnego przecież niepokoju o następstwa mojej rycerskiej egzekucyi.

Rano spotkałem się w jadalni z drogomistrzem.

— A więc! — zawołał, zobaczywszy mnie. — Jest przecież sprawiedliwość na świecie! Agrippart powiesił się tej nocy na jednej z gałęzi orzecha, pod którym rozstrzelano jego ofiarę. Znaleziono go dziś rano zimnego już, ze szkaradnie wykrzywioną twarzą... Skończył jak Judasz i nie usłyszy już żab Chanteraine'u, opiewających jego nikkzemność.



ANTONI CZECHOW.

## PRZYKRZY LUDZIE.

Szirajew, Jewgraf Iwanowicz, drobny właściciel ziemski z popowiczów (jego nieboszczyk rodzic, ojciec Iwan, otrzymał w darze od generałowej Kuwszynniko-

wej 102 dziesięcin ziemi), stał w rogu pokoju przed miedzianą miednicą i mył ręce. Jak zwykle, twarz jego była stroskana i chmurna, broda nie uczesana.

— Nu, ot, pogoda! — mówił. — To nie pogoda, ale kara boska. Znowu deszcz!

Burczał, a rodzina jego siedziała za stołem i czekała z obiadem, aż on skończy myć ręce. Żona jego, Teodozja Siemanowna, syn Piotr — student, starsza córka Barbara i troje małych dzieci — Kolka, Wańka i Arhipka, z perkatymi noskami, pucołowate, brudne i z niestrzyżonymi od niepamiętnych czasów, szorstkimi włosami, kręciły się niecierpliwie na stołkach a starsi siedzieli bez ruchu i widocznie było im wszystko jedno — jeść, czy czekać...

Jakby doświadczając ich cierpliwości, Szirajew powoli obcierał ręce, powoli odmawiał modlitwę i nie spiesząc się, siadł wreszcie za stołem. Natychmiast podano kapuśniak. Ze dworu dochodził stukot ciesielskich siekier (Szirajew stawiał nową stodołę) i śmiech robotnika Tomka, drażniącego jędora. W okno uderzał rzadki, ale kroplisty deszcz.

Student Piotr, w okularach i trochę zgarbiony, jadł i spoglądał na matkę. Kilka razy kładł łyżkę i kaszłał, chcąc zacząć mówić, spojrzawszy jednak uważnie na ojca, zabierał się na nowo do jedzenia. Nareszcie, kiedy podali kaszę, krząknął głośno z determinacją i odezwał się:

— Trzebaby mi dzisiaj jechać wieczornym pociągiem. Dawno czas, a to i tak już straciłem dwa tygodnie. Wykłady zaczynają się pierwszego września!

— Jedź — odezwał się Szirajew. — Naco tu masz czekać? Bierz i jedź z Bogiem.

Upłynęła chwila milczenia.

— Jemu, Jewgraf Iwanowicz, pieniędzy na drogę trzeba... — cicho przemówiła matka.

— Pieniądzy? A cóż! Bez pieniędzy nie zajdziesz. Jak trzeba, bierz choć zaraz. Wzięłyby dawno!

Student westchnął lekko i zamienił z matką wesołe spojrzenie. Szirajew, nie spiesząc się, wyjął z bocznej kieszeni pugilares i założył okulary.

— Wieleż ci? — zapytał.

— Sama droga do Moskwy kosztuje jedenaście rubli czterdzieści dwie...

— Ech, pieniądze, pieniądze! — westchnął ojciec (on zawsze wzdychał na widok pieniędzy, nawet biorąc je). — Masz dwanaście. Będzie z tego, bracie, reszta, to ci się przyda na drodze.

— Dziękuję.

Poczekawszy trochę, rzekł student:

— W przeszłym roku nie zaraz znalazłem lekcyę. Nie wiem, jak w tym roku będzie, prawdopodobnie nie prędko znajdę zarobek. Prosiłbym was, dać mi piętnaście rubli na kwaterę i obiad.

Szirajew podumał i westchnął.

— Wystarczy i dziesięć — powiedziała. — Na, bierz!

Student podziękował. Wypadałoby poprosić jeszcze na ubranie, na opłatę za słuchanie wykładów, na książki, ale popatrzywszy bacznie na ojca, postanowił już nie nalegać więcej. Matka jednak, nie polityczna i nierozważna, jak wszystkie matki, nie wytrzymała i powiedziała;

— Powinienbyś, Jewgraf Iwanowicz, dać mu jeszcze sześć rubli na buty. Nu, jak mu, spojrzysz, jechać do Moskwy w takich podartych?

— Niech weźmie moje stare. Całkiem jeszcze dobre.

— Daj chociaż na spodnie. Wstyd popatrzeć na niego...

I zaraz potem ukazał się zwiastun burzy, przed którym drżała cała rodzina: krótka, tłusta szyja Szirajewa poczerwieniała naraz, jak kumacz. Czerwonosć po-

woli popęzła ku uszom, od uszu na skronie i w końcu całą twarz załała. Jewgraf Iwanowicz podniósł się ze stołka i rozpiął kołnierz u koszuli, aby mu nie było duszno. Widocznie walczył z opanowującym go uczuciem. Nastąpiła martwa cisza. Dzieci wstrzymały oddech. Teodozya Siemienowna zaś, jakby nie pojmując, co się dzieje z jej mężem, mówiła dalej:

— Przecież on już nie dziecko, nie wypada żeby chodził w podartem ubraniu.

Szirajew nagle skoczył i z całej siły rzucił na stół swój wypchany pugilares tak, że bochenek chleba spadł na ziemię. Na twarzy jego wybuchnął straszny wyraz gniewu, obrazy, chciwości — wszystkiego tego razem.

— Bierzcie wszystko! — krzyknął nie swoim głosem. — Rabujcie! Bierzcie wszystko! Duście!

Odskoczył od stołu, złapał się za głowę i, potykając się, biegał po pokoju.

— Zabierzcie wszystko do nitki! — krzyczał piskliwym głosem. — Wyduszajcie ostatnie! Rabujcie! Duście za gardło!

Student poczerwieniał i spuścił oczy. Nie mógł już jeść.

Teodozya Siemienowna, nieoswojona przez dwadzieścia pięć lat z przykrym charakterem męża, skuliła się cała, wyjąkała coś na swoje usprawiedliwienie. Na jej zniszczonej ptasiej twarzy, zawsze ogłupiałej i nastraszonej, ukazał się wyraz zdumienia i lęku. Dzieci i starsza córka Barbara, dziewczyna-podlotek o bladej, nieładnej twarzy, położyły swoje łyżki i zdrętwiały.

Szirajew, wściekając się coraz więcej, wymawiając słowa jedno straszniejsze od drugiego, przyskoczył do stołu i zaczął wytrząsać pieniądze z pularesu.

— Bierzcie! — huczał, drżąc na całym ciele — Objedli, opili, to weźcie i pieniądze! Nic mi nie potrzeba! Szyjcie sobie nowe buty i mundury.

Student zbladł i wstał.

— Posłuchajcie, ojciec — zaczął, nie mogąc tchu złapać. — Ja... proszę was, przestańcie, bo...

— Milcz! — krzyknął na niego ojciec tak głośno, że okulary spadły mu z nosa. — Milcz!

— Dawniej ja... mogłem znosić takie sceny, ale... teraz odwykłem. Rozumiecie? Odwykłem!

— Milcz! — wrzasnął ojciec i zatupał nogami. — Tyś powinien słuchać, co ja mówię! Co chcę, to mówię, ty — milczeć! W twoim wieku ja zarabiałem pieniądze, a ty, podlec, wiesz wiele mnie kosztujesz? Ja ciebie wygonię! Darmozjadzie!

— Jewgraf Iwanowicz — wybełkotała Teodozya Siemienowna, przebierając nerwowo palcami. — Przecież on... przecież Pietia...

— Milcz! — wrzasnął na nią Szirajew, i aż mu łzy wystąpiły w oczach ze złości. — To ty ich rozpuściłaś! Ty! Tyś wszystkiemu winna! On nas nie szanuje, o Bogu nie pamięta, pieniędzy nie zarabia! Was dziesięcioro a ja jeden! Wypędzę was z domu!

Córka Barbara długo patrzyła na matkę, roztworzywszy usta, potem powiodła błędny wzrok na okno, pobladała i, krzyknąwszy głośno, osunęła się na poręcz krzesła. Ojciec machnął ręką, plunął i wybiegł na dwór.

Tem zwykle kończyły się u Szirajewów ich rodzinne sceny. Ale dziś, na nieszczęście, opanowała studenta nieprzewyciężona złość. On także był porywczy i przykry, jak jego ojciec i dziad protopop, który swoich parafian bił kijem po głowach. Błady, z zaciśniętymi pięściami podszedł do matki i wykrzyknął z najwyższego tenorowego tonu, jaki mógł z siebie wydobyć:

— Zbrzydły mi te wstrętne wymówki! Niczego od was nie potrzebuję! Niczego! Raczej z głodu umrę, a nie zjem już u was ani jednej kruszki! Oddaję wam wasze nędzne pieniądze! Bierzcie!

Matka przytuliła się do ściany i machała rękami; to nie syn chyba stał przed nią, to przywidzenie.

— Cóż ja zawiniłam? — rozplakała się. — Cóż?

Syn, taksamo jak ojciec, machnął ręką i wybiegł na dwór.

Dom Szirajewa stał samotnie nad wąwozem, który jakie pięć wiorst ciągnął się wzdłuż stepu. Krajem jego rosły młode dęby i olchy, a na dnie płynął strumyk.

Dom jedną stroną spoglądał na wąwóz, a drugą wychodził na pole. Parkanów ni płotów nie było. Zastępowały je wszelkiego rodzaju budynki ściśnięte jeden obok drugiego i zamykające przed domem niewielką przestrzeń, która stanowiła dziedziniec i gdzie chodziły kury, kaczki i świnie.

Student nadzwyczaj rozdrażniony poszedł po błotnistej drodze w pole. W powietrzu czuć było jesienną, przenikliwą wilgoć. Droga była grząska, tu i ówdzie błyszczały kałuże, a na pożółkłym polu wyglądała z trawy sama jesień — smutna, zgniła, ciemna. Z prawej strony drogi był ogród, cały zryty, szary, gdzieniegdzie wznosiły się na nim słoneczniki z pospuszczanemi, czarnemi już głowami.

Piotr myślał, że nieźle byłoby pójść do Moskwy na piechotę, pójść, jak jest, bez czapki, w podartych butach i bez kopiejki pieniędzy. Na setnej wiorście dogoni go zaniepokojony i przerażony ojciec, zacznie go prosić, żeby się wrócił, albo przyjął pieniądze, ale on nawet nie spojrzy na niego i ciągle będzie szedł, szedł... Puste lasy będą się zmieniać na pola, pola na lasy; wkrótce ziemia pierwszym zabieleje śniegiem i rzeczki pokryją się lodem... Gdzieś pod Kurskiem, albo pod Sierpuchowem on, bezsilny i umierający z głodu, padnie i umrze. Znajdą jego trupa i we wszystkich gazetach pojawi się wieść, że tam a tam, taki a taki student umarł z głodu...

Biały pies z zabłoconym ogonem, wałęsający się i szukający czegoś po ogrodzie, spostrzegł go i powłókł się za nim...

Szedł drogą i myślał o śmierci, o biedzie bliskich, o moralnych cierpieniach ojca i wyobrażał sobie wszelkie możliwe w drodze przygody, jedną od drugiej straszniejszą, malownicze okolice, straszne nocy, nieprzewidziane spotkania. Wyobrażał sobie klasztor mniszek, chatkę w lesie o jednym oknie, które w ciemnościach jasno świeci; on stoi pod oknem, prosi o nocleg... wpuszczają go i — naraz, widzi rozbójników. Albo znów, lepiej jeszcze, dostaje się do zamożnego, obywatelskiego domu, gdzie, dowiedziawszy się kto on, poją go i karmią, słuchają jego skarg i zakochuje się w nim prześliczna córka gospodarstwa.

Zajęty swoją biedą i podobnemi myślami, młody Szirajew ciągle szedł i szedł.. Przed nim, daleko — daleko na szarem, pochmurnem niebie ciemniała gospoda; jeszcze dalej od dworu, na samym horyzoncie, widać było maleńki wzgórek; to stacya kolei. Wzgórek ten przypomniiał mu o związku istniejącym między tem miejscem, gdzie stał teraz, a Moskwą, w której płoną latarnie, turkoczą ekwipaże, wykładają się lekcye.

I o mało nie zapłakał z tęsknoty. Ta urocza przyroda ze swoim porządkiem i pięknnością, ta cisza martwa dokoła, urągały jego rozpacz i nienawiści!

— Na bok! — usłyszał z tyłu za sobą donośny głos.

Mimo studenta, w lekkim, wytwornym powozie przejechała znajoma staruszka - obywatelka. Ukłonił się jej i uśmiechnął uprzejmie. I naraz złapał się na tym uśmiechu zupełnie nie licującym z jego ponurym nastrojem. Skąd on się wziął, jeżeli cała dusza jego pełna smutku i tęsknoty?

I przyszło mu na myśl, że sama przyroda zapewne dała człowiekowi tę możność kłamania, ażeby nawet



w ciężkich chwilach duchowego rozstroju mógł ukrywać tajemnice swojego gniazda, jak chroni je lis albo dzika kaczka. W każdej rodzinie bywają radości i smutki, ale, żeby nie wiedzieć jak były wielkie, trudno je dojrzeć obcemu oku; to tajemnica. Rodzony ojciec na przykład tej obywatelki, która dopiero co przejechała, przez pół życia znosił gniew cara Mikołaja za jakieś przestępstwo, mąż jej był karciarzem, z czterech synów ani jeden nie wyszedł na ludzi. Można też wyobrazić sobie, wiele w jej rodzinie zaszło scen strasznych, wiele łez przelano. A pomimo to staruszka wydawała się zadowoloną, szczęśliwą i na uśmiech jego odpowiedziała uśmiechem. Wspomniał student na swoich kolegów, którzy niechętnie mówią o swoich rodzinach, wspomniał na matkę, która prawie zawsze kłamie, kiedy przychodzi jej mówić o mężu i dzieciach...

Do samego zmroku chodził Piotr daleko od domu po drogach i oddawał się niewesołym myślom. Kiedy deszcz zaczął padać, skierował się ku domowi. Wracając, postanowił, żeby nie wiedzieć co się miało stać, pomówić z ojcem, przekonać go raz na zawsze, że z nim ciężko i straszno żyć. — W domu zastał ciszę. Siostra Barbara leżała za parawanem i stękała zcicha z bólu głowy. Matka, z miną winowajczyni, siedziała koło niej na kufrze i łatała spodnie Arhipki. Jewgraf Iwanowicz chodził od okna do okna i chmurzył się na pogodę. Po chodzie jego, po kaszlu a nawet po karku było widać, że poczuwał się do winy.

— Rozmyśliłeś się jechać dzisiaj? — zapytał.

Studentowi żal go się zrobiło, ale zaraz opanował to uczucie i rzekł:

— Posłuchajcie... Ja muszę pomówić z wami poważnie... Tak, poważnie... Szanowałem was zawsze i... i nigdy nie ośmieliłem się mówić z wami takim tonem, ale wasze zachowanie... ostatni postępek...

Ojciec patrzył w okno i milczał. Student jakby dobierając słów, potarł sobie głowę i mówił dalej w silnem rozdrażnieniu.

— Niema obiadu ani herbaty, żebyście kłótni nie wszczynali. Wasz chleb staje wszystkim w gardle... Niema nic przykrzejszego, nic bardziej poniżającego, jak wymówki o kawałek chleba... Wy, chociaż ojciec, ale nikt, ani Bóg, ani natura nie dają wam prawa tak ciężko obrażać, poniżać, wywierać na słabych swoje nie-szczęśne usposobienie. Zamęczyliście matkę, siostra leży bez pamięci, a ja...

— Nie twoja rzecz mnie uczyć — odparł ojciec.

— Nie, moja rzecz! Nademną możecie się pastwić, wiele wam się podoba, ale matkę zostawcie w spokoju! Ja nie pozwolę wam męczyć matki! — mówił dalej student, z zaiskrzonym wzrokiem. — Wyście rozzuchwaleni, bo nikt jeszcze nie odważył się przeciwko wam wystąpić. Przed wami drżeli, mowę tracili, ale teraz, skończyło się! Ordynarny, źle wychowany człowiek! Wy ordynarni... rozumiecie? Wy ordynarni, przykrzy, zatwardziali! I chłopci was nie mogą ścierpieć!

Student stracił już wątek i nie mówił już, tylko rzucał oderwane słowa. Jewgraf Iwanowicz słuchał i milczał, jakby oszołomiony; ale naraz, kark mu poczerwieniał, czerwoność rozlała się po twarzy i:

— Milczeć — krzyknął.

— Ślicznie! — nie powstrzymał się syn. — Nie lubicie słuchać prawdy? Wybornie! Doskonale! Zaczynajcie krzyczeć! Doskonale!

— Milczeć, mówię ci! — ryknął Jewgraf Iwanowicz!

W drzwiach pokazała się Teodozya Siemienowna z wyrazem zdumienia na twarzy, blada; chciała coś powiedzieć, ale nie mogła i przebierała tylko palcami.

— Tyś winna! — wrzasnęła Szirajew. — Tyś go tak wychowała!

— Ja nie chcę żyć dłużej w tym domu! — krzyknął student, płacząc i spoglądając ze złością na matkę. — Nie chcę żyć z wami!

Córka Barbara zapłakała głośno za parawanem. Szirajew machnął ręką i wybiegł z pokoju.

Student poszedł do siebie i rzucił się na łóżko. Do samej północy leżał bez ruchu i nie otwierając oczu. Nie odczuwał ani złości, ani wstydu, tylko jakiś nieokreślony, moralny ból. Nie obwinał ojca, nie żałował matki, nie dręczył się wyrzutami; czuł że teraz wszyscy w domu doświadczają takiego samego bólu, a kto winien, kto cierpi więcej, kto mniej, Bogu wiadomo.

O północy zbudził parobka i kazał mu przygotować na piątą godzinę rano konia, ażeby pojechać na stację; rozebrał się, nakrył się, ale zasnąć nie mógł. Słyszał do samego rana, jak ojciec chodził cicho od okna do okna i wzdychał. Nikt nie spał; wszyscy od czasu do czasu mówili szeptem. Dwa razy przychodziła do niego za parawan matka. Zawsze z tym samym zdziwionym i ogłupiałym wyrazem twarzy, żegnała go długo znakiem krzyża i trzęsła się nerwowo...

O piątej godzinie rano, student pożegnał się czule ze wszystkimi, a nawet płakał. Przechodząc koło pokoju ojca, zajrzał do drzwi. Jewgraf Iwanowicz ubrany — nie kładł się jeszcze — stał przy oknie i bębnił po szybach.

— Bądźcie zdrowi, jadę — rzekł syn.

— Bądź zdrow... Pieniądze na okrągłym stoliku... — odpowiedział ojciec, nie odwracając się.

Kiedy go parobek wiozł na stację, padał dokuczliwy, zimny deszcz. Słoneczniki jeszcze niżej pochyliły swoje głowy a trawa wydawała się ciemniejszą.



PAWEŁ i WIKTOR MARGUERITTE.

## O K U P

(30. października 1870 roku).

Rano wśród deszczu i wiatru od gór, po grzązkiej równinie, posuwał się z trudem batalion 128 pułku piechoty, zdążający z Saint-Denis do Courneuve. Na czele, w znacznym odstępnie, stary pułkownik podniecał ostrogami swego chudego konia. Obok niego młodziutki porucznik wstrzymywał swego bułana, zdenerwowanego hukami armat.

Jednym z tych dwóch ludzi był pułkownik de Clémont, powołany do służby na początku wojny i zastępujący generała brygady, drugim Robert de Clémont, oficer ordynansowy — ojciec i syn.

Ojciec był bardzo stary, syn — prawie dziecko. Pierwszy był weteranem drugiego cesarstwa, drugi kadetem młodej republiki. Ojciec czterdzieści lat nosił mundur wojskowy, który, po pięciu latach emerytury, dobrze jeszcze przylegał do jego okazałej, a wiekiem steranej postaci; zdobył sześć krzyżów i medali, tyleż ran odniósł, trzynaście przebył kampanij. Syn, kilka miesięcy temu, ukończył akademię. Wzięty do kawalerii w dniu wypowiedzenia wojny, otrzymał wełniane galony w Châlons, srebrne w Beaumont, chorąży Ducrota, jeniec pod Sedanem, uciekł, tak samo jak jego komendant, pomimo groźnego niebezpieczeństwa, przenosząc śmierć nad niewolę. Ojciec, zobaczywszy go znów, ścisnął go z dziką radością. Z czworga dzieci, które mu dała nie żyjąca już dziś żona: Henryk poległ w Meksyku, Piotr był ranny pod Wissemburgiem, Paweł uwięziony

w Metz, Robert — jego Benjamin, był jedynym, którym się jeszcze mógł cieszyć. Powiedział mu też:

— Zabieram cię z sobą. Pójdziemy razem na nieprzyjaciela.

Szli.

Szli obok siebie, jedną ożywni myślą, poświęcając życie swoje zgnębionej, krwią zbroczonej ojczyźnie; ojciec z surową rezygnacją na twarzy, syn z dumą w oczach i zapałem, obaj bladzi ze szlachetnego wzruszenia.

Tragiczna chwila! Dwie armie cesarstwa już nie istnieją, jedna zmiażdżona pod Sedanem, druga, przymerająca głodem w Metz, poddała się właśnie, jak zapewniał dziennik *le Combat*, przez zdradę Bazaine'a; Alzacya, Lotaryngia stały się prowincjami pruskiemi; kraj spustoszony, miasta zrabowane, Laon, Touł, Strassburg stracone, Châteaudun obrócone w perzynę, Belfort ze wsząd otoczony, Montmédy, Thionville, Verdun, Bitché zbombardowane; Gambetta w Tours, w środkowej i zachodniej części kraju organizacya obrony narodowej; jedna armia nad Loarą — ale w jakim stanie, jacy żołnierze, jakie armaty?

Paryż wreszcie, ów król świata, Paryż od sześciu tygodni oblężony, oddzielony od Francyi, jak od Europy; olbrzymie to miasto stało się oszańcowanym obozem dwóch milionów ludzi, w ciągłej gorączce, wzburzeniu, wrzawie, przechodzących z ponurego przygnębienia do najszaleńszej radości, upatrujących wszędzie szpiegów, uważających wszystko za stracone po Châtillon, a wszystko za odzyskane po Villejuif; zgromadzenia, balony, gwardya narodowa; Ledru-Rollin wzywający do komuny; Flourens, bataliony z Belleville; wiele mówiący a mało działający Trochu, żadnego planu wojny, wyprawy, które się zawsze kończyły na powrocie; wkrótce głód, wystawanie tłumów kobiet pod jatkami

i trwożliwe oczekiwanie na bombardowanie z godziny na godzinę — co za zhora!

Ale stary i młody Clémont nie stracili dobrej wiary w cnotę narodu, w żywotność kraju. Czy mogli wątpić, kiedy z ziemi przodków wyłaniało się tyle poświęcenia i dobrej woli? Z czterech stron kraju, z głębi wsi i miast, napływali ochotnicy. Dziwny natłok, gdzie starcy szli ramię w ramię z młodzieniaszkami, wszystkie klasy społeczne zjednoczone, największe imiona Francji obok najmniejszych, chłopci i panowie z zamków, urzędnik i robotnik; zgodność wszystkich charakterów, wszystkich przekonań; ateusz wstępujący w ślady najzagorzalszego bigota; rojaliści, republikanie, Orleanie jako prości żołnierze i jeden pułkownik Bonaparte; Francuzi z najodleglejszych kolonij, mrowisko cudzoziemców, lance Polaka Lipowskiego i czerwone koszule Garybaldczyków! Zdumiewająca mieszanina heroizmu, malowniczości, niekiedy śmieszności; kobieta dowodziła w armii Garibaldi'ego; ksiądz z podkasaną sutanną i z galonami na kapeluszu prowadził oddział dzielnych ochotników; gdzieindziej znów Bombonnel, pogromca panter, ze swymi wolnymi strzelcami na czatach. Wrzenie wszystkich serc, gorączka wszystkich umysłów; rodzaj burzy szalonej, wystawiającej na straszną próbę moce złego i dobrego, tysiące rozkiełzanych instynktów duszy ludzkiej!

Wzruszający widok. Ojciec razem z synem, stary pułkownik de Clémont ze swoimi siwymi wąsami a obok niego ten chłopiec, podporucznik, jego żywy obraz. Nikogo to nie dziwiło a najmniej ich samych. W podobnym czasie myśli biegają szybko, do wszystkiego się naginają. To, co wczoraj byłoby zdziwiło, dziś wydało się naturalnem. Wzrok przestał być wrażliwym na niespodzianki, dusza także. A przecież, wiele to dróg przebytych, wiele zdarzeń, wstrząśnień! Myśli obydwóch,

tak różne, w przeszłość się nagle uniosły. Stary porównywał w rozgoryczeniu sławę przeszłości z obecnem upokorzeniem. Tryumfy krymskie, włoskie, świeżą zielenią bram tryumfalnych, okrzyki rozentuzyazmowanych bulwarów! Ah! te dzieje drugiego cesarstwa, opromienione słońcem poprzedniego! Jakaż fatalność spychała je z kolei w czarną otchłań straszego pogromu? Machinalnie kłuł konia ostrogami w zapadnięte boki i postępował naprzód, przezuwając niepokoje starego żołnierza i troski komendanta, a może także mimowolny żal za zburzonym spokojem emeryta.

Młody, szczęśliwy, że żyje, rozpromieniony nowością tych dni pełnych wrażeń, miał za sobą tylko wspomnienia balów i polowań, radośnych błysków wakacyj z ostatnich lat szkolnych. Słodka i uśmiechnięta twarz kobieca, przesuwająca się w jego marzeniach, niebieskie oczy, włosy jedwabiste przyjaciółki Klary, z którą zaręczy się za pół roku. Przyszłość poza chmurami chwili obecnej widział jasną. Wypełniał ją swoją naiwną ufnością i swoim gorącym pragnieniem sławy.

Strzemię koło strzemięcia, a tak daleko jeden od drugiego swojemi myślami, rozdzielonemi przepaścią lat, wspólnem tylko, wobec ważności od łaski losu zawisłej chwili, przejści uniesieniem. Wojska francuskie biły się; ich brygada, ich pułk brały udział w boju; wzywano ich na pomoc, potrzebowano ich. To też pożerani niecierpliwością i niepokojem parli swoje konie. Krople deszczu perliły się na wielkich, siwych węsach pułkownika, błoto bryzgało aż na kolana podporucznika; nie patrzyli na siebie, nie rozmawiali; śpieszyli się z całą duszą w kierunku do Bourget, gdzie mieli wzmocnić swój pułk i podnieść upadającego ducha! — do Bourget, które od wczoraj bez artylerji, bez posiłków opierało się pruskim atakom, do Bourget, gdzie odbierano sobie życie w tej chwili!

Grały armaty. Kłęby dymu zasłaniały horyzont. Ostra woń spalonego prochu mieszała się z właściwą u schyłku jesieni stęchliwą pożółkłych pól i lasów; czerwone i czarne tłumy wojsk zalegały spustoszoną okolicę, tu i ówdzie galopowała sztafeta, na prawo grupa marynarzy, biegnących gimnastycznym krokiem, a nad tem wszystkim ciężkie chmury i stada kruków.

Od czasu do czasu, pułkownik obracał się ku leniwie postępującej za nim kolumnie. Stroskany, widział zwiększającą się między kompaniami odległość.

— Robercie — rzekł — staraj się pozbierać ich i przyspieszyć marsz.

Przystanął, oczekując na pierwsze oddziały, podczas gdy młody człowiek rzucał się jak pies na rozproszone stado. Ale, pomimo jego energicznych nawoływań, nie zacieśniały się szeregi, nie śpieszył się żaden z piechurów.

Pułkownik rzucił okiem na głuche szeregi i westchnął. Pułk, który mu powierzono, niekarny, skłonny do demoralizacyi, był jego wiecznem strapieniem. Niepodobna było nigdy odgadnąć, czy będzie się bił mężnie, czy stchórzy; to zależało od dnia, od humoru. Jakże natchnąć ufnością tych ludzi, którzy uważali wszystkich starych generałów za niedołęgów, albo zdrajców? Dopiero co, gwardziści narodowi opaśli i szczelnie otuleni, obozujący próżniaczo, spoglądali na niego złośliwie. Szydercze śmiechy rozlegały się za jego plecami. Wszędzie brak karności. To było smutne.

Nareszcie zbliżyła się do niego pierwsza kompania. Defilowała. Blade, o ponurym wyrazie twarzy; wielu od niego odwracało oczy.

— Dalej chłopcy, trochę życia! To grzeje! Na nas tylko czekają z rozmoczeniem sucharów!

Doskonale wiedzieli, że to grzeje. I doprawdy lepiejby zrobiono, nie czekając na nich: wcale nie mają



ochoty dawać sobie głowy rozbijać. Co do zupy z sucharami, to blaga: tak, jakby od czterdziestu ośmiu godzin nie ściskali sobie wszyscy brzuchów w Bourget! Oto co można było wyczytać na czołach zachmurzonych, w oczach, pełnych wyrzutu.

W tej chwili cwałem nadjechał oficer: Jacqmin, adjutant. Zdał raport.

Bourget zabarykadowane, broniąc muru za murem, domu za domem, trzymało się jeszcze pod kanonadą baterii z Pont-Iblon i Blanc-Mesnil, opierało się atakom grenadyerów i ułanów gwardyi pruskiej.

— 128-my? — pytał pułkownik.

— Siedm kompanii komendanta Brasseur strzeże północnej strony wsi, między kościołem i cmentarzem, i broni barykady od drogi do Pont-Iblon; ośm innych stoi częścią w rezerwie w hucie, a częścią osłania baterię za linią kolejową do Soissons. Ale nieprzyjacieli wygrywa.

— Słyszycie, zuchy — zawołał pułkownik. — Nasi towarzysze ze 128-go są w ogniu. Odwagi tylko, moi przyjaciele!

A zniżając głos:

— Przynaglaj ich, Jacqmin! Jadę naprzód. A ty Robercie za mną!

Popędził galopem a za nim podporucznik wściekły, że nie zdołał wzruszyć ociężałości żołnierzy.

Robertowi ciążył na sercu epitet »smarkacz«, mruknięty przez kapitana, do którego zwrócił się z pytaniem. Na ładnej jego twarzy widać było wzburzenie a złość czyniła go niesprawiedliwym.

»Co za ludzie!« — pomyślał sobie. I żałował, że nie może ich ukarać aresztem, wyplazować szablą. Nie mógł się zdobyć, jak jego ojciec, na rezygnację; marzył o środkach bezwzględnych: o sądzie wojennym — posłuszeństwo albo śmierć. Zdawało mu się, że demo-

ralizacya żołnierza plami honor dowódcy; w naiwności młodzieńczej godził się tylko na prowadzenie wojska do zwycięstwa.

Co do ojca, ten myślał tylko o Bourget,, o swoich kompaniach 128-go pułku, o dzielnym komendancie Brasseurze. Wyobrażał sobie długą wieś przy drodze do Lille, na brzegu Mollette, z jej gęstemi zabudowaniami, placami, ogrodami, z jej kościołem, cmentarzem, hutą, dworcem, z murami, ze wszystkimi kamieniami, z których każdy tworzył schronienie, obronę. Ale trzeba jej było artylerji, posiłków.

W Bellemare, kiedy zażądał armat, odpowiedziano: »To na nic. Ustąpić!« — »Bez żadnego znaczenia strategicznego, Bourget« — zawyrokował Trochu. — »Zbyteczna obrona« — dorzucił Ducrot. — I jeżeli nie ewakuowano wsi, to tylko z obawy przed opinią publiczną, upojoną powodzeniem, a którą odwrót byłby bardzo oburzył.

Kule świstały. Granat zarył się w ziemię wilgotną. Pędzi wóz ambulansowy, jak widma biegają tam i napowrót Bracia Miłosierdzia, zabierając rannych; walka wre, a z poza obłoków dymu ukazuje się w końcu Courneuve z jednym batalionem liniowym, drugi jest z przodu na lewo, a koło Drancy masy w nieładzie, osłaniają karabinowym ogniem cztery grzmiące armaty.

Tam poinformował się pułkownik, wydał rozkazy; chciał właśnie popędzić do Bourget, kiedy przed nimi zaczęła się cofać linia tyralierów, ogień baterji słabnął, ustał. Słychać było zdaleka ochrypte hura... galopujące zaprzęgi: armaty torowały sobie drogę przez uciekające wojska.

Twarze oficerów otaczających pułkownika zdradzały śmiertelny niepokój. Dwom kompaniom 135-go pułku, kazał rozwinąć się w linię, ażeby zagrozić drogę uciekinierom. Daremne usiłowania! Z Noisy, Romainville,

Aubervilliers posypał się teraz grad kartaczy, rażąc w zamieszaniu Francuzów i Prusaków.

Stary Clemont patrzył na swego syna ze smutkiem; ten, unosząc się w strzemionach, starał się rozróżnić numery mundurów żołnierzy, pchających wozy, ażeby konwój przyspieszyć. Naraz krzyknął:

— Oh! ludzie z 128-go pułku.

Przyskoczył do nich, zaklinał, aby się zatrzymali; spoglądając na niego błędnym wzrokiem, nie odpowiedzieli nawet; jakiś oficer wśliznął się pod wóz, inni wrzuszali ramionami; jeden z adjutantów z miną zrozpaczoną, powiedział w końcu pułkownikowi:

— Niepodobna było wytrzymać, gwardya pruska otoczyła wieś, pożar objął wszystko między fabryką a owczarnią...

Nie skończył; porwała go fala, pchnęła, uniosła. Pułkownik z synem musieli się cofnąć na pola.

W kwadrans później, pułkownik z oberwaną przez odłamek granatu szlifą, na zranionym koniu, podsuwał się pod ruiny domu, gdzie wzywał go generał, który w zastępstwie konferującego z rządem w Paryżu Bellemarc'a, dowodził obroną. Pogorszyła się sytuacja. Nic nie mogło złamać ataku nieprzyjaciela: jego środkowa kolumna zniosła barykadę na drodze do Pont-Iblon; pada pułkownik niemiecki, stary generał Budrzycki obejmuje po nim komendę pułku królowej Elżbiety i również przypląca życiem dobry przykład, narażając się pierwszy na niebezpieczeństwo. Bourget, opanowane od północy i zachodu, broniło się już tylko od południa i wschodu; pionierzy porobili wszędzie wyłomy; strzelano do siebie przez ulicę, z izby do izby. Oddziały kolejowe, prawie cały park, rezerwy 128-go pułku podały tył. Siedem kompanij tylko 128-go pułku, godnych podziwu, walczyło jeszcze pod dowództwem Brasseura. Po siłków trzeba. Skąd je wziąć?

Pułkownik de Clémont podniósł głowę z bolesnem zadowoleniem. Jego pułk nie okryje się niesławą, bo tamci waleczni giną w taki sposób, że zrównoważą nikczemność innych. Zresztą prowadził świeże kompanie.

— Mam jeden batalion — rzekł.

— Gdzież jest?

— W Courneuve.

Wtem padł granat niedaleko ruin. Stało w tem miejscu trzech żołnierzy i koń. Nastąpił wybuch. Runął koń, jeden z żołnierzy kulejąc, uciekał, dwaj inni leżeli z roztrzaskanemi czaszkami.

Pułkownik odwrócił oczy i wpatrywał się w Roberta, który pobladł; wpatrywał się w niego z rozpaczą w sercu: rozstać się z nim w takiej chwili było straszną z jego strony ofiarą dla obowiązku. Zapanował jednak nad sobą i głosem rozkazującym zawołał:

— Poruczniku, zbieraj batalion zaraz do ataku.

Dodał:

— Pędź, moje dziecko.

Robert unosił ze sobą jego spojrzenie, spojrzenie, które mówiło: męstwa i szczęścia! I całe przywiązanie, cały szacunek, jakie miał dla ojca przejmowały go do szpiku kości gorącym wzruszeniem. Drogi ojciec, dumnym będzie z niego! Widział siebie prowadzącego ostatnie rezerwy, elektryzującego szeregi, zagrzewającego serca, rzucającego setki ludzi, przy odgłosie bębna, przy dźwięku trąbki, na oswobodzenie walczących wśród płomieni, na gruzach Bourget niedobitków pułku. Rozentuzyazmowany nie spostrzegł się, że uciekają dookoła niego. Odrażająca woń sadzy, spalonego drzewa i ciał, twarze zakrwawione, nie osłabiały jego ducha, przeciwnie, podniecały, upajały...

— 128-my! — wołał, podniecony rozlewem krwi bratniej. — Niepojęte milczenie. — 128-my!... — Poczemu? — odezwał się jakiś obcy głos. — Dosyć jest mięsa! —

A drugi: 128-my? Musi już być daleko, jeżeli w dal-  
szym ciągu jeszcze ucieka!

Robert, jakby pod wrażeniem największej obelgi,  
rzucił temu człowiekowi piorunujące spojrzenie. A jeżeli  
mówił prawdę!... Jeżeli batalion, przyprawiony przez  
nich przed chwilą, ogarnęła panika... Ale nie! Z niewy-  
powiedzianą ulgą spotkał adjutanta Jacquemina.

— Batalion?

— Jest tam.

Jacquemin wyciągnął rękę ku zabudowaniom fa-  
bryki, o jakie sto metrów.

— Nie bez trudu — dodał adjutant, odsapując.

Robert pomknął do niego przez pola, przeskakując  
płoty i rowy.

— Do mnie! 128-my! — krzyczał przeraźliwie, a  
głos jego gubił się w zgiełku.

To, co zobaczył, było dziwne: gromada ludzi, po-  
dobnych do owiec, przykucniętych, leżących na ziemi,  
zbiła się w kupę, ażeby nie stracić ani piędzi schroni-  
ska; pozieleniałe, przerażone twarze. Inni stali grupami  
i rozmawiali rozgorączkowani. Wielu zasnęło ze znuże-  
nia. Powtarzał wezwanie, nikt się nie ruszył.

— Wstawać, wstawać, żołnierze! Kapitanowie, for-  
mujcie kompanie! Sierzanci, słyszycie? Rozkaz pułko-  
wnika! Wstawać!

Przymrużały się powieki, odwracały twarze. Nie-  
którzy wstawali i znów się kładli. Bliżej stojący ofice-  
rowie tręcali tych ślepych i głuchych. Daremne były  
słowa i groźby.

Pułkownik, kryjąc wściekłość w sercu, prosił:

— Żołnierze! Trochę dobrej woli! Czy pozwolicie  
wymordować waszych towarzyszków? Odrobinę serca!  
Dla honoru sztandaru, dla Francji!

Dobosz siedział z łokciami opartymi na bębnie.  
Krzyknął na niego:

— Bębni marsz!

Dobosz podniósł ramiona, bęben był rozdarty.

Robert zeskoczył z konia, przemawiał do żołnierzy w gorących słowach, zawstydział ich, zaklinał w imię ojczyzny w niebezpieczeństwie. Czy będą śmieli powrócić do Paryża? Powiedzianoby im: »Opuściliście swoich braci!«

Wszystko, co mógł osiągnąć, wszystko, co mógł zdziałać moralny wpływ oficerów, ograniczyło się do ustawienia w szereg jednej kompanii. Na tem skończyły się desperackie wysiłki. Oderwać tych ludzi od ochraniającego ich muru fabryki, prowadzić ich tam, gdzie kule latały, było niepodobieństwem. O sławie im mówić? Widzieli tylko śmierć. Naprzód iść? Myśleli tylko o odwrocie za mury, za forty.

Robert zdesperowany, chętnie roztrzaskałby głowę temu wielkiemu, chudemu, z nosem krogulczym, który mierzył go wzrokiem, albo temu drugiemu, z twarzą topielca, co świstał przez zęby.

— Podli! — krzyczał — podli!

Ale batalion wybuchnął śmiechem, zagłuszyły go szydercze wrzaski. Któryś burknął:

— Skończyłeś?

Robert myślał, że oszaleje. Wskoczył na konia, grożąc im pięścią. Spiał ostrogami bułana i popędził ku Bourget.

— Podli! Podli! — powtarzał. Później z gorzkim uczuciem buntu:

— Skończone! Mają słuszość! — mówił do siebie. — Koniec, skończyła się sława, wszystko się skończyło! Cóż powie ojcu? Dlaczegoż nie mógł spełnić jego polecenia? Czy nie był odpowiedzialnym? A tam, ostatni żołnierze komendanta Brasseur'a, ostatni wolni strzelcy komendanta Baroche'a otoczeni zewsząd, ginęli w obronie ojczyzny!

Na tę myśl, w ciemnościach, gdzie się szamotał, zajaśniał świt, rzeczywistość, słońce prawdy. Tak! jak tamci, umrzeć z nimi! Zmazać końcem pełnym chwały hańbę swych żołnierzy, krwią własną okupić ich honor! Uroczą twarz Klary, niebieskie oczy narzeczonej znikają wraz z rozkosznymi wspomnieniami jego dzieciństwa, nie było już dla niego ani przeszłości, ani przyszłości. Nic, prócz surowej rzeczywistości, prócz bólu nie do zniesienia chwili obecnej. Nie, nie pójdzie powiedzieć ojcu: »Wracam sam, Nie chcieli«. Nie powie mu tej nikczemności. Ale głos silniejszy od jego dumy mówi mu: »Twój obowiązek!« Otrzymał polecenie; czy spełnił je, czy nie, musi zdać sprawę.

I bez namysłu już, ruszył tą samą drogą, którą przebył dopiero co w takiej gorączce.

— Pułkownik de Clémont?... — Nie wiadano. — Pułkownik de Clémont?... — powiedział jeden. — Ranny — dorzucił drugi. — A trzeci: — Nie, żyje, tam...

Robert popędził na oślep, szukając swego ojca. Dookoła niego roztaczał się najstraszniejszy zamęt; konie bez jeźdźców, ranni, trupy; zaledwie rozróżniał pola i drzewa, tonące w dymie, deszczu i błocie. Dalej czerwoność pożogi, wysokie snopy płomieni pod czarnymi chmurami.

Tak, skończyło się. Miał przeświadczenie, że zbliża się jego ostatnia godzina. Nic już nie było dla niego: ani rodziny, ani wiary, ani nadziei, ani armii! Nie zobaczy już ojca. Za nim zapadła się młodość, jak most zburzony. Przed nim otwierała się przepaść ze światłem w głębi. Na pół oszalały, Robert ciągle galopował. Instynktownie zbliżał się do nieprzyjaciela, ku płonącym domom, ku Bourget bombardowanemu teraz francuskimi granatami. Grenadyerzy, tyralierzy, ułani gwardyi pruskiej otaczali wieś kołem ognia. Z szablą w pochwie, z rewolwerem w olstrach, pędził naprzód ze zmienioną

twarzą. Pędził na śmierć. Był już tak blisko nieprzyjaciela, że rozróżniał twarze. Wzięto go na cel, ubito pod nim konia; zerwał się; powtórnie karabiny wymierzono w niego. Wtedy uspokojony, uradowany prawie, że spełnia swoją prawdziwą misję, zobaczył jeszcze oślepiający blask po strzale i padł ze skrzyżowanymi rękami, z twarzą zwróconą ku niebu.



HENRYK de FORGE.

## C I O T U N I A.

### I.

**B**yla to mała, pełna życia staruszka, o srebrnych włosach, o różowych jeszcze, jak za młodych lat policzkach, z pogodnym zawsze na ustach uśmiechem.

Przekroczyła setkę, ale nikt nie mógłby jej wieku dokładnie oznaczyć, nawet ona sama. Metryka jej zginęła w pyłe ubiegłego wieku.

Cóż to zresztą może kogo obchodzić.

— Po stu latach — mówiła — nie starzeje się już człowiek.

I rzeczywiście, wydawała się zawsze jednako wesołą, jednako rzeźką.

Krótki, suchy kaszel niepokoił ją tylko, utrudniając rozmowę.

— Umrę na piersi, moi kochani. Znakomity lekarz mi to powiedział, zresztą...

— Kiedyż to było?



— W roku 1820 albo 1824, nie pamiętam już.  
Śmiano się.

Wiele to ona już zdarzeń od tego czasu przeżyła. Pamiętała Ludwika XVI, widziała go w swoim dzieciństwie. Widziała także Napoleona I. Wydał jej się zanadto otyłym w Tuileryach w roku 1813. Więcej jej się podobał po powrocie z Egiptu, był wówczas blady i szczupły.

— Opowiadaj ciotuniu! opowiadaj! — prosiły otaczające ją prawnuczki.

I całemi godzinami mówiła, snując wątek dawnych wspomnień.

Jaki był naprawdę jej stopień pokrewieństwa w rodzinie?

Nikt by tego nie potrafił powiedzieć.

Była czemś w rodzaju ciotecznej prababki czy też pra-prababki.

Przedewszystkiem jednak była ciotką w całym tego słowa znaczeniu, jedyną »ciotunią« na świecie, złotą ciotunią, jak ją nazywano.

Tak, złotą, najlepszą. Wszystko było w niej dobre; jej oczy jasne, jej ręce delikatne, różowe policzki, ruchy spokojne.

Ubierała się zawsze w liliową suknię według staroświeckiej mody, mody tak dawnej, że nawet w książkach byłoby ją trudno odszukać.

Poco zmieniać?... Ciotunia i tak była zachwycającą i nie wychodząc nigdy z domu, wyśmiewała modę dzisiejszą.

Niecierpiała podróżować, a koleje przejmowały ją strachem. Pogardała karetami i powozami, wspominając z przyjemnością lektyki, z których, jako młodziutkie dziewczę, szafowała na wszystkie strony uśmiechami z po za niebieskiego wachlarza.

Uwielbiano ją.

Chociaż mieszkała w domu odwiecznym, jak ona sama, w głębi zapomnianej ulicy, zdala od wszelkiego gwaru, odwiedzano ją tłumnie, przyprowadzano do niej dzieci, zamęczające ją pieśczołami.

Ciotunia pozwalała wszystko robić ze sobą; gubiła się w imionach tych pieśczołochów. Od stu lat tyle ich już widziała.

Wiedziały, że w tajemniczych pudełkach przechowywała pomadki i herbatniki.

— Mnie ciotuniu!

— Masz, cherubinku!

Obdarzać było jej szczęściem. Obdarzała stale przez sto lat swego życia. Majątek jej ojca, powstały z renty wspaniałomyślnego króla, mądrze administrowany, pozwalał jej wyposażać potajemnie wszystkie spokrewnione z nią dziewczęta, a każdego, kto przyszedł jej dziękować, bez litości wyrzucała za drzwi.

## II.

Ciotunia miała jedną manię, manię cudowną.

Kojarzyła małżeństwa.

Nie chodziło tu o łączenie fortun, o koligacye.

Ciotunia kojarzyła poprostu na to, żeby uszczęśliwiać. — Niezrównana w odgadywaniu tajemnic serca, bardzo doświadczona w rozpoznawaniu charakterów, gromadziła dookoła siebie tych, co »powinni byli« się sobie podobać, pozwalając im przestawać ze sobą do woli, podpowiadała nawet słowa, które doprowadzały do wyznania.

Trzeba ją było wówczas słyszeć prawiącą morały zakochanym, powtarzającą bez końca rady, wykładającą »teoryę« uczucia.

Ciotunia ukazywała takie piękne życie dla tych, którzy się kochali prawdziwą miłością. Czyż mogła nie

znać wszystkich tajemnic szczęścia, ona, co zdawała się być szczęściem chodzącem?

A kiedy już była zupełnie pewną, że się kochano, pocziwa staruszka dawała swoje błogosławieństwo i na-  
zajutrz wysyłała swoją służącą z woreczkiem pieniędzy.

Przeszło dwadzieścia małżeństw zawdzięczało jej w ten sposób swoje szczęście a do domu nigdy nie zawiąły niesnaski.

Ciotunia nie myliła się nigdy.

Pytano ją czasem:

— A ciotunia kochała kiedy? Czy doświadczyła ciotunia na sobie tych cennych rad, których nam udziela? Ciotunia musiała być idealną dziewczyną!

W odpowiedzi na to rozlegał się najprzód jej suchy, krótki kaszel.

— At, nic już nie wiem! To już tak dawno!...

— Tajemnice! To bardzo nieładnie. Strzeż się ciotuniu, wydamy cię jeszcze zamąż, pewnego pięknego poranku.

Śmiała się.

— Nie! Zbyt wielka stałaby wam się krzywda, gdybym wyszła zamąż. Małżonek mój zjadałby pomadki i nie spuszczałby oka z moich elixirów, których wypijacie trzy czwarte! Mam katar, ciotuniu!... Drapie mnie w gardle, ciotuniu!... Nie, lepiej wam tak, urwisze!

I garnęła się do niej młodzież, wołając:

— Nie wychodź zamąż, ciotuniu, nie wychodź!

Takie było jej życie. Jeżeli żałoba dotknęła kogoś z jej blizkich, to ona była tą, co pocieszała, narzekając, że jeszcze żyje, podczas gdy śmierć nieubłagana zabierała młodszych.

— Pan Bóg zapomniał o mnie — mówiła.

— Nie ciotuniu — odpowiadano jej — ty długo jeszcze żyć będziesz, aby uszczęśliwić.

## III.

Pewnego dnia jednak wzmógł się suchy kaszel.

— Widzicie — mówiła — miał rację, ten lekarz.

I zgromadziwszy u swego wezgłowia wszystkich krewnych, wymieniła każdemu z nich sumę, jaką mu przekazywała testamentem.

Przywołała następnie te ze swoich prawnuczek, które już mogły wyjść za mąż. Były to trzy ośmnastoletnie, miłutkie dziewczątka.

— Przystąpcie tu do mnie blisko, tak, żebyśmy mogły z wami samymi pomówić.

— Życzę sobie — szeptała — żebyście uporządkowały papiery i spaliły te, które trzeba spalić... Tak bardzo chciałam i was wydać za mąż... Bądźcie szczęśliwe... Podstawą szczęścia jest kochać prawdziwie i być kochaną...

Wszyscy płakali, klęcząc.

Złota ciotunia w liliowej sukni uśmiechała się w głębi wielkiego fotelu.

— Tak — szeptała, między jednym wybuchem kaszlu a drugim — być kochanym...

I skończyła po tych dwóch słowach... zupełnie nie zmieniona, trochę tylko przybladła.

## IV.

Spełniając ostatnią wolę zmarłej, zabrały się dziewczęta do uporządkowania pozostałych po niej z dawnych czasów papierów.

Było ich dużo. Ciotunia przechowywała listy od wszystkich swoich.

W kącie szuflady znalazły związany wstążką pakiecik z napisem: »spalić«.

Pismo było pożółkłe, widocznie bardzo dawne.

— Spalmy prędko.

— Co to może być?

— Jakaś tajemnica!

— Tajemnica miłosna!

— Ciotunia, ażeby się czuć tak, jak ona przez całe życie szczęśliwą i uszczęśliwiać drugich, musiała być bardzo kochaną.

— Rzucajmy w ogień!

Pakiecik padł na dogasające ognisko. Płomień muskał go zwolna, zaatakował jeden róg.

Dziewczęta wpatrywały się machinalnie.

Zatrzeszczały papiery.

— Listy! — zawołała jedna z dziewcząt.

— Kwiat! zeschnięta róża!

Jedna z siostrzenic chciała wydrzeć tę pamiątkę płomieniom.

— Nie ruszaj, niech się pali. To świętość.

Coraz żywszy płomień pochłaniał kwiat a wreszcie listy, rozrzucając je po ognisku. Można było rozróżnić wprawne, zwarte pismo.

— Widziałyście?

— Co?

— Te słowa...

— Jakie?

— »Moja najdroższa«.

Rzeczywiście, można było odczytać te magiczne wyrazy.

Trzy głosy wyszeptały:

— Kochanek ciotuni!

Ogień syczał, ogarniając coraz szybciej jeden list po drugim.

Wydała się tajemnica ciotuni...

— A to co? — zwróciła uwagę jedna z dziewcząt.

— Pismo ciotuni!

Obróciła się druga kartka.

— Tak wygląda, jakby pamiętnik, w którym codziennie zapisywało się wrażenia. Są różne daty.

— Mogę przeczytać: 1811.

— 1811!

— »5. maja... Niewdzięczny! Tak go kochałam... Żeni się!«

— A ta kartka, która się teraz pali... »8. maja... Skończyło się wszystko. Życie moje złamane na zawsze. Pozostało mi tylko cierpienie«.

Dziewczęta pochylały się nad ogniskiem, chcąc jeszcze coś odczytać. Płomień raz jeszcze, ostatni, buchnął z całą siłą, obejmując cały pakiet listów... i pozostała z tego wszystkiego garstka szarego popiołu.

— Czytałyście?

— Tak!

— »Pozostało mi tylko cierpienie«.

— Biedna ciotunia!

Zapanowało milczenie. Dziewczęta wpatrywały się jeszcze zadumane w zgasłe ognisko, które im odkryło tajemnicę ciotuni, tajemnicę tych, co uszczęśliwiają drugich, bo własnego szczęścia nie zaznali na ziemi.



MAKSYM GORKIJ.

## W S T E P I E.

**W**yszliśmy z Perekopu w najokropniejszym nastroju ducha, głodni jak wilki i źli na cały świat. Przez całe pół doby staraliśmy się bezskutecznie wszystkich nasz

spryt i usiłowania nasze w czyn zamienić, a żeby cośkolwiek ukraść albo zarobić, a kiedy przekonaliśmy się w końcu, że ani jedno, ani drugie nam się nie uda, postanowiliśmy iść dalej. Dokąd? Ot — dalej.

Postanowienie to było jednomyślne i nawzajem wypowiedziane, ale byliśmy także i w każdym wypadku gotowi pójść dalej po tej drodze życia, po której szliśmy już dawno; to było także przez każdego z nas postanowione milcząco, i chociaż nie wypowiedało się głośno, odbijało się wyraźnie w ponurym blasku naszych głodnych oczu.

Było nas trzech; zaznajomiliśmy się niedawno, spotkawszy się w Chersonie, w karczemce nad Dnieprem.

Jeden z nas był najprzód żołnierzem przy kolejowym batalionie, później podobno drogomistrzem na jednej z przywiślańskich dróg, rudy i muskularny człowiek, o zimnych, szarych oczach; mówił dobrze po niemiecku i odznaczał się drobiazgową znajomością życia więziennego.

Nasz brat nie lubi dużo mówić o swojej przeszłości, mając zawsze po temu mniej albo więcej uzasadnione powody, i dlatego to wierzyliśmy wszyscy jeden drugiemu — przynajmniej pozornie, bo w gruncie rzeczy, każdy z nas i samemu sobie nie dowierzał.

Kiedy nasz drugi towarzysz, chuderlawy i małeńki człowiek z wąskimi, sceptycznie zawsze wykrzywionymi ustami, mówił o sobie, że jest byłym studentem moskiewskiego uniwersytetu — ja i żołdat przyjmowaliśmy to za dobrą monetę, naprawdę jednak, było nam to najzupełniej obojętne, czy on był kiedy studentem, szpiegiem czy złodziejem — ważne było tylko to, że w chwili naszej znajomości był nam równy — był głodny, zwracał na siebie szczególną uwagę policyi w miastach a po dejrzenia chłopów we wsiach, nienawidził i tamtą i tych nienawiścią bezsilnego, zgonionego i głodnego zwierza,

marzył o powszechnej zemście na wszystkich i wszystkim, jednym słowem, i stanowiskiem swoim pośród królów przyrody i władców życia, i zapatrywaniami, był jagodą z naszego pola. — Niestety, to najmocniejszy cement do zjednoczenia nawet wręcz przeciwnych sobie natur, a my wszyscy byliśmy przekonani, że mamy prawo uważać się za nieszczęśliwych.

Trzecim, byłem ja. Ze skromności, którą zachowałem z moich młodych lat, nie powiem ani słowa o moich dobrych przymiotach, a nie chcąc okazać się wam naiwnym, zamilczę o moich wadach. Przez wzgląd jednak na materyał do mojej charakterystyki, bodaj to powiem, że zawsze uważałem siebie za lepszego od drugich i w przekonaniu tem trwam do dnia dzisiejszego.

Itak, wyruszyliśmy z Perekopu i szliśmy dalej, mając tego dnia na widoku pastuchów, których zawsze można poprosić o chleb i którzy bardzo rzadko odmawiają go podróżnym.

Ja szedłem w szeregu z żołdatem, »student« kroczył za nami. Na plecach miał coś, przypominającego surdut, na głowie szpiczastej, trójkątnej i krótko ostrzyżonej spoczywały resztki kapelusza o szerokich krysach; szare spodnie w różnokolorowe plamy przylegały do jego cienkich nówek, a do stóp przymocował sznurkami, ukreconymi z podszewki swojego kostiumu, znaną na drodze cholewę od buta; nazwał to obuwie sandałami i kroczył sobie w milczeniu, robiąc dużo kurzu i połykując swojemi zielonkowatemi, małemi oczami.

Żołdat miał na sobie czerwoną barchanową koszulę, którą, jak mówił, »własnoręcznie« nabył w Chersonie; po wierzchu koszuli miał jeszcze ciepłą watowaną kamizelkę; na głowie, według wojskowych przepisów, »z naciągniętym na prawą brew daszkiem«, żołnierską czapkę, nieokreślonego koloru; na nogach płatały się szerokie, czumakowe szarawary. Był bosy.



Ja także byłem odziany a bosy.

Szliśmy, a dokoła nas, na wszystkie strony z olbrzymim rozmachem rozpościerał się step, pokryty rozpieconą kopułą bezchmurnego, letniego nieba. Szara, pełna kurzu droga przerywała go szerokim pasem i podbijała nam nogi. Gdzieniedzie trafiały się najeżone zagony zżętego zboża, dziwnie podobne do dawno niegolonej twarzy żołдата.

Żołдата szedł i śpiewał chrypliwym basem:

— . . . I święte Zmartwychwstanie Twoje opiewamy i chwalamy...

Za czasów swojej służby wojskowej pełnił coś w rodzaju obowiązku diaka w batalionowej cerkwi i umiał niezliczone mnóstwo hymnów, psalmów i litanij, których znajomość wyzyskiwał zawsze, jeżeli z jakiegokolwiek powodu nie kleiła się nasza rozmowa.

Przed nami, na widnokręgu wyrastały jakieś figury o miękkich konturach i łagodnych odcieniach, od lilowego do blado różowego.

— Oczywiście, to Krymskie góry — zauważył »student« oschłym głosem.

— Góry? — rzekł żołдата — przywiduje ci się, bracie. Chmury to... poprostu chmury. Widzisz, jakie — całkiem żurawinowy kisiel z mlekiem...

Zrobiłem uwagę, że byłoby o wiele przyjemniej, gdyby chmury w samej rzeczy składały się z kisielu. Uwaga ta zbudziła naraz nasz głód, nasze nieszczęście.

— Ach, djabie! — zaklął żołдата, spluwając — ani żywej duszy! Nikogo... Przyjdzie, jak niedźwiedzom w zimie, własne łapy lizać...

— A mówiłem, że należało sięgnąć ku zaludnionym miejscom — ozwał się mentorskim tonem »student«.

— Tyś mówił! — burzył się żołдата. — Na toś ty uczony, żeby mówić. Jakżeż, tu są zaludnione miejsca? — Djabeł wie, gdzie one!

Student zamilkł, wykrzywając gębę. Słońce wzbijało się w górę a chmury mieniły się na horyzoncie różnobarwnymi, nie dającymi się opisać kolorami. Czuć było zapach ziemi i soli.

I od tej suchej, smacznej woni głód nasz wzmagał się jeszcze więcej.

Ssało w żołądkach. Było to dziwnie przykre uczucie: zdawało się, że ze wszystkich mięśni ciała wyciekają gdzieś powoli soki, wyparowują, i mięśnie tracą swoją rzeźkość. Uczucie dojmującej czczości wypełniało usta i gardło, w głowie się mąciło, a przed oczami migły czarne punkty. Niekiedy przybierały kształt dymiących kawałków mięsa, bochenków chleba; wspomnienie nasuwało tym »przywidzeniom przeszłości, przywidzeniom niemy«, właściwy im zapach i wtedy, jakby się nóż obracał w żołądku.

Pomimo to szliśmy, opisując sobie wzajemnie nasze uczucia i rozglądając się baczenie, czy nie widać gdzie stada owiec; nasłuchując, czy nie rozlega się gdzie przenikliwy zgrzyt wozu tatarą, wiozącego owoce na jarmark.

Ale step był pusty i głuchy.

W wilię tego ciężkiego dnia zjedliśmy we trzech cztery funty razowego chleba i pięć arbuzów, a przeszliśmy około czterdziestu wiorst — rozchód większy od przychodu — i położywszy się na targowym placu w Perekopie, przespaliśmy głód.

»Student« dobrze nam radził, nie kłaść się, tylko w ciągu nocy zająć się... ale w porządnym towarzystwie nie wypada mówić głośno o projektach naruszenia prawa własności, więc milczę. Ja tylko chcę być szczerym i nie w moim interesie prawdomownym. Wiem, że ludzie w naszych czasach wysokiej kultury są bardzo miękkiego serca i nawet, gdy chwytają za gardło swego bliźniego z widocznym zamiarem uduszenia go, to starają się robić to z możliwą uprzejmością i zachowaniem wszel-

kiej przyzwoitości, wskazanej w danym wypadku. Doświadczenie na mojem własnem gardle skłania mię do zwrócenia waszej uwagi na to doskonalenie się obyczajów, i z przyjemnem uczuciem pewności stwierdzam, że wszystko rozwija się i udoskonala na tym świecie.

Najlepszym dowodem tego pocieszającego objawu jest stały wzrost więzień, szynków i domów rozpusty...

I tak, łykając ślinę i starając się przyjacielską gawędą przytłumić bole w żołądkach, szliśmy pustym, głuchym stepem, szliśmy przy czerwonawem świetle zachodu, pełni smutnej nadziei; przed nami zachodziło słońce, zatapiając się cicho w lekkich obłokach, hojnie ozłoconych jego promieniami, a za nami z boków niebieskawa mgła, podnosząc się z ziemi ku niebu, zacieśniała otaczające nas horyzonty.

— Zbierajcie bracia materyał na ognisko — zachęcał żołdat, podnosząc z drogi jakiś patyk. — Przyjdzie nocować w stepie... rosa. Słomę, najmniejszy kłapeć — wszystko bierz!

Rozeszliśmy się po bokach drogi i zaczęliśmy zbierać suche burzany i wszystko, co się mogło spalić. Za każdym razem, gdy trzeba było schylić się do ziemi, w całym ciele powstawało nieprzewyciężone pragnienie paść na nią, leżeć bez ruchu i jeść ją, czarną i tłustą, jeść dużo, jeść aż do zmęczenia a potem zasnąć. Zasnąć chociażby na zawsze, byle tylko jeść, przeżuwać i czuć, jak ciepły i gęsty krupnik z ust spuszcza się zwolna po przewodzie pokarmowym do wygłodzonego, skurczonego żołądka, żądnego wchłonać w siebie cośkolwiek...

— Żeby chociaż korzenie jakie znaleźć... — westchnął żołdat. — Są takie, jadalne korzenie...

Ale w czarnej, zoranej ziemi nie było nawet korzeni. Południowa noc zapadała szybko i jeszcze nie zdążył zgasnąć ostatni promień słońca, kiedy już na ciemnolazurowem niebie zajaśniały gwiazdy a w około nas

coraz szczelniej zlewały się szare cienie, zaciemniając niezmierną płaszczyznę obejmującego nas stepu...

— Bracia — półgłosem odezwał się »student« — tam, na lewo, leży człowiek...

— Człowiek? — z powątpiewaniem zapytał żołdat.

— A czegożby on tam leżał?

— Idź i zapytaj. Z pewnością ma chleb, kiedy tak rozłożył się w stepie... — twierdził »student«.

Żołdat popatrzył w stronę, gdzie leżał człowiek i splunawszy, rzekł z determinacją.

— Chodźmy do niego!

Tylko zielone i bystre oczy »studenta« mogły rozpoznać, że ciemna masa, wznosząca się na jakie pięćdziesiąt kroków na lewo od drogi, jest człowiekiem. Bięliśmy do niego, przeskakując bryły oraniny i czuliśmy, jak wzrastająca w nas nadzieja na jedzenie zaostrza bole głodu. Byliśmy już blisko — człowiek się nie podnosił.

— A może to nie człowiek — wyraził posępnie żołdat wspólną nam wszystkim myśl.

Ale niepewność nasza rozwiązała się w tej chwili, gdyż masa na ziemi poruszyła się naraz, wyrosła, i zobaczyliśmy, że to — najprawdziwszy, żywy człowiek, który klęcząc, wyciągał ku nam rękę.

I zawołał do nas głuchym, drżącym głosem:

— Nie przystępuj — zastrzele!

Naraz, w mglistem powietrzu rozległ się donośny strzał rewolwerowy.

Przystanęliśmy jak na komendę i milczeliśmy kilka sekund, oszołomieni tem wrogiem przywitaniem.

— Ot, plugawiec! — mruknął żołdat.

— A cóż — w zadumie potwierdził »student«. — Z rewolwerem chodzi... ikrzasta widać ryba...

— Hej! — krzyknął żołdat, widocznie coś postanowiwszy.

Człowiek, nie zmieniając pozycyi, milczał:

— Hej, ty! Nie tkniemy cię... daj nam tylko chleba... jeść, herbaty. Daj, bracie, na miłość Boga!... Przeklęty bądź! — Te ostatnie słowa wymówił pocichu.

Człowiek ciągle milczał.

— Słyszysz? — trzęsąc się ze złości i rozpacz przemawiał znów żołdat. — Daj chleba. Nie zbliżymy się do ciebie... rzuć nam...

— Dobrze... — wkrótce odpowiedział człowiek.

Gdyby był do nas przemówił: »drodzy bracia moi!« i w te trzy chrześcijańskie słowa wlał najświętsze uczucia, to nie zbudowałyby nas tak niemi i nie uczłowieczył, jak tem głuchem i krótkim:

— Dobrze!

— Ty się nas nie bój, dobry człowiecze — łagodnie i ze słodkim na twarzy uśmiechem przemawiał żołdat, chociaż człowiek nie mógł zobaczyć jego uśmiechu z odległości co najmniej dwudziestu kroków.

— My spokojni ludzie... idziemy z Rosyi do Kubania... Zabrakło nam w drodze pieniędzy, wszystko dawno zjedli... a teraz, ot, już drugą dobę nie jemy...

— Masz! — rzekł dobry człowiek, machnąwszy ręką w powietrzu. Czarny kawałek mignął i upadł niedaleko nas, na roli. »Student« rzucił się za nim.

— Masz jeszcze! Jeszcze! Więcej nie mam...

Gdy »student« pozbiierał tę oryginalną jałmużnę, okazało się, że mamy ze cztery funty czerstwego, pszenego chleba. Powalany był ziemią i jak już powiedziałem, czerstwy. Nad pierwszym nie zastanawialiśmy się wcale, drugie ucieszyło nas bardzo. Czerstwy chleb sytniejszy od świeżego, mniej w nim wilgoci.

— Tak... tak... i tak! — obdzielał nas żołdat kawałkiem chleba. — Czekaj, nierówno! Z twego, uczony, trzeba uszczypnąć kawałek, bo jemu za mało...

»Student«, nie oponując, poddał się utracie kawałka chleba. Ja go dostałem i włożyłem w usta.

I zacząłem żuć powoli, ledwo wytrzymując konwulsyjne poruszanie się szczęk, gotowych kamień rozkruszyć. Odczuwanie skurczów w przewodzie pokarmowym sprawiało mi rozkosz niewypowiedzianą. Kąsek po kąsku, niepamiętnie smaczne, przenikały do wygłodzonego żołądka i zdawało się w tej chwili, że zamieniają się w krew i mózg. Uczucie dziwnej, niemej a ożywiającej radości, rozgrzewało serce w miarę wypełniania żołądka, a stan mój ogólny podobny był do jakiegoś pół-snu. Zapomniałem o tych przeklętych chwilach chronicznego głodu, zapomniałem także o moich towarzyszach, zatopiony cały w doznawanych rozkoszach.

Skoro jednak zesypałem z dłoni w usta ostatnie kruszki chleba, uczułem, że śmiertelnie jestem głodny.

— U tego potępieńca sadło tam jeszcze zostało, a może i mięso jakie — warczał żołdat, siedząc naprzeciwko mnie na ziemi i pocierając rękami żołądek.

— Niezawodnie, chleb nawet miał zapach mięsa... I herbata jeszcze została.. — zapewniał »student«, dodając pocichu:

— Gdyby nie rewolwer...

— Kto on taki? ha?

— Widocznie także nasz brat Izak...

— Pies! huknął żołdat.

Siedzieliśmy w zwartej grupie i z ukosa spoglądaliśmy tam, gdzie był nasz dobroczyńca z rewolwerem. Nie dochodził nas stamtąd żaden odgłos, żaden znak życia.

Noc zbierała dokoła nas swoje ciemne siły. Martwa cisza panowała w stepie. Słyszeliśmy wzajemnie nasz oddech. Od czasu do czasu rozlegał się smętny świst susła... Gwiazdy, żywe kwiaty nieba, płonęły nad nami. Byliśmy strasznie głodni.

Z dumą wyznaję — nie byłem ani gorszym, ani lepszym od moich przygodnych towarzyszków w tę dzi-

wną trochę noc. Zaproponowałem im iść na tego człowieka. Nie tkniemy go, ale zjemy mu wszystko, co znajdziemy. Będzie strzelał — niech tam! Z trzech, trafi jednego, jeżeli trafi; a chociaż i trafi, to kula rewolwerowa nie zabije na śmierć.

— Chodźmy! — rzekł, zrywając się, żołdat.

»Student« podniósł się wolniej od niego.

I poszliśmy, pobiegliśmy niemal. »Student« trzymał się z tyłu za nami.

— Towarzyszu! — wyzywająco krzyknął żołdat.

W odpowiedzi na to, usłyszeliśmy głuchy pomruk i łoskot spiesznie odwodzonego kurka. Błysnął ogień, padł strzał.

— Chybił! — radośnie zawołał żołdat, jednym sussem przyskakując do człowieka. — Nu, djabie, ja ci tu dam teraz...

»Student« rzucił się na tobołek.

A djabel upadł z kolan na wznak i rozkładając ręce, harczał...

— Co za czort! — zdumiał się żołdat, podniósłszy już nogę, ażeby kopnąć człowieka. — Może on do siebie wygarnął? Ty! Cóż ty? Zastrzelił się, czy co?

— I mięso i placki jakieś i chleb... dużo, bracia! — cieszył się »student«.

— Nu, czort z tobą, zdychaj... Jedzmy przyjaciele! — wezwał żołdat.

Ja wyjąłem rewolwer z ręki człowieka, który już przestał harczeć i leżał teraz bez ruchu. W bębnie tylko jeden jeszcze był ładunek.

Jedliśmy znowu, jedliśmy w milczeniu. Człowiek leżał i także milczał, nie poruszając ani jednym członkiem. Nie zwracaliśmy na niego uwagi.

— Czy wy to wszystko, bracia moi kochani, jesteście doprawdy z głodu? — rozległ się naraz chrypliwy i drżący głos.

Drgnęliśmy wszyscy. »Student« zaksztusił się nawet, i nachyliwszy się ku ziemi, zaczął kaszlać.

Sołdat, przeżuając kawał mięsa, zaklął.

— Ty psiaduszo! skórę z ciebie ściągniemy, czy co? Na diabła nam się zdała: Obrzydliwa mordą, plugawy! Uzbroił się i strzela do ludzi! Potępieńcze ty...

Klął i jadł, wskutek czego, przekleństwa jego tra-ciły na dobitności i sile...

— Poczekaj, jak zjemy, to się porachujemy z to-bą! — złowrogo odezwał się student.

Na to, wśród ciszy nocnej, ku naszemu przerażeniu rozległ się żaloszny lament.

— Bracia... czy ja wiedziałem? Strzelałem... bo się boję. Idę z Nowego Atonu... do Smoleńskiej gubernii... o, och, Boże! Febra trzęsie, jak tylko słońce zajdzie — bieda moja! Przed febrą uciekłem z Atony... miałem tam robotę... stolarz jestem... W domu żona... dwie córeczki... czwarty rok ich już nie widziałem... bracia! Zjedzcie wszystko...

— Zjemy, nie proś — upewniał »student«.

— Boże! gdybym był wiedział, że wy spokojni, dobrzy ludzie... czyż byłbym strzelał? A tu, bracia, step, noc... cóż ja winien? ha? — Mówił i płakał, a raczej wydawał z siebie przeciągłe, przejmujące wycie.

— A to zawodzi! — pogardliwie mruknął żołdat.

— On z pewnością ma przy sobie pieniądze — wtrącił »student«.

Sołdat łypnął oczami, popatrzył na niego i uśmiechnął się.

— O, jaki ty domyślny... Ot co, rozpalmy ognisko i spać.

— A on? — zapytał »student«.

Djabeł go bierz! Mamy go spiec, czy co?

— Wypadałoby — kiwnął »student« swoją spiczastą głową.



Poszliśmy po uzbieraną sucharzynę, porzuconą tam, gdzie nas stolarz zatrzymał swoim groźnym wezwaniem, ułożyliśmy stos i zasiedliśmy niebawem koło ogniska płonącego spokojnie w bezwietrzną noc i oświetlającego niewielką, zajętą przez nas przestrzeń. Zbiierało nam się na sen, chociaż moglibyśmy zjeść jeszcze jedną taką wieszczerzę.

— Bracia! — odezwał się stolarz. — Leżał o trzy kroki od nas i już przedtem mi się zdawało, że coś szepce.

— A co tam? — zapytał żołdat.

— Czy mogę do was... do ognia? Śmierć moja się zbliża... wszystkie kości mnie łamią... Boże! nie znajdę ja widać do domu...

— Leż tutaj — zdecydował »student«.

Stolarz powoli, jakby się bał postradać rękę albo nogę, przywłókł się do ogniska. Był to wysoki i strasznie chudy człowiek; wszystko na nim jakoś okropnie wisało a wielkie, mętne oczy zdradzały cierpienie. Jego twarz wykrzywiona, nawet przy świetle ogniska, miała żółto-ziemisty, trupi kolor. Drżał cały i wzbudzał litość. Wyciągając do ognia swoje długie, chude ręce, pocierał powykrzywiane palce, których stawy gięły się z trudnością, leniwie. Jednym słowem przykro było patrzeć na niego.

— Cóż ty, w takim stanie, na piechotę idziesz? ze skąpstwa, czy co? — ponuro zapytał żołdat.

— Poradzili mi... nie jedź, powiadają wodą... a idź przez Krym, powietrze, powiadają. I oto nie mogę iść... umieram bracia! umrę sam w stepie... ptaki rozszarpia i nikt się nie dowie... Żona... dzieci będą czekać — pisałem do nich... a moje kości stepowe spluczą deszcze... Boże, Boże!

Zawodził tęsknym głosem zranionego wilka.

— O, djable! — wybuchnął żołdat, skacząc na równe nogi... — Czego ty wyjesz? Czego nie dajesz lu-

dziom spokoju? Zdychasz? Nu to zdychaj, a milcz... Komuś ty potrzebny? Milcz!

— Daj mu po łbie — radził »student«.

— Kładźmy się spać — powiedziałem. — A ty jak chcesz być przy ogniu, to nie wyj...

— Słyszysz? — groźnie rzekł żołdat. — No, zrozumiałeś? Cóż ty sobie myślisz, że my ciebie żałować i ciągnąć za sobą będziemy za to, żeś na nas chlebem rzucił i kule puszczał? Czorcie zgniły? Inniby... tfu...

Zamilkł po tej perorze — i wyciągnął się na ziemi.

»Student« już leżał. Ja się także położyłem. Nastraszony stolarz zwinął się w kłębek i wpatrywał się w ogień. Leżałem po prawej stronie od niego i słyszałem, jak dzwonił zębami. »Student« ułożył się po lewej stronie — i, zdawało się, zasnął odrazu. Żołdat leżał z założonymi pod głowę rękami i patrzył w niebo.

— Jaka noc, ha? Wiele gwiazd... parno... — obrócił się do mnie po pewnym czasie. — Takie niebo, to kołdra, a nie niebo. Lubię ja bracie to włóczęgowskie życie. Chłodno i głodno, ale swoboda... Niema nad tobą żadnej władzy... sam ty swojego życia panem... Choćbyś sobie głowę odkaślił — nikt ci słowa nie może powiedzieć... Dobrze mi... Wygłodziłem się przez te dni, wycierpiałem... a ot teraz leżę, patrzę w niebo... Gwiazdy mrugają do mnie... zupełnie jakby mi chciały powiedzieć: — to nic, Łatukin, chodź, wiesz, po świecie i nie poddawaj się nikomu... No — tak... I dobrze na sercu... A ty... jak ci tam? hej, stolarz! Ty nie gniewaj się na mnie i niczego się nie bój.. Żeśmy chleb twój zjedli, to nic — ty miałeś chleb, a myśmy go nie mieli, to i zjedliśmy twój.. A ty, dziki człowiecze, kule puszczasz... Cóż ty nie wiesz, że kulą możesz krzywdę człowiekowi wyrządzić? Strasznie byłem zły na ciebie — i gdybyś był nie upadł, zdmuchnąłbym ja cię, bracie, za twoje zuchwalstwo. A co do chleba — dojdiesz jutro do Pe-

rekopu i kupisz tam — pieniądze masz... ja wiem... Dawność złapał tę febrę?

Długo jeszcze brzmiał mi w uszach bas żołdata i drżący głos chorego stolarza. Noc — ciemna, prawie czarna, spuszczała się coraz niżej na ziemię i do piersi wciskało się świeże, zdrowe powietrze.

Od ogniska rozchodziło się równe światło i ożywcze ciepło... Kleiły się oczy, a przed nimi, w półśnie, unosiło się coś uspokajającego i rozgrzeszającego...

— Wstawaj! Prędko! Idziemy!

Z uczuciem trwogi otworzyłem oczy i rażno skoczyłem na nogi, do czego dopomógł mi żołdat szarpnąwszy mię silnie za ramię.

— Nu, prędko! Chodź!

Twarz jego była surowa i przestraszona. Rozejrzałem się dokoła. Wschodzące słońce rzucało już swoje różowe promienie na martwą i siną twarz stolarza. Usta miał otwarte, oczy wystąpiły silnie z zagłębień i patrzyły szklannym, przerażonym wzrokiem. Całe ubranie na piersiach miał poszarpane i leżał w nienaturalnie powykręcanej pozycji. »Studenta« nie było.

— Nu, zapatrzył się! Chodź, mówię! — nalegał natarczywie żołdat, ciągnąc mię za rękę.

— Umarł? — zapytałem bardzo zdziwiony, trzęsąc się z rannego chłodu.

— Pewnie. Jakby ciebie udusić, to także umrzesz — odpowiedział żołdat.

— Jego... »studenta«? — zawołałem.

— Nu, a któż? Może ty? Ja? Nu tak. Ot tobie i uczony... Gładko się zwinął z człowiekiem... i towarzysów swoich wsadził w kabałę... Gdyby to był powiedział wczoraj, byłbym go zabił. Zabiłbym bez namysłu. Trach, kułakiem w skroń... i niema na świecie jednego łotra! Wiesz ty, co on nam zrobił? Musimy

teraz tak iść, żeby ani jedno ludzkie oko nie zobaczyło nas w stepie. Rozumiesz? Stolarza dzisiaj znajdą i zobaczą — uduszony zrabowany. I będą śledzić naszego brata... skąd idzie, gdzie nocował? No i złapią nas... Chociaż, ciśnij jak chcesz — nie ma nic... a rewolwer to u mnie za pazuchą! Sztuka!

— Rzuć go — radziłem żołdatowi.

— Rzucić? — odparł w zamyśleniu... To cenna rzecz... A może nas jeszcze nie złapią... Nie, nie rzucę... ktoś wie, że stolarz miał broń? Nie rzucę... Wart trzy ruble. Jest w nim kula.. Jakbym ja tę kulę naszemu miłemu towarzyszowi puścił w ucho! Wiele to on, pies, pieniędzy zagrabił, ha? Potępieniec!

— Ot masz i córki stolarza — rzekłem.

— Córki? Jakie? A, tego... No, one wyrosną, za męża, to nie za nas wyjdą, o nich nie ma co i mówić... Chodźmyż, bracie, prędzej... Dokąd nam iść?

— Ja nie wiem... Wszystko jedno.

— I ja nie wiem i wiem, że wszystko jedno. Chodźmy na prawo — tam powinno być morze.

Poszliśmy na prawo.

Spojrzałem za siebie. Daleko od nas w stepie wznosił się ciemny pagórek, a nad nim świeciło słońce.

— Patrzysz czy nie zmartwychwstał? Nie bój się, nie wstanie nas doganiać. Uczony, bardzo sprytny, wiadać, chłopiec... gruntownie się sprawił... Nu, a to towarzyszu! Tęgo nas wsadził! Ej, bracie! Psują się ludzie, z roku na rok coraz więcej się psują! — smutno, zawyrokował żołdat.

Step milczący i pusty, zalany cały świeżym słońcem poranka, roztaczał się dokoła nas i łączył na horyzoncie z niebem, takim jasnym, takim dobrem i szczerem, że każdy brudny i nikczemny czyn zdawał się niemożliwym wśród wielkiego przestworza tej swobodnej równiny, nakrytej szafirową kopułą niebios.

— Żreć się chce bracie! — skarżył się mój towarzysz podróży.

— A co my dzisiaj jeść będziemy, gdzie i jak?  
Zadanie!

.....

Na tem gawędziarz — mój sąsiad w szpitalu — zakończył swoją opowieść, dodając:

— Ot i wszystko. Zaprzyżniłem się bardzo z tym żołdatem i doszliśmy razem do Karskiego obwodu. Dobry to był i bardzo doświadczony, typowy włóczęga — bosak. Poważałem go. Do samej Małej Azji szliśmy razem, a tam, straciliśmy się z oczu..

— Wspomina pan kiedy o stolarzu? — zapytałem.

— Jak pan widzi, a raczej, jak pan słyszy.

— I nic?

Uśmiechnął się.

— A cóż ja mogę odczuwać? Jam temu nie winien, co się z nim stało, tak samo, jak pan nie winien co się ze mną stało... I nikt niczemu nie winien, chociaż my wszyscy jednak — bydlęta.



PAWEŁ BOURGET.

## W Ó D Z.

**W** przedziale wagonu, którym wracałem w towarzystwie kilku przyjaciół z przeglądu wojsk, urządzonego przeszłego roku dla cesarza rosyjskiego, rozmowa zesłała na jedną z najżywoźniejszych zawsze kwestyj w każdej armii, a mianowicie na karność. Przysłuchu-

jący się naszej rozmowie pensyonowany pułkownik, opowiedział nam przy tej sposobności nadzwyczaj ciekawy z czasów swojej służby na ten temat epizod, który, korzystając z jego pozwolenia, z pominięciem nazwisk, powtarzam w całości.

\* \* \*

Gustaw P... — opowiadał nam pułkownik — był wówczas, w roku 1884, dowódcą szwadronu strzelców. Miał już blisko czterdzieści lat, ale taki był smukły a taki dzielny, taki pełen zapału, że patrząc na niego, na czele atakującego oddziału, mimowoli przychodziło na myśl, że tacy musieli być wielcy wodzowie kawaleryi: Lassale, Latour - Mauborg, Montbrun.

W czasie, kiedy się to działo, uważaliśmy go za tego, który najdalej i najprędzej ze wszystkich nas zajdzie, tem więcej, że interesował się nim bardzo, nim, co wcale nie potrzebował protekcji, komendant korpusu, najbardziej wpływowy w ministerjum, generał N... Ci dwaj idealni żołnierze, podobni z temperamentu, pomimo różnicy wieku — o całą generację — rozumieli się doskonale. Rozumieli się naturalnie, w rzeczach służby dotyczących, bo co do obyczajów, generał N... był zawsze tradycją Catinatów, Davoustów, Friantów, tych bohaterów, którzy swoje cnoty wrodzone podnoszą tylko wojennymi czynami, podczas gdy P..., jak ten Lassale, z którym go porównałem, był w całym tego słowa znaczeniu zawadyką. Lubił ucztę, grę i kobiety... W dwudziestym piątym roku życia urokowi tego ładnego żołnierza nie oparła się żadna kobieta. Takim był jeszcze w roku 1884, chociaż włosy jego, przedwcześnie posiwiałe, czyniły go starszym, pomimo postaci i ruchów zawsze młodzieńczych. Miał dużo przygód miłosnych i to w różnych sferach. Niektóre znałem, inne odgadywałem. Nie brał ich nigdy bardzo na seryo. Przy lada

uczcie wesołej z kolegami lub przyjaciółmi zapominał o wszystkim.

Pewnego dnia, w czasie wielkich manewrów, generał N..., pod którym służyłem, pokazał mi listę oficerów przeznaczonych do jego sztabu, między którymi wyczytawszy nazwisko P..., nie mogłem się powstrzymać od objawu mego zadowolenia.

— Wiem — rzekł N... — lubisz go bardzo. To jeden z powodów, że prosiłem o niego. Trzeba go rozerwać. Zaawanturował się szkaradnie. Dawno go widziałeś?

— Sześć albo siedm miesięcy temu, generale.

— Zmienił się bardzo. Zakochał się, i to źle się zakochał..

I opowiedział mi generał, że P..., stojący wówczas na kwaterze w Compiègne, zanadto blisko Paryża, nawiązał stosunek z drugorzędną aktorką »Rozmaitości« i zakochał się w niej szalenie. Awanturница ta wyzyskiwała go i oszukiwała. Kosztowała go już przeszło pięćdziesiąt tysięcy franków, sumę olbrzymią w stosunku do jego skromnego majątku. Rodzice, uprzedzeni przez jednego z kolegów, wzywali go do opamiętania się. Odpowiedział im w taki sposób, że przestraszeni, zwrócili się do generała. N... mówił z nim osobiście, na nic jednak nie zdały się wszelkie przedstawienia.

— Obiecywałem mu — skarżył się przedemną ten zacny człowiek — ułatwić przeniesienie, gdzie tylko zechce, byle daleko od bulwarów, i wiesz pan co mi odpowiedział: »Za sześć tygodni podam się do dymisji«... Jego dymisyjonować! Takiego oficera! Dla kogo? Dlatego to prosiłem o niego, ażeby go mieć pod ręką podczas manewrów i jeszcze raz z nim pomówić. Staraj się także wpłynąć na niego. Jeżeli mu koniecznie potrzeba spodniczki, niech się żeni. To całkiem naturalne. Związki rodzinne uszlachetniają żołnierza, inne zaś, psują go. Daj mi słowo, że w ratowaniu go będziesz mi pomocnym«.

W kilka dni po tej rozmowie połączył się z nami P... w Esternay, spażniając się o 24 godzin. Spóźnił się, on, ten wzór służbistości! Gdyby mi był generał nie odkrył nawet całej prawdy, poznałbym ją na pierwszy rzut oka. Fizycznie nie zmienił się P... Zawsze był tym samym smukłym a dziarskim, stworzonym na oficera, którego ruch każdy rozkazuje. Ale w głębi jego jasnych źrenic widać było niepokój nie znany mi dawniej u tego najbardziej pewnego siebie człowieka, zmarszczka goryczy w kącie ust ocienionych siwiejącymi wąsami, nerwowość w całej jego postaci, porywczość w głosie jak u kogoś, kogo szarpie co chwila rana ukryta... Wrażenie, jakiego doznałem na widok jego cierpienia było tak silne, że nie pozwoliłem sobie na żadne żarty, jakimi byłbym go dawniej powitał, wiedząc to, co wiedziałem.

— Oczekiwaliśmy cię przedwczoraj — powiedziałem mu krótko. — Nie spotkałeś się z generałem?

— Nie — odpowiedział P... — poczem, nie wdając się ze mną w dłuższą rozmowę, zapytał tylko: »Gdzie mi dasz kwaterę?

I po za tą kwestyą służbową, nic, ani słówka o tem, co się z nami działo przez te sześć miesięcy. Ani słówka także przy wspólnej wieczerzy, podczas której o tyle tylko mięszał się do naszej rozmowy, żeby milczeniem swoim nie zwracać na siebie uwagi. Wstał przed ukończeniem wieczerzy, a idąc w ślad za nim z silnem postanowieniem przełamania, bądź co bądź, tych lodów, spostrzegłem jak wypytywał o coś żołnierza.

— O co ci chodzi? — szepnąłem, zbliżając się do niego. — Czy nie mógłbym ci oddać jakiej przysługi?

— Chciałem się dowiedzieć, kiedy przychodzi poczta? — odpowiedział.

— Już! — rzekłem, biorąc go pod ramię. — Spodziewasz się listu od kobiety. Czy nigdy już nie zmienisz sposobu twego postępowania? Opowiesz mi to...



— Mylisz się — odparł, uwalniając swoje ramię z widoczną irytacją. — Oczekuję od mego notaryusza odpowiedzi, dotyczącej uregulowania pewnej sprawy. Ale, oto mój służący...

— Proszę na mnie więcej nie liczyć, generale — powiedziałem naszemu wspólnemu protektorowi, tego samego wieczora. Wezwał mnie do siebie, chcąc się czegoś dowiedzieć o zachowaniu P... — Zaledwie był grzecznym i gdyby to był kto inny...

— Tak, ale to nie jest inny -- przerwał generał. — Przypominasz sobie, co napisał Napoleon księciu d'Eckmühl, posyłając mu Vandamme'a? »Niezośny jest. Ale bądź względny dla niego, bo to dzielny żołnierz, a takich coraz mniej mamy«. Ja nie jestem Napoleonem, a ty nie wygrałeś Auerstädtu. Ale Vandamme z pewnością nie był dzielniejszym od P... i nie znosił mężniej niebezpieczeństw wojny. Tego jestem pewny. Bądź tak, jak ja pobłażliwym dla niego. Trzeba, żeby przeżył ten fatalny okres, nie dymisjonując się. Uratujemy go na pewno. Zobaczysz...

To »zobaczysz« znaczyło, co z góry wiedziałem, że manewry, jak zwykle z N..., będą tak ostro prowadzone że nasi koledzy i my wszyscy nie będziemy mieli ani chwili czasu na oddawanie się myślom o naszych sprawach miłosnych albo innych. Jak pojmował swoje obowiązki wodza N..., a jakim przytem był zacnym człowiekiem, oszczędzicie sami z przygody, którą wam opowiem.

Pracowaliśmy tedy podczas manewrów okrutnie, a P... taksamo jak inni, a może nawet więcej, bo generał nie wypuszczał go ze swej opieki. Ja także, ciągle miałem oko zwrócone na niego, unikając jednak wprowadzenia go w zły humor i nie narażając mojej cierpliwości na nową próbę. Po pewnym czasie zauważyłem, że kuracya, zastosowana przez wodza, zaczyna działać skutecznie. P... śmiał się już chwilami i rozmawiał z nami

jak niegdyś. To też nie mogłem wcale spodziewać się wybuchu szaleństwa, jakim nagle przeraził nas wszystkich. Dziś jeszcze nie mogę spokojnie o tem pomyśleć. Wiedziałem, że w wilię tego fatalnego dnia, otrzymał od jednego z tych przyjaciół nierozważnych, którym się zdaje, że oddają nam przysługę, odkrywając nam to, o czem myśl sama przejmuje nas desperacją, straszny list o zachowywaniu się kochanki w czasie jego nieobecności. Zauważyłem dobrze, mówiąc mu dzień dobry owego ranka, że twarz jego zdradzała wzburzenie. Później, przestałem o tem myśleć wśród przygotowań do zapowiedzianej akcji naszego korpusu...

Poranne niebo zapowiadało piękny, gorący dzień. Mogła być ósma godzina i słońce już dopiekało. Stanowiliśmy małą grupę oficerów, oczekujących na wzgórzu, w cieniu drzew, powrotu generała N..., który nas porzucił bez eskorty, ażeby rzucić okiem na wojska. Wiedząc, że jego nieobecność trwać będzie dłużej, posiadaliśmy z koni i powierzyliśmy je dozorowi naszych ludzi. Wtem słyszę, jak jeden z kolegów odzywa się do P.:

— Popatrzo, jak ten gałgan szarpie twego konia; będziesz mógł mówić o szczęściu, jeżeli mu nie pokaleczy pyska...

Rzeczywiście, huzar dozorujący konia P..., maltretował biedne zwierzę, szarpiąc go mundsztukiem, ażeby go uspokoić. P... obraca się. Dostrzega tę scenę. Wyraz wściekłości, jakiego u nikogo w życiu mojem jeszcze nie widziałem, zmienia jego twarz, poczerniała nagle, jak ziemia. Zanim któryś z nas mógł chociażby pomyśleć o powstrzymaniu go, rzucił się z wzniesioną do góry szpicrutą. Żołnierz, który nie zauważył zbliżenia się oficera, otrzymał pierwsze uderzenie szpicrutą w plecy. Odskoczył na bok. Drugi cios strąca mu kępi z głowy. Przez chwilę myśleliśmy, że rzuci się na napastnika, tak zbladł i takie straszne rzucił spojrzenia! Puścił cugle konia

i zacisnął pięści. Na szczęście, pohamował się. Zobaczyliśmy coś, co nie było strachem, górującym nad jego złością. Podniósł kepi i odwiązał swego własnego konia, podczas gdy P..., pozostawiony samemu sobie, uporządkował cugle swego wierzchowca i dosiadł go wśród niczem nie zakłóconego przez świadków milczenia, które stało się tragicznym, kiedyśmy usłyszeli głos, wzywającego nas generała. Nadjechał krótkim galopem, zanim zdołaliśmy go dostrzedz poza grupą drzew.

— A no, panowie, na konie, a prędko! Musimy dzień dzisiejszy dobrze zakończyć... — Skoro jednak jeszcze więcej zbliżył się do nas, przestał żartować. Z zachowania się naszego odgadł, że zaszło coś nadzwyczajnego w jego nieobecności i zapytał:

— Ah tak! Co się stało?

— Nic, generale — odpowiedziałem, jakby się zwracał do mnie samego. — Stanowczo nic... — Ten sam instynkt, który mi podyktował kłamstwo, sprawił, że ani jeden głos się nie podniósł, aby mi zaprzeczyć. Przypominam sobie, że wymawiając te słowa, nie śmiałem spojrzeć w stronę zbitego żołnierza. On także nie protestował wcale. Generał powiedział tylko: — Ah!... — co było dla mnie dowodem, że nie dał się oszukać, a przede wszystkim służba... Nie nalegał też, a w kilka minut później galopowaliśmy wszyscy strzemień w strzemień w kierunku, wskazanym przez naszego szefa, ażeby, jak się wyraził, »dobrze dzień zakończyć«. Ja tylko, co dobrze go znałem, byłem pewny, że nie zaniedba zbadać gruntownie rannego zdarzenia. A jakże ukryć to zdarzenie, kiedy było dwudziestu świadków, przeważnie prostych żołnierzy? A zresztą, pokrzywdzony zanieś skargę, i będzie miał rację. Co się stanie z winowajcą? A dla nas wszystkich, jakie upokorzenie! Nie spojrzałem na P... przez dwanaście godzin, nie przemówiłem do niego ani słowa.

To, co przewidywałem — nastąpiło. Około godziny ósmej wieczorem, kiedyśmy się rozkwaterowali w miasteczku, przeznaczonem na nocleg, wezwał mnie do siebie generał N...

— Na szczęście — zapewnił mnie porucznik przez niego przysłany — nie wie nic o tej szkaradnej scenie. Dowiedziałem się także, że wybity przez komendanta P..., żołnierz nie będzie się skarżył.

— Jakto?

— Mówił mi to jeden z naszych ludzi. Wszyscy ci, którzy byli z nami, i on także, przysięgli, że nic nie powiedzą. »Szef bardzo go lubi« — powiedzieli mi — mówiąc o P..., »traktuje go, jak syna, a dla nas bardzo jest dobry. Nie zrobimy mu tej przykrości«.

— Ależ to niemożliwe! — zawołałem.

— Nie wiem, czy to niemożliwe — rzekł porucznik, — ale tak jest. Jacy to jednakże ludzie!

— Jeżeli ich prowadzi ktoś taki, jak generał N... — odpowiedziałem. — To prawda. A P... czy przypuszcza coś podobnego?

— Od rana ust nie otworzył. Ale, jeżeli chcesz się z nim zobaczyć, oto jego kwatera... niedaleko.

— Byle tylko nie zechciał usprawiedliwiać się przed żołnierzami — powiedziałem — mogę przez całe życie do niego nie mówić.

— On, usprawiedliwiać się! — rzekł porucznik. — Raczej powtórz awanturę. Dobrze mu się dziś rano przypatrzyłem. To zwierz dziki, kiedy w złość wpadnie, a przy swojej dumie, dałby się prędzej zarząbać niż upokorzyć. Wiesz, jak się skończy? Pojedyńkiem z jednym z nas. Wszyscy koledzy myślą tak, jak ty myślisz. Czeka go surowa kara, a wtedy!... Manewry się nareszcie skończą. Może nic z tego nie będzie... W każdym razie, uniknęlibyśmy najgorszego.

Rozumowanie było dobre, nieprawdaż? i przypominam sobie doskonale, że byłem tego samego mniemania, co porucznik, i że mu przytaknałem:

— Rzeczywiście, uniknęlibyśmy najgorszego.

Później, kiedy się znalazłem wobec generała, nie potrafię wam powiedzieć, co się ze mną działo. To tylko wiem, że patrząc w jego pocziwe, głębokie oczy, czułem, że nie będę mógł kłamać.

— Co się stało dziś rano, gdy się z wami spotkałem o ósmej? — zapytał, przerywając moje milczenie. — Trzeba mi powiedzieć. Chodzi o P... — nalegał. — Czy tak?... Tak. Co zrobił?... — I jakby czytał w moich myślach: — Obowiązkiem żołnierza jest nie kłamać przed generałem. Czy nie wiesz o tem, Henryku?

Wezwanie to, wypowiedziane serdecznym tonem, wpłynęło ostatecznie na moje postanowienie. Prosiłem tylko generała, żeby nie karał P...

— Jeżeli to możebne, obiecuje ci — rzekł.

Otrzymawszy tę obietnicę, wszystko mu opowiedziałem. W miarę, jak opowiadałem, twarz starego lwa posepniała, aż w końcu stała się groźną. Pozwolił mi jednak skończyć moje opowiadanie bez jednego słowa.

Potem, po paru minutach, które mi się wydały nieskończenie długimi a podczas którego chodził z jednego końca pokoju w drugi:

— Mój Henryku — rzekł — dziękuję ci, że mi powiedziałeś prawdę. Dziękuję ci za armię i za siebie... — Ton jego mowy brzmiał dziwnie uroczyście. — Dziękuję ci także za P... — dodał. — Niech przyjdzie do mnie ten człowiek, którego uderzył i ci wszyscy jego koledzy, którzy z nim byli. Zbierz ich razem wszystkich i przyprowadź do mnie.

W pół godziny później, po tej scenie, wszedłem do salonu generała N... na czele tych ośmiu ludzi, którzy byli z nami rano.

— Gdzie jest ten, o którym mi mówiłeś! — zapytał generał.

Wskazałem mu go.

— To ciebie, mój przyjacielu — odezwał się do niego — uderzył komendant P...?

— Nie, generale — odpowiedział żołnierz — komendant mnie nie uderzył.

— Uderzył cię komendant — odparł generał N... takim tonem, że wszelka opozycja była wykluczona — wiem to, i wiem także, że nie chciałeś wnosić skargi... Masz rację, bo jeżeli komendant miał chwilę zapomnienia, to dlatego jedynie, że zawsze jeszcze cierpi, wskutek odniesionej rany w roku 1870. Sprawował się tam jak bohater. Dobrze służył, tak samo jak wy dobrze służyście. My wszyscy służymy. Co do mnie, moja służba polega na odpowiedzialności za moich oficerów jak również i za moich ludzi. Jeżeli któryś z nich zbłądzi, to wina na mnie spada... Przepraszam cię przyjacielu, za postępek komendanta, i zależało mi na tem, żeby twoi koledzy wiedzieli, że generał komenderujący korpusem przeprosił cię. Będą mogli wszystkim powtórzyć. A teraz, podaj mi rękę...

\* \* \*

— A komendant P...? — zapytał jeden z nas pułkownika, który umilkł, jakby przybity wzruszeniem po tylu latach, na wspomnienie tego zdarzenia.

— Na drugi dzień zaraz podał się o wcielenie go do ekspedycyi senegalskiej. Odznaczył się tam jako dzielny żołnierz, jakim był przez całe swoje życie z wyjątkiem jednej, jedynej chwili. Srodze odpokutował tę chwilę, umarł bowiem na żółtą febrę w czasie tej kampanii. Jakkolwiek bardzo smutną zginął śmiercią, wiele razy o nim pomyślę, nie mogę nie przyznać, że generał N... miał rację, że trzeba go było ratować. A uratował

go, bo pozwolił mu umrzeć w walce z nieprzyjacielem, zamiast zdegradować go za czyn karygodny, ale popełniony w chwili uniesienia.



K. TIMKOWSKIJ.

## DALEKI KREWNY.

(Z rosyjskiego).

Pietia Krasilnikow był na mszy, potem wstąpił do swego ciotecznego wuja, Mikołaja Mironowicza, Zorowa, ażeby mu złożyć życzenia z okazji imienin, poszedł stamtąd do domu, zjadł obiad — i oto siedzi od tego czasu przy oknie i patrzy przez podwójną szybę na zaczynającą ciemnieć ulicę; siedzi i rozmyśla.

Krasilnikow — bardzo młody człowiek — ukończywszy parę klas, wstąpił na służbę do kantoru fabrykanta Zorowa, który mu dał to miejsce jako »dalekiemu krewnemu«; płacę pobiera marną, mieszka w kreciej norze, wynajmowanej od gospodyni razem z wiktem, wraca ze służby o godzinie siódmej wieczór, pije herbatę, brzdąka na gitarze i kładzie się spać. A w święta, zasiada po obiedzie przy oknie i duma całemi godzinami.

Tak i tego dnia, 6. grudnia, siedział w zadumie przy oknie. Szarzało już w pokoju, z oszczędności jednak nie zaświecił jeszcze lampy. W odwiedziny nie miał iść do kogo; z kolegami nie przestawał, bo wszyscy pili wódkę, a on nie chciał pić; traktowali go wreszcie

z góry, jak smarkacza. Krewnych, oprócz Zorowych, nie miał żadnych, a do nich odważał się chodzić tylko w bardzo uroczyste święta. Mikołaj Mironowicz chociaż przyjął do kantoru Krasilnikowa, to jednak było widoczne, że bagatelizował swego dalekiego a biednego krewnego. Pietia rozumiał, jaka przepaść dzieli go od bogatego fabrykanta, a przecież było mu wstyd, zwłaszcza wobec kolegów, że wuj tak się z nim obchodzi, jakby go znać nie chciał.

— Żeby chociaż kiedy rękę mi podał, jak krewnemu — rozmyślał Krasilnikow, dysząc na szybko i przecierając ją dłonią — a to kiwnie głową i nie spojrzy nawet. Oj... albo i Barbara Wasilewna... jaka pyszna, przesunie się tylko koło ciebie i ani słowa nie powie! A Marya Mikołajewna z Katarzyną Mikołajewną... at, wielkie panie! A jak się ubierają!.. Kręcą się koło nich kawalerowie, nie mały wietrząc posag!

Z żalu wziął Krasilnikow do ręki gitarę i zagrał: »Pszczółko złota, co ty bręczysz?« I znowu zaczął rozmyślać:

— A wesoło musi być u Zorowych! Gości ćma... panny, przekąski... Kandelabry pewnie zaświecą... Z obiadem się pewno wysadzą... z lodami!.. Co by im szkodziło i mnie zaprosić? Cóżby na tem stracili? Miejsca nie wysiedzę... At, sieroca dola!..

»Pszczółko złota, co ty bręczysz«...

— Jest w domu? — odezwał się za drzwiami jakby znajomy głos.

— Jest — odpowiedział głos kucharki. — Gdzież ma być w święto? Spi pewnie.

W uchylonych drzwiach ukazała się postać, której Krasilnikow nie mógł dobrze rozpoznać w ciemności.

— Kto tam? — zapytał zaniepokojony.

— To ja... Harasym. Nie poznajecie mnie? Cóż wy tak siedzicie pociemku?



Krasilnikow na widok służącego Zorowych jeszcze się więcej zatrwożył.

— Ty do mnie? Po co?

— Ja po was, Piotrze Makarowiczu. Mikołaj Mironycz mnie posłał.

— Mikołaj Mironycz?... Po mnie?

Krasilnikow osłupiał; serce zabiło mu w piersiach.

— Tak jest — mówił z uszanowaniem Harasym. — Kazali was prosić na obiad...

— Na obiad?

— Tak, do stołu. Kazali się spieszyć.

— Zaraz, zaraz...

Krasilnikow skoczył i zabrał się z pospiechem do zaświecania lampy; ręce mu drżały ze wzruszenia...

— Pozwólcie, ja zaświecę — rzekł Harasym — a wy się tymczasem przyodziejcie.

— Tak, tak, trzeba się spieszyć — mówił Krasilnikow, kręcąc się w roztargnieniu po pokoju. — A może ty... łzesz Harasym?

— Zmiłujcie się!

— A no, co ci powiedział Mikołaj Mironycz?

— Ot co: »Biegaj prędko do Krasilnikowa i powiedz, żeby natychmiast przychodził na obiad, niech nie nudzi, niech zaraz... duchem«... No, ja, Piotrze Makaryczu, idę, a wy prędko za mną...

— Zaczekaj!...

Krasilnikow przebierał drżącymi palcami w sakiewce, szukając dwudziestówki; podsuwały mu się same czterdziestaki...

— At, niech tam! — pomyślał i dał służącemu czterdziestaka.

— Najpokorniej dziękuję! — rzekł Harasym i wyniósł się na palcach.

Krasilnikow stanął na środku pokoju, starając się przyjąć do siebie i zebrać myśli. »A jednak, co to może

być? Czy nie chce kto zakpić ze mnie? Wierzyć się nie chce... ach! westchnął pełną piersią. »Czegoż ja stoję, jak pień? Trzeba się spieszyć, może tam na mnie czekają... Aj, aj!« I zaczął się gorączkowo ubierać, wy dobył znów ten sam półkoszulek, w którym chodził Zorowowi składać życzenia, pluskał się nerwowo w miednicy, siłąc się równocześnie odgadnąć: skąd się u wujaszka wzięła ta nagła zmiana?

— Co się stało wujaszкови? — mruzczał, obcierając się ręcznikiem. — Co to może być? Może się przekonał nareszcie, że potrafię się znaleźć w przyzwoitem towarzystwie, no, i... Przecież ja nie żaden wagabunda — dlaczegoż mnie nie prosić? Bierz, jak chcesz, to ja taki krewny, chociaż daleki...

Myśl ta natchnęła go pewnością siebie. Pzywdziewając półkoszulek, uznawał już to wszystko za całkiem naturalne i wmawiał w siebie, że dawno się tego spodziewał. Zapinając kamizelkę, powiedział na głos:

— Dawno wam, Mikołaj Mironycz, należało się domyśleć! — A sięgając po surdut, ku własnemu zdumieniu huknął na całe gardło:

— My razem na wroga. Na bój!..

— Czego wy drażnicie psy? Gospodyni położyła się spać — sierdziła się na niego kucharka przez szparę w drzwiach...

Jak bomba wyleciał Krasilnikow z bramy i o mało nie zawołał: »dorożka!« — ale połapał się w porę, rozważywszy, że własnym kłusem prędzej dobiegnie.

— Niema co wlec się dorożką — powiedział sobie i puścił się tak żwawo, że, jak to mówią, »para wydobywała się z za cholew«.

Wiatr zimny pociągał i dotkliwie szczypał w uszy, Krasilnikow jednak nie podniósł kołnierza imitującego barana krymskiego, z obawy, żeby nie pomiąć kołnierzyka od półkoszulka.

— A to, jak się spóźnię? — myślał ze strachem, zbliżając się do domu Zorowa. — Wchodzę nagle, a oni już wszyscy siedzą przy stole?... Aj, aj, aj!

Ku jego radości, wszyscy jeszcze siedzieli w bawialni. Barbara Wasilewna kiwnęła mu zdaleka głową. Prowadziła ożywioną rozmowę z dwiema wystrojonymi damami, i Krasilnikow nie śmiał do niej podejść. Mikołaj Mironycz, niewielkiego wzrostu, barczysty i otyły, stał na środku bawialni i rozprawił z sybirskim milionerem, olbrzymim, o srogim wyrazie twarzy mężczyzną, który w tym niewielkim stosunkowo pokoju sprawiał takie wrażenie, jakby naprzykład, do damskiego buduaru wprowadzono konia.

— Jeszcze raz mam zaszczyt życzyć zdrowia — wymówił drżącym głosem Krasilnikow.

Mikołaj Mironycz powiódł po nim bystrym, suchym wzrokiem i rzekł, zwracając się do olbrzyma:

— Mój krewniak... Krasilnikow.

— A! — wykrztusił obojętnie olbrzym, nie spojrzawszy nawet na Krasilnikowa.

— No cóż, duszko, możemy teraz siadać do obiadu — odezwał się słodziutko Mikołaj Mironycz, zwracając się do żony.

— »Widocznie na mnie tylko czekali! — pomyślał Krasilnikow, przejęty dumą, rozsadzającą całą jego istotę — i chciał już uniewinniać się przed wujem, ale ten, ująwszy pod ramię milionera, wychodził z bawialni.

Przy stole posadzono Krasilnikowa między buhalterem Sziłowem a głównym subjektem Prokofjewem. Sziłow i Prokofjew patrzyli zwykle bokiem na Krasilnikowa, ale tutaj zwracali się do niego naprzemian, jak do uznanego krewniaka gospodarza a ich chlebodawcy. Z początku nieswojo było Krasilnikowi z ich uprzejmością i badawczemi spojrzeniami solenizanta, które ten rzucał od czasu do czasu na niego z przeciwległego

końca stołu; zbijały go także z tropu spojrzenia i szepty córek gospodarza, upatrujących w nim coś śmiesznego. I cały uroczysty przebieg obiadu budził w nim jakiś lęk... Pomału jednak rozgadał się i z Sziłowem i Prokofjewem; a kiedy zaczęli wznosić toasty na zdrowie solenizanta i Krasilnikow wychylił parę kieliszków wina (nie wypadało nie pić), pozbył się ostatecznie nieśmiałości, poweselał i rzucał dookoła siebie pewne, uprzejme spojrzenia. Ciepło mu się naraz zrobiło i jasno na sercu. Teraz już nie wątpił, że i panny i ciotka lubią go jak krewnego i zawsze lubili, tylko nie okazywali tego.

— Jaka zacna kobieta, Barbara Wasilewna! — myślał, patrząc na ożywioną twarz ciotki. — A jak się dobrze trzyma!... No, i wuj także czcigodny... A ten staruszek, co siedzi koło niego, najlepszego serca musi być człowiek... A ten bogacz... taki wspaniały!... Doprawdy, jak wesoło... Ot, Katarzyna Mikołajewna ciągle się śmieje... Nu, nu, śmieć się jeszcze, milutka!

Potem, zwracając się do Sziłowa i Prokofjewa wychwalał im wuja i ciotkę:

— Sierota jestem — mówił z przejęciem — sam, jak palec. Gdyby nie wuj i ciotka, to zmarniałbym na nic... Oni mię przygarnęli, jak krewnego. Dobrzy dla mnie... Ot, dzisiaj przysłali po mnie służącego; »Bez ciebie powiadają nie zasiądziemy do obiadu...« Ot — co! Ja się tam o to nie ubiegam, ale oni sami tacy dobrzy ludzie! To też kocham ich jak ojca i matkę! Niepodobni oni do innych: o rodzinie swojej zawsze pamiętają, przywiązani do swojej rodziny, opiekują się nią...

— Cóż ty się tak rozgadał, serdenko?

Krasilnikow zerwał się z krzesła. Stała przed nim Barbara Wasilewna z ironicznym uśmiechem na ustach; Sziłow i Prokofjew dziękowali jej uniżenie »za chleb i sól«; goście wstawali od stołu i podchodzili do gospodyni z dziękczynieniami...

— Pozwólcie sobie podziękować za zaszczyt... — wygłosił Krasilnikow, kłaniając się z kolei ciotce.

— No, no, co za zaszczyt! — uśmiechnęła się Barbara Wasilewna. Nie zwracaj sobie głowy.

Marya Mikołajewna i Katarzyna Mikołajewna zachichotały... Krasilnikow się zmieszał.

Barbara Wasilewna zaprowadziła go do kącika i powiedziała mu po cichu:

— Powinieneś siedzieć skromnie i pokornie, a nie wdawać się w rozmowy, jakby z równymi sobie... Co ciebie tak rozzuchwaliło? Nie umiesz znaleźć się w porządnym domu. Jak ci się zdaje, dlaczegośmy cię sprowadzili?

— Jako krewnego... — wyjąknął skonfundowany Krasilnikow.

— Ot, już i wyłazisz zaraz z pokrewieństwem, powiedziała opryskliwie Barbara Wasilewna. Nie podoba mi się to... Wezwano cię dlatego, że niedobrze jest, jeżeli zasiada trzynaście osób do stołu. Cały twój zaszczyt polega na tem, żeś — czternasty. Rozumiesz.

Zaszeleściła suknią i poszła. A Krasilnikow stał zaczerwieniony jak żórawina; z żalem w sercu, ze łzami w oczach myślał:

— Za co?!



PAWEŁ GRUYER.

## STRASZNY BOHATER.

Tam, na wybrzeżu bretońskim, gdzie wiatr ciągle lekkim piaskiem miecie, gdzie szare morze, zdobne frenzlą z piany, burzy się i kipi, na małym wzgórk, zasianym żółtymi makami, wznosi się kamienna kaplica, niska, jakby spłaszczona, żeby łatwiej wichrom mogła się opierać. Nawalnice powyrywały z jej murów głązy granitowe a gruba warstwa mchu pokrywa zrujnowaną dachówkę. Dzwonnica, również niska, dawno już niema dzwonu.

W dniu św. Koźmy jednak, któremu kaplica ta jest poświęconą, udaje się tam zawsze jeszcze procesya; przez cały rok zresztą brama jest zamknięta. Żadnych ozdób, żadnych rzeźb, z każdej strony bramy tylko zagłębienia dwóch nisz. Jedna z nich jest pusta, w drugiej stoi mała skrzynka drewniana z otworem wyrzniętym w kształcie serca i z napisem u góry:

*Tu spoczywa  
głowa Piotra Mateusza le Goff 1803.*

I rzeczywiście, przyłożywszy oko do otworu drewnianej skrzynki, dostrzega się starą, zzieleniałą czaszkę. Wpatrując się zaś dłużej, można zobaczyć na czole dwie okrągłe dziury.

Dokoła wiatr świszcząc przeraźliwie i unosi piasek, złościąc na wybrzeżu bruzdy, a nad morzem burzliwym wrzeszcząc czarne kormorany, igrając pośród piętrzących się bałwanów.

Zdaje się czasem, że słychać strzały armatnie; to bałwany uderzają o skały.

Tu jest dziki kres starego świata: nigdzie straszniej skały podmorskie nie zamykają portów przed trwogą przejętymi majtkami. Piasek na brzegu a skały w oceanie. Pełno szczątków dokoła. Powiew wieczorny mówi wam o rozbitych okrętach; głosy konania jęczą w powietrzu. Na horyzoncie zarysowują się dwie złowrogie sylwetki: jedna wysoka, urwista — to Ouessant, wyspa trwogi; druga wąska, płaska, jak tratwa gotowa zatonać — to Sein, wyspa snu, snu wiecznego!

\* \* \*

Otóż zdarzyło się to w czasie, kiedy cesarzem był Napoleon.

Piotr Mateusz le Goff, syn Jana Mateusza, był rybakiem, jak jego dziad, jak jego ojciec, jak jego syn, jak wszyscy w jego rodzinie i we wsi. Każda rodzina miała tu swoją łódź, którą fale składały na piasku z każdym przyplywem a zabierały znów z każdym odpływem morza. Łowić morskie węgorze i homary, zbierać wszystko, co morze wyrzuca, zaciągać sieci, palić fajkę i obnosić co niedzieli drewnianych świętych na swoich ramionach dokoła kościoła, oto było, oprócz utarczek z Anglikami, ich głównem zajęciem.

Tę nienawiść »czerwonych ludzi«, tak nazywanych z powodu koloru ich mundurów, ssano z mlekiem matki. Nie było dzieciaka, któryby, gdy go zapytano:

— Co będziesz robił jak wyrośniesz? — nie odpowiedział:

— Będę zabijał Anglików!

Od wieków, korsarze wielkobrytańscy rabowali i palili wszystko, co francuskie, i od wieków, korsarze bretońscy oddawali im piękne za nadobne. Czyny bohaterские Jana Barta i Duguay Trouina przechowały się w pamięci wszystkich; nie było człowieka, któryby się skrzywił, kiedy porzucał ognisko domowe, udając się na

służbę na fregatach państwa, i jakkolwiek Bonaparte był tylko uzurpatorem, lubiano go bardzo, bo prowadził wojnę z odwiecznym nieprzyjacielem.

W tej chwili właśnie przygotowywały się szerokie projekty i chociaż tutaj nikt czytać nie umiał a gazeta była rzeczą zupełnie nieznaną na dwadzieścia mil dookoła, wiedziano przez kupców podróżujących, przez agentów państwowych, przez kaprali, przybywających na rekrutację, przez tysiączne głosy wreszcie krążące po kraju, że cesarz Francuzów koncentruje w jednym z portów Normandyi armię, jakiej jeszcze dotychczas nie widziano, a którą miano wyprawić na drugą stronę la Manche niezliczonymi okrętami przy pierwszym pomyslnym wietrze. Wieść ta była przedmiotem wszystkich rozmów, pito na powodzenie wyprawy, czyniono śluby pobożne.

Piotr Mateusz przekroczył już wiek służby, obecnie syn go zastępował pod sztandarami, ale nie wyrzekął się nadziei, że i jemu samemu jeszcze nadarzy się sposobność stanąć z bronią w rękę, i nigdy nie puszczał się na morze bez starego karabinu na dnie swojej łodzi. Ot, może kiedy jaki Anglik zapędzi się na wody nasze, a może go tu fala mimo jego woli zanieśie, to zamiast *Goddam* poszle mu się kulę! A w braku Anglika, można było zawsze parę razy strzelić do ptaków, aby nie wyjść z wprawy.

Pewnego południa Piotr Mateusz stał na kotwicy w małej przystani, zajęty wyciąganiem pułapek na homary i nucił sobie, nie myśląc o niczem, starą piosnkę o królu Grallonie, co to panował niegdyś w grodzie Is i zatopiony został przez ocean wraz z córką, której nierządne życie ściągnęło gniew Boży.

Nagle usłyszał koło siebie uderzenie wiosła, morze zafalowało, i w chwili, kiedy podniósł oczy, barka jego była już przyczepiona do łodzi, obsadzonej dziesięciu lu-



dźmi, którzy go porwali z tyłu i skrępowali mu ręce. Co gdy się stało, łódź, na którą go przeniesiono, odpłynęła i za kilka chwil dopędziła krążący niedaleko, wojenny statek angielski. Spuszczono liny z pokładu, komendant statku przyszedł zobaczyć człowieka, powiedział: »to dobrze«, i okręt wypłynął natychmiast na pełne morze.

Wszystko to stało się tak prędko, że Piotr Mateusz był cały jeszcze oniemiały i oszołomiony, kiedy uczuł, że zakładają mu olbrzymi łańcuch na nogę z kulą wielkości jego głowy. Skoro nareszcie przyszedł do siebie i zorientował się w swoim położeniu, zaczął się dopytywać co to wszystko znaczy, a nie otrzymując odpowiedzi jął przeklinać swoich dozorców, których to wcale nie zdawało się wzruszać. Krzyczał, chciał się oswobodzić i skoczyć do morza, rezultatem jednak tego szarpania się było pięćdziesiąt uderzeń sznurem po plecach. Jeszcze jednym łańcuchem przykuto mu do podłogi okrętu drugą nogę, poczem pozwolono mu skrzyć się dowoli na swoją niefortunną przygodę. Za co, do dyabła! uwięziono go, wyprawiwszy umyślnie po niego szalupę wojennego okrętu? Widocznie miano co do niego jakieś zamiary. Jakie?

W porze wieczery przyniesiono mu bardzo obfitą porcyę jedzenia, którą pochłonał całą, »ażeby doprowadzić do wściekłości tych łotrów«, a na noc dano mu siennik i kołdrę.

Nazajutrz statek połączył się z wielką fregatą zapchaną armatami, uzbrojoną aż do burty, a której komendant przyszedł umyślnie na statek, ażeby mu się także przypatrzeć, czego następstwem było, że pierwszy raz zwrócono się do niego, zapytując, czy umie po angielsku. Zrozumiał bardzo dobrze, ale nic nie odpowiedział. Sądząc z jego chytrej miny, przypuszczał komendant, że kłamie, oddalił się jednak prędko nie nalegając.

Tego i następnego dnia, obydwie statki płynęły obok siebie. Morze było piękne, cokolwiek tylko wzburzone. Piotr nie przestawał łamać sobie głowy nad tem, czego mogli chcieć od niego. Na jednym i na drugim okręcie widać było przygotowania do bitwy, opatrywano strzelby, pistolety, ostrzono pałasze, rozdawano amunicję, ale wśród tego wszystkiego nie zapomniano o nim. Otrzymywał najregularniej jedzenie, od czasu do czasu dawano mu doskonałą wódkę. Trzeciego dnia zmieniono kierunek i zbliżono się znowu do lądu. Około czwartej godziny popołudniu Piotr rozpoznał w nagle Ouessant. Niedługo potem komendant fregaty zjawił się przed więźniem w towarzystwie jednego z majtków, który mówił po bretońsku i był tłumaczem następującej rozmowy:

— Jesteś starym wilkiem morskim, prawda? Znasz całe wybrzeże, skały podwodne, każdy przesmyk, który okręt może przepłynąć?

— Znam i nie znam, to zależy od okoliczności.

— Jesteś nędzarzem niezawodnie, naszym więźniem zresztą. Co wolisz? Być powieszonym na jednym z masztów, czy zaprowadzić nas dziś jeszcze do Brest? Jeżeli przy twojej pomocy dostaniemy się do portu zdrowi i cali, zostaniesz wypuszczony na wolność, jak tylko wyładujemy, i dostaniesz sto dukatów. Wybieraj!

— Hm, hm! zaprowadzić was do Brest, to nie bardzo łatwe zadanie, w każdym jednak razie wolę to, jak być powieszonym. Są tu skały niebezpieczne a na domiar złego prądy, które was mogą zepchnąć z waszej drogi. To prawda, że zżyłem się z tem przez dwadzieścia lat — byłem sternikiem, i podejmuję się nawet w nocy kierować dziesięcioma takimi, jak wasz okrętami. Ale bądź co bądź, sto dukatów to wcale niewiele.

— Dostaniesz dwieście. Obejmiesz ster korwety, za nią płynąć będzie fregata.

— Niech będzie dwieście, płatne z góry; po spełnieniu zadaniu moglibyście o mnie zapomnieć. Trzeba mi także odczepić tę kulę od nogi; to zanadto krępuje moje ruchy.

— Dobrze.

Rozkuto Piotra, zaprowadzono go na platformę steru i wręczono mu w woreczku dwieście dukatów. Przeliczył je parę razy, chcąc się przekonać, czy nie brakuje, zawiązał starannie woreczek i schował go za pas z wszelkimi oznakami żywego zadowolenia. Następnie objął ster i ku ogólnemu zdumieniu zaczął wydawać rozkazy po angielsku, śmiejąc się w duchu z figla jakiego wypłatał komendantowi, zmuszając go do porozumiewania się z nim przez tłumacza.

Obróciwszy się za chwilę, spostrzegł za sobą nabijających pistolety dwóch żołnierzy, którzy następnie usadowili się koło niego, jeden z prawej, drugi z lewej strony, z palcami na cynglach. Dano mu tym sposobem bardzo wyraźnie do zrozumienia, co go czeka w razie zdrady.

\* \* \*

Okrążono Ouessant i zbliżono się do straszego miejsca Fromveur między wyspą a sąsiednimi wysepkami, gdzie prąd jest tak gwałtowny, że doznaje się złudzenia jakoby się widziało potok płynący przez morze. Tu i owdzie sterczały z wody kadłuby i maszty zatopionych okrętów. Piotr kierował korwetą z wprawą doświadczonego marynarza. Niebo pokryło się chmurami i wkrótce zapadła noc, światła jednak nie zapalono na żadnym z okrętów.

Wszystko szło dobrze i komendant, nachylając się do jednego z oficerów, powiedział:

— Zaczynam wierzyć, że arsenał w Brest wyleci tej nocy w powietrze.

Naraz, niedaleko »Czarnych-Kamieni«, morze stało się coraz burzliwszem. Tworzyły się grozą przejmujące kaskady i wiry lejkowate, w które woda wpadała z ogłuszającym szumem.

— Wszystkie żagle rozwinąć! — krzyknął nagle Piotr Mateusz le Goff.

I równocześnie rozpoczął ze sobą samym przerywany monolog, nie przestając wydawać załodze okrętowej rozkazów:

— Wszystkie żagle rozwinąć! (Piotrze nadeszła chwila...) — Trzeba przyspieszyć moi chłopcy! — (...zbliżamy się do »Psiej Głowy«...) — Bo inaczej odpływ morza wykreści nami i cofniemy się w tył! — (...to dobra skała, tnie okręt jak brzytwa...) — Fatalne miejsce, widzicie! — (*Ave Maria gratia plena...*) — Śmiało zuchy! (*Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus...*) — Jeszcze ten żagiel! — (...*Et benedictus fructus ventris tui Jesus...*) — Zrywa się wiatr! — (...*Sancta Maria, mater Dei...*) — Doskonale! — (...*Ora pro nobis peccatoribus...*) — Dobry statek, leci jak kormoran! — (...*Nunc et in hora mortis nostrae...*).

W tej chwili nastąpiło wstrząśnienie, później coś, jakby długie rozdieranie się czegoś...

— Grńcie wszyscy! — wrzasnął Piotr — *Amen!*

Z pistoletów przyłożonych do jego skroni rozległ się huk. Padł, jak piorunem rażony, podczas gdy na tonącym okręcie powstał krzyk trwogi.

I gdyby niebo było tej nocy pogodne, oto co byłyby zobaczyły drgające na niem gwiazdy: wielka fregata, pomimo rozpaczliwych wysiłków, runęła na zatopioną do połowy korwetę, miażdżąc wszystko co jeszcze z niej zostało i razem z nią wpadła w rozwartą paszczę oceanu.

W miesiąc później znaleźli rybacy pośród niezliczonych szczątków i trupów Anglików, ciało straszego bohatera, którego rozpoznali i oddali rodzinie. Od paru rozbitków, pozostałych przy życiu dowiedziano się o wszystkim. Dwieście dukatów znaleziono za pasem bohatera i oddano je do skarbu publicznego.

Piotra Mateusza le Goff pochowano na miejscowym cmentarzu, a w parę lat dopiero, czaszkę jego, podług zwyczaju, umieszczono wraz z dwiema kulami w drewnianej skrzynce, w której dotąd spoczywa.



ANTONI CZECHOW.

## D R A M A T.

(Z rosyjskiego).

**P**awle Wasiliczu, przyszła jakaś pani, chce się widzieć z wami — zaraportował Łukasz. — Całą godzinę już czeka...

Paweł Wasilewicz dopiero co wstał od śniadania. Usłyszawszy o pani, zmarszczył się i powiedział:

— Na djabła mi jej! Powiedz, że jestem zajęty.

— Ona, Pawle Wasiliczu, już pięć razy przychodziła. Mówi, że bardzo potrzebuje zobaczyć się z wami... O mało nie płacze...

— Hm... dobrze, poproś ją do gabinetu.

Paweł Wasilewicz, nie spiesząc się, wdział surdut, wziął do jednej ręki pióro, do drugiej książkę i udając bardzo zajętego, poszedł do gabinetu. Tam zastał już gościa — słuszną, otyłą damę z czerwoną, tłustą twarzą

w okularach, zdawało się bardzo czcigodną i więcej jak przyzwoicie ubraną (miała na sobie suknię z czterema stanikami i wysoki kapelusz z rudym ptakiem). Na widok gospodarza zawróciła oczami i złożyła ręce jak do modlitwy.

— Pan sobie pewnie mnie nie przypomina — zaczęła wysokim męskim tenorem, widocznie wzruszona. — Ja... ja miałam przyjemność poznać się z panem u Hruckich... Ja Muraszkina...

— A-a-a... proszę siadać! Czem mogę służyć?

— Widzi pan, ja... ja... — mówiła dalej dama, siadając i jeszcze więcej wzruszona. — Pan sobie nie przypomina... Ja, Muraszkina. Widzi pan, ja jestem szczerą wielbicielką pańskiego talentu i z prawdziwą rozkoszą czytam pańskie prace... Proszę nie myśleć, że pochlebiam, broń Boże, oddaję tylko sprawiedliwość... Zawsze pana czytam! Po części, ja sama jestem autorką, to jest, zapewne... nie śmię się nazywać pisarką, ale... przecież, i moja kropla miodu jest w ulu... Wydrukowałam w różnym czasie trzy powiastki dla dzieci, nie czytał pan, zapewne... przetłumaczyłam dwie i, i mój nieboszczyk brat pracował w *Diele*.

— Tak... e-e-e... Czemże mogę służyć?

— Widzi pan... — Muraszkina spuściła oczy i zarumieniła się. — Ja znam pański talent... pana poglądy, Pawle Wasilewicz, i chciałabym usłyszeć zdanie pana, albo raczej poprosić o radę. Ja, trzeba panu wiedzieć, *pardon pour l'expression*, odważyłam się na napisanie dramatu i zanim go poszlę do cenzury, chciałabym usłyszeć pańskie zdanie.

Muraszkina nerwowo, sprawiając wrażenie schwytanego ptaka, zaczęła się borykać ze swoją suknią i wyciągnęła z niej w końcu wielkie, grube kajecisko.

Paweł Wasilewicz lubiał tylko swoje prace, cudze zaś, jeżeli je kiedy musiał przeczytać albo wysłuchać,

sprawiły na nim zawsze wrażenie paszczy armatniej, wymierzonej prosto w jego twarz. Zobaczywszy kajet, nastraszył się i pośpieszył powiedzieć:

— Dobrze, proszę zostawić... przeczytam.

— Pawle Wasilewicz! — prosiła omdlewającym głosem Muraszki, składając błagalnie ręce. — Ja wiem, pan zajęty... dla pana każda minuta droga, wiem, że pan teraz w duszy wysyła mnie do diabła, ale... bądź pan łaskaw, pozwól mi przeczytać sobie zaraz mój dramat... Zmiłuj się pan!

— Bardzo się cieszę — zająknął się Paweł Wasilewicz — ale, pani, ja... ja zajęty... Ja... ja muszę zaraz wyjechać w ważnej sprawie.

— Pawle Wasilewicz! — jęczała dama, a oczy jej zasły łzami. — Ja o łaskę proszę! Ja natrętna, ja bezczelna, ale bądź pan wspaniałomyślnym! Jutro wyjeżdżam do Kazania i chciałabym dziś usłyszeć pańskie zdanie. Poświęć mi pan pół godziny... tylko pół godziny! Błagam pana!

Paweł Wasilewicz był miękkiego serca i nie umiał odmawiać. Kiedy mu się zaczęło zdawać, że dama zamierza rzucić się na kolana i wybuchnąć płaczem, skonfudował się i wyszeptał w roztargnieniu:

— Dobrze, proszę... posłucham... Pół godziny jestem gotów...

Muraszki podskoczyła radośnie, zdjęła kapelusz i, rozsiadłszy się, zaczęła czytać. Najprzód przeczytała o tem, jak lokaj i pokojówka, sprzątając w zbyt kownej bawialni, szeroko mówili o pannie Annie Siergiejewnie, która wybudowała we wsi szkołę i szpital. Pokojówka, po wyjściu lokaja, wypowiedziała monolog o tem, że nauka — światło, a bez nauki — ciemnota; potem, Muraszki wprowadziła znów lokaja do bawialni i kazała mu wygłosić monolog o panu generale, który nie znosi zapatrywać córki, stara się wydać ją za bogatego ka-

merjunkra i jest zdania, że zbawienie narodu polega na powszechnej głupocie. Następnie, kiedy służba wyszła, zjawiała się sama panna i oznajmiła widzowi, że całą noc nie spała i myślała o Walentym Iwanowiczu, synu biednego nauczyciela, bezinteresownie pomagającym swemu biednemu ojcu. Walenty uczył się dużo, ale nie wierzy ani w przyjaźń, ani w miłość, nie widzi celu w życiu i pragnie śmierci, a więc ona, panna, musi go ratować.

Paweł Wasilewicz słuchał i tęsknił za swoją kanaaną. Ze złością spoglądał na Muraszkinę, czuł, jak po jego bębenkach usznych stukał jej męski tenor, nic nie rozumiał i myślał:

»Djabli cię przynieśli... Trzeba mi bardzo słuchać twoich bredni!... No, cóż ja temu winien, żeś ty dramat napisała? Boże, a jaki gruby zeszyt! A to kara!«

Paweł Wasilewicz spojrzął na ścianę, gdzie wisiał portret jego żony i przypomniał sobie, że kazała mu kupić i przywieść na wieś pięć arszynów tasiemki, funt sera i proszku do zębów.

»Gdzie ja podziałem, kochanie, tasiemkę? — myślał. — Gdzie ja ją schowałem? Zdaje się, w siwym surducie... A szelmy muchy, jak popstrzyły portret żony. Trzeba będzie kazać Oldze obmyć szkło... Czyta scenę XII, to znaczy, że skończy niedługo akt pierwszy. Że to w taki upał a jeszcze przy takiej tuszy może się zdobyć na natchnienie? Naco to pisze dramaty, wolałaby napić się chołodźca i położyć spać w piwnicy«...

— Nie znajduje pan, że ten monolog jest trochę za długi? — zapytała nagle Muraszkina, podnosząc oczy.

Paweł Wasilewicz nie słyszał monologu. Zawstydział się i odpowiedział takim tonem winowajcy, jakby to nie dama, ale on sam napisał ten monolog:

— Nie, nie, wcale nie... Bardzo dobry...

Muraszkiną promieniała szczęściem i czytała w dalszym ciągu:



— *Anna*: Zbyt wczesnie przestał pan żyć sercem a zanadto zaufał pan rozumowi. — *Walenty*: Cóż to jest serce? To pojęcie anatomiczne. W znaczeniu uczucia nie uznaję go. — *Anna* (wzburzona): A miłość? Czy i ona jest także owocem spójności myśli? Powiedz pan otwarcie: kochałeś pan kiedy? — *Walenty* (z goryczą): Nie dotykajmy starych, jeszcze nie zabliznionych ran (pauza). Nad czym się pani zamyśliła? — *Anna*: Zdaje mi się, że pan nieszczęśliwy.

W XVI scenie ziewnął Paweł Wasilewicz i niespodzianie wydał zębami dźwięk, jaki wydają psy, kiedy łapią muchy. Złakł się tego nieprzyzwoitego dźwięku i, ażeby go zamaskować, nadał swojej twarzy wyraz skupionej uwagi.

»XVII scena... Kiedyż będzie koniec? — myślał. — Boże mój! Jeżeli ta męka przewlecze się jeszcze dziesięć minut, to wezwę pomocy... Nie do zniesienia!«

Ale oto nareszcie, dama zaczęła czytać prędzej, nareszcie skończył się akt pierwszy.

Paweł Wasilewicz westchnął lekko i podniósł się z krzesła, w tej samej chwili jednak Muraszкина przewróciła kartkę i czytała w dalszym ciągu:

— Akt drugi. Scena przedstawia drogę we wsi. Na prawo szkoła, na lewo szpital. Na schodach tej ostatniej siedzą włościanie i włościanki.

— Przepraszam... — przerwał Paweł Wasilewicz. — Wiele wszystkich aktów?

— Pięć — odpowiedziała Muraszкина i zaraz, jakby się bała, żeby słuchacz nie uciekł, czytała prędko dalej:

— Z okna szkoły wygląda pan Walenty. W głębi zaś sceny widać jak włościanie noszą swój dobytek do karczmy.

Jakby uwięziony i przekonany o niemożności zmiłowania, Paweł Wasilewicz nie czekał już końca, nie spodziewał się niczego i starał się już tylko, żeby mu

się nie kleiły oczy i żeby z twarzy jego nie schodził wyraz uwagi... Przyszłość, kiedy dama skończy dramat i pójdzie sobie, wydawała mu się tak daleką, że o tem nawet nie myślał.

— Tru-tu-tu-tu... — brzęczał mu w uszach głos Muraszki. — Tru-tu-tu-tu... Żzzz...

»Zapomniałem zażyć sody« — myślał. — »O czem to ja?... Tak, o sodzie... Według wszelkiego prawdopodobieństwa, mam katar żołądka... Zdziwiałe: Śminowski po całych dniach zalewa się wódką i niema do-  
tąd kataru... Jakiś ptak siadł na oknie... Wróbel«...

Paweł Wasilewicz z wysiłkiem roztworzył przymykające się powieki, ziewnął, nie otwierając ust, i spojrział na Muraszkinę. Widział ją jak we mgle, zakręciła się w jego oczach i oparła się o sufit...

— *Walenty*: Nie, muszę jechać... — *Anna* (prze-straszona): Poco? — *Walenty* (na stronie): Ona zbladła! (Do niej): Proszę uwolnić mię od tłumaczenia się. Raczej umrę, a nie dowie się pani przyczyny. — *Anna* (po pauzie): Pan nie może wyjechać...

Muraszki zaczęła puchnąć, spuchła do olbrzymich rozmiarów, zlane z szarem powietrzem gabinetu; widać tylko było jej poruszające się usta; następnie nagle, zmalala jak butelka, zatoczyła się i razem ze stołem uciekła w głąb pokoju...

— *Walenty* (trzymając Annę w objęciach): Tyś mnie wskrzesiła, ukazałaś mi cel życia! Odświeżyłaś mnie, jak deszcz wiosenny odświeża przebudzoną ziemię! Ale... zapóźno, zapóźno! Pierś moją toczy nieuleczalny rak...

Paweł Wasilewicz drgnął i wlepił w Muraszkinę osowiałe, mętne oczy; przez chwilę patrzył nieruchomie, jakby nic nie rozumiejąc...

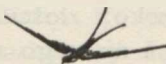
— Scena XI. Ci sami, baron i stanowy z pachółkami... — *Walenty*: Bierzcie mnie! — *Anna*: Ja jego!

Bierzcie i mnie! Ja go kocham nad życie! — *Baron*: Anna Siergiejewna, pani zapomina, że tym sposobem gubi pani ojca...

Muraszkińska znowu zaczęła puchnąć... Rozglądając się dziko, Paweł Wasilewicz wstał, krzyknął z całej piersi nienaturalnym głosem, chwycił ze stołu przycisk ciężki i, odchodząc od zmysłów, z całych sił uderzył nim Muraszkińkę w głowę...

— Wiążcie mnie, zabiłem ją! — rzekł do wbiegającej za chwilę do pokoju służby.

Sędziowie przysięgli... uwolnili go.



EDMUND FRANK.

## PRZEZ TELEFON.

**H**alo! Halo! Pan Dauphinet?...

— Kto? Nie słyszał dobrze.

— Dau-phi-net.

— Nie ma go; ale jeśli go mogę zastąpić? Z kim mam honor?...

— Jestem panią Labrunie.

— Dobrze. Słucham.

— Urzędnik pana Dauphinet, zapewne?...

— U... urzędnik... Tak!

— Chciałam się dowiedzieć, czy pan Labrunie jest w biurze... Mam pilny do niego interes...

— Nie miałem przyjemności widzieć go.

— Ach? Mąż mój miał wstąpić do biura panów...

Myślałam...

— A jeżeli pan Labrunie wstąpi do biura co mu mam powiedzieć?

— Nic, panie, nic!... Dziękuję..

— Nie ma za co... Proszę się nie obawiać, będę dyskretnym jak grób... Małe zwiady przez telefon, wiemy, co to jest...

— Co?... Co pan mówi?... Proszę powtórzyć. Oh! to zanadto!... Halo! Halo!...

Ale pani Labrunie usłyszała już tylko charczenie podobne do szatańskiego śmiechu, następnie jakby trzeszczenie kipiącej tłustości i w końcu wszystko ucichło. Naciskała jak szalona guzik od dzwonka, tupiała nogami jak rozkapryszone dziecko, złościła się na rozpaczliwą bezwładność głuchego i niemego aparatu. Wołania jej pozostały bez odpowiedzi. Nagłe zatamowanie komunikacji przerwało dyalog w chwili patetycznej; przerwa fejletonu w najciekawszym miejscu.

I pani Labrunie, ze złością zawiesiła słuchawki telefoniczne. Możliwy byłoby myśleć, że uderza rozmawiającego z nią a reprezentowanego przez ten głupi przyrząd męzczyzną, rzucając mu w twarz — rozpląszczoną i śmieszna twarz z drzewa — epitet: bałwan. Wyraz ten wymówiła bardzo dobitnie, jakby mógł dosięgnąć adresata.

Bardzo była wzruszona, urocza, młoda kobieta. Oburzenie, gniew zmieniły jej łagodną twarzyczkę — delikatny pastel zabarwiony nagle cynobrem.

Jakże mogła znieść z zimną krwią nagłe zjawienie się groźnej chmury, przysłaniającej rozkosze miodowych miesięcy? I — straszna ironio losu! — chmura ta nadciągała z punktu horyzontu, ku któremu aż dotąd zwracała swoje spojrzenia z takim upodobaniem...

W czasie małżeńskiego prologu, Symona nie ukrywała, że zamiast banalnego nowoczesnego mieszkania, wolałaby osobny domek, wolny od tysięcy nieprzyjemności.

— Och! — mówiła — żadnego pałacu, to byłoby zbyt zuchwałe życzenie i trzeba być rozsądną; ale mały mieszczański domek, zupełnie skromny, bez pretensyi, któryby można urządzić podług swego upodobania, gdzie czułoby się u siebie. To mój ideał. Prawda, że tego samego jesteś zdania? — Tak to było idealne. Gaston zgodził się na to chętnie; ale że pomimo jego przyzwolonego stanowiska i posagu Symony, trzeba było być rozsądnym, poczekać aż projekt dojrzeje, aby go możliwie jak najlepiej urzeczywistnić.

W oczekiwaniu na stałe gniazdo, młode małżeństwo zadowolilo się na razie tymczasowem, na czwartym piętrze, przy ulicy Clichy. Po tradycyjalnej dopiero podróży poślubnej, pozbywszy się obowiązkowych wizyt, zabrali się wspólnie do poszukiwań, odbywając przechadzki pełne niespodzianek, po różnych dzielnicach miasta. I znaleziono w końcu wymarzony domek w Passy, w zakątku spokojnej ulicy, rodzaj pawilonu w stylu Ludwika XIV, otoczonego ogrodem kwiatowym i kawałeczkiem starego parku. Nabytek korzystny, chociaż stan długo niezamieszkiwanej willi wymagał znaczniejszych reparacyj tak zewnątrz, jak i w wewnętrznem urządzeniu. Niezbędnymi robotami Gaston sam kierował przy technicznej pomocy budowniczego — przedsiębiorcy Dauphineta. Poświęcał temu wszystkie wolne chwile, zajmował się szczerze; a wreszcie, to tak było przyjemnie wieczorną porą pod wielkim, zielonym abażurem szkicować plany, kombinować, poddawać projekty Symonie, opartej czule na jego ramieniu, z główką przytuloną do jego policzka.

Codzień chodził Gaston do pawilonu i wracał stamtąd zakurzony, z plamami gipsu na ubraniu, świadczącymi o jego gorliwych zabiegach. »Iść do pawilonu« stało się dla niego rzeczą przyzwyczajenia, jak dla biurokraty »iść do biura«. Przed ukończeniem robót, nie

chciał tam zaprowadzić żony, rujnacya zrobiłaby na niej złe wrażenie, pomiędzy rusztowaniami i gruzami zniszczyłaby toaletę; zobaczy później, kiedy już mieszkanie uprzątnięte ze wszystkich rupieci niezbędnych przy restauracyi, będzie przystępne i do pokazania. Wtedy interweniować będzie na miejscu, zadecyduje o wyborze dekoracyi, malowideł, tapet, umeblowania, odpowiednio do swego gustu...

Otóż tego dnia, jak zwykle, udał się Gaston do pawilonu. Wyszedł po śniadaniu powiedziawszy:

— Wstąpię do Batignolles zabrać Dauphineta, umówiliśmy się. Do widzenia, moja mała, nie tęsknij bardzo za mną.

Ale nie zawsze można być dobrze usposobionym. Pani Labrunie zaczęła się prędko nudzić. Godziny wydawały się jej rozpaczliwie długimi. Doszła do tego, że liczyła kwadransy i minuty, wyobraźnia doprowadzała ją do niepokoju i podejrzeń. »Dlaczego Gaston nie wraca? Nigdy się tak jeszcze nie spaźniał, co on robi? Może się już zepsuł?« Dziesięć razy odpędzając od siebie tę myśl, wracała znów do niej biedna Symona i niepokoiła się strasznie. Wtedy to pod wpływem nieprzewyciężonego urojenia, parta gorączkowem pragnieniem »przekonała się«, pobiegła do telefonu znajdującego się w pokoju swego męża.

Niestety! »Przekonała się«, że Gastona nie widziano u Dauphineta; fakt ten, pełen znaczenia, potwierdzał jej domysły. A na domiar złego, jakiś źle wychowany urzędnik, ogadując — skąd ta złośliwość? — sztuczkę niewiernej żony, pozwolił sobie na nieprzyzwoite uwagi, upokarzającą poufałość.

Zamknięta w swoim pokoju, pani Labrunie, z bijącym sercem rzucała się najprzód jak ptak spłoszony, który uderza daremnie skrzydłami o pręty swojej klatki. Później, wyczerpana, padła na kanapę i, jak niema bu-

rzy bez deszczu, zalała się łzami. Z chaosu rozpaczliwych myśli, wyłaniała się straszna pewność. A więc Gaston okazał się obłudnikiem, kłamcą, niewiernym. Już! A pretekst codziennych wycieczek potęgował jeszcze ohydę jego postępowania: roboty w tym pawilonie, przyszłym zakątku ich szczęścia. Ich szczęście, niestety! cieszyła się niem zaledwie parę miesięcy. Niepotrzebne mu już gniazdo...

Otrząsnąwszy się z bolesnego zwątpienia, wpadła w większe jeszcze rozdrażnienie. Wyprostowała się, obtarła oczy i pewnym krokiem pobiegła znów do telefonu.

— Halo! Halo! Czy jest pan Dauphinet?

— Nie, wyszedł, ale gdybym go mógł zastąpić... Z kim mam przyjemność?...

— Pani Labrunie... Mówię zapewne z urzędnikiem pana Dauphinet.

— Tak, pani, jestem do usług.

— A więc zechciej pan powiedzieć swojemu szefowi, że nie zazdroszczę mu źle wychowanego współpracownika.

— Ależ, pani...

Nie ciekawa końca tej rozmowy, Symona przerwała komunikację, zostawiając teraz z kolei, tam, zawstydzonego przed aparatem domniemanego impertynenta.

Ta mała egzekucya na dystans sprawiła gorzką pociechę dobrej pani Labrunie. Czuła, że staje się okrutną. Niedowarzony gryziپیórek był dla niej zwierzyną, na której zaprawiała zęby i pazury, oczekując na prawdziwą ofiarę swej strasznej zawziętości. Oczekiwania były długie; zły duch pchnął ją jeszcze raz do telefonu, jedynej ucieczki w jej rozgorączkowaniu.

— Halo! Halo!... Pan Dauphinet?

— To ja.

— Ach! nareszcie!... Pani Labrunie... Muszę panu powiedzieć, że pański współpracownik, do którego się

zwracałam przez telefon podczas nieobecności pana, zachował się wobec mnie impertynencko.

— Czy to możebne? Dziwi mnie to bardzo. Człowiek ten jest zwykle bardzo przyzwoity.

— W takim razie, zmienia, widać, swoje zachowanie się wyjątkowo dla mnie. Pochlebia mi to bardzo.

— Przepraszam panią najmocniej; nie puszczę tego płazem... Ale czy nie byłaby pani łaskawą powiedzieć mi, w jaki sposób pani uchybiono?

— Telefonowałam do pana, chcąc się porozumieć w pilnej sprawie z mężem, który miał wstąpić do pańskiego biura. Odpowiadając mi, że go tam nie widziano, współpracownik pana mógł się wstrzymać od pewnych uwag w najgorszym rodzaju.

— Jakto nie widziano pana Labrunie? Ależ pani, zaszło tu jakieś nieporozumienie; mąż pani wstąpił po mnie, jak to było umówione, i rozstaliśmy się przy robotach...

— Ach! dobrze! dziękuję panu!...

Symona odskoczyła nagle od telefonu, ażeby nie krzyknąć z radości do ucha pana Dauphinet.

Przekonawszy się o bezpodstawności swoich obaw, doznawała uczucia jakby się zbudziła po śnie okropnym; smutne przywidzenia ulatywały, bliski powrót Gastona rozwieje je do reszty.

Ale Gaston się spaźniał, i stopniowo niebo małżeńskie, wypogodzone na chwilę, zachmurzało się na nowo. Tylko wiatr burzy zmienił kierunek, dramat poczęty przez nieszczęsne mieszkanie, zbliżał się do tragicznego rozwiązania. Cóż znaczy ta przewlekająca się nieobecność? Pan Dauphinet mówił, że pożegnał się z Gastonem »przy robotach«. Czy go spotkało jakie nieszczęście?... Może jaki wypadek?... Spadł może z rusztowania?!... I w ciemnościach, które zaczynały ogarniać pokój, na schyłku tego dnia zimowego, straszne przypu-



szczenia dręczyły Symonę. Widziała już Gastona, wnoszonego do mieszkania na marach przez ponurych ludzi, bladego, bez życia...

Wtem rozległ się głos dzwonka, i nastąpiła jedna z tych chwil niepokoju, co to krew ścina w żyłach, co oddech zapiera. Nadbiegła zadyszana pokojówka.

— Proszę pani... jakiś pan... z taką dziwną miną... chce się koniecznie widzieć z panią... Mówi, że ma coś ważnego powiedzieć... od pana Dauphinet, przedsiębiorcy budowlanego...

Nieszczęsna Symona! Nie omyliły ją smutne przecucia; nie ma wątpliwości: był to zwiastun nieszczęścia, wysłany aby ją przygotować... Bezwiednie prawie znalazła się w jednej chwili w salonie wobec człowieka zmieszanego, nastraszonego, obracającego niezgrabnie w drżących rękach kapelusz, a którego onieśmieliła do reszty, zwracając się do niego z całą gwałtownością:

— Ależ, mówże pan całą prawdę!... Nie żyje, co?!...

I biedny urzędnik, tracąc głowę, starał się wytłumaczyć cel swego przybycia, przysięgał na duszę swoich dzieci, że jest niewinną ofiarą szkaradnego »figla« telefonu. Krótko mówiąc, błagał swoją oskarżycielkę o łaskawe wstawienie się za nim do jego szefa, który wyrzucił go brutalnie za drzwi...

Zjawienie się w porę Gastona przerwało tę nadzwyczaj tragi-komiczną scenę. Kiedy już rozwikłał zagmatwaną sprawę:

— Widzisz — tłumaczył żonie — wszystko to wynika z błędnego połączenia, bądź z twojej winy, bądź też z winy panny przy telefonie. Błędne połączenie naraziło cię na niewczesne żarty jakiegoś ladaco. Niewinność tego pana nie ulega wątpliwości; nie wypada nam nic innego, tylko skwitować się z nim, i obowiązuje się też otrzymać od pana Dauphineta cofnięcie niesprawiedliwego a przez nas spowodowanego wyroku.

Po wyjściu urzędnika, wyjaśnienia wzięły serdeczniejszy obrót. Z całą szczerością wypowiedziała się Symona ze swojej niecierpliwości, ze swoich podejrzeń, ze swoich obaw. Nerwy jej jeszcze się nie uspokoiły po tylu wzruszeniach, śmiała się też i płakała naprzemian, powtarzając: »Jak mogłam coś podobnego przypuszczać«. Gaston nie miał odwagi gromić ją, ograniczył się tylko do wypowiedzenia następującego sensu moralnego:

— To dowodzi, że z telefonu korzystać trzeba z całą ostrożnością. Ładny wynalazek, ale niezupełnie jeszcze wydoskonalony. Fałszywe połączenie wystarcza czasem, żeby jakiemu niebezpiecznemu głupcowi dać sposobność do wywołania niemiłych a nawet groźnych w następstwach nieporozumień.

— A teraz — zakończył czule — może pogadamy o naszym pawilonie?...



K. TIMKOWSKI.

## KUNKTATOR.

(Z rosyjskiego).

**W** dzieciństwie doprowadzał wszystkich do rozpaczę swoją powolnością: bracia i siostry dawno umyły się, przyodziały, a on zaledwie się namydlił; wszyscy dawno zjedli i dzieci się już bawią, a on ciągle jeszcze je, wlepiwszy w jeden punkt oczy. Jeżeli mu kazano coś zrobić, dopytywał się przedewszystkiem systematycznie: jak, co i gdzie, a następnie tak powoli ruszał się z miej-

sca, że zawsze prawie ktoś drugi, mniej cierpliwy, wy-  
ręczał go i spełniał polecenie. Podczas przechadzki włókł  
się zwykle z tyłu za wszystkimi, przyczem, jeżeli było  
błoto, to, jak malec bojaźliwy, podnosił palto i niósł  
poły w rękach. Kiedy się bawiono w wyścigi, nikt nie  
chciał stawać z nim w parze.

Wstąpiwszy do gimnazjum, spaźniał się na lekcye  
i stawiano go zato pod ścianą. Lekcyj uczył się pilnie;  
ale odpowiadając je, tak pokrząkiwał, tak ciągnął, że  
wyprowadzał nauczycieli z cierpliwości. Prowadził się  
przykładnie, ale zawsze pokutował, jak kogut w rosole,  
za cudze winy: łobuzy porozbiegali się na wszystkie  
strony, a on podparł się i dumal, i wpadł w ręce roz-  
juszonego inspektora; zanim się zdobył na szczegółowe  
przedstawienie rzeczy, zanim wykazał swoją niewin-  
ność — patrzy, a tu inspektor zapisał go już do kata-  
logu i rzucił się w pogoń za nowemi ofiarami... Ze  
szkoły tak długo siedł do domu, że przyjęto za zasadę  
nie czekać na niego z obiadem i sam musiał zasiadać  
do stołu. Gimnazjaliści wyśmiewali się z niego i prze-  
zwali go »Kunktatorem«.

W uniwersytecie »Kunktator« spaźniał się na wy-  
kłady i nie składał egzaminów w oznaczonym czasie.  
Pochodziło to nie z lenistwa, ale jedynie z pedanteryi  
»Kunktatora«; napisze wyczerpująco i długo, poda pro-  
fesorowi grubszy zeszyt, i usłyszy tylko za swoją gor-  
liwość wymówkę: »o czem że wy, braciszku, dotąd du-  
mali, opuściliście wszystkie terminy«...

Dzięki swojej powolności, i gimnazjum i uniwer-  
sytet ukończył ze znacznem spóźnieniem. Potem długo  
był bez miejsca. Trafiła się posada, wszyscy mu mówią:  
»Idź zaraz, proś, bo zaspisz« — i on przyznaje: »Trzeba,  
trzeba iść niezwłocznie — ot, żeby tylko wybrać odpo-  
wiednią chwilę«...

— Cóż? byłeś? — pytają się go nazajutrz.

— A ot, ciągle myślę...

— Ach, bracie, jakże można? Idźże zaraz!...

»I rzeczywiście, dlaczego to ja«... — myśli »Kunktator« i drugiego dnia zgłasza się gdzie trzeba.

— Ja o posadę...

— Oho, spóźniliście się! Miejsce dawno zajęte...

Nareszcie udało mu się otrzymać posadę w archiwum. — »Ja tam chwilowo, dopóki nie znajdę czegoś odpowiedniejszego« — mówił wszystkim; ale mijały miesiące, lata, a on ciągle siedział w archiwum.

Dawno już nosił się z myślą napisania większej książki o historii współczesnej literatury rosyjskiej, do której miał wejść Turgieniew, Gonczarow, Dostojewski, Tołstoj i inni. Bardzo dużo przeczytał, zrobił mnóstwo wypisów, zakopał się w stosie materyałów, ale do swojej książki ciągle nie mógł przystąpić: trzeba było od początku przestudyować gruntownie dawniejszą literaturę i wiele innych rzeczy, jak tego wymagała pedanterya »Kunktatora«.

— Nigdy nie napiszesz swojego dzieła — mówili mu znajomi.

— Dlaczego?

— Niedługo będzie dziesięć lat, jak powziąłeś pomysł, a dotąd jeszcze nie doszedłeś do Żukowskiego.

— Z pierwszego dziesięciolecia nie można osądzić — odpowiadał zwykle »Kunktator«.

Był to jego ulubiony frazes. — Zawsze wierny sobie: zawsze zakłopotany, zawsze się spieszy z ukończeniem czegoś w terminie — i zawsze się spóźni...

— Po cóż ty takie włosy zapuściłeś? — pytam go pewnego razu.

— Ach, bracie, zbieram się ciągle ostrzydz, ale tak jakoś się nie składa, czasu mi zawsze brakuje...

Spotykam się z nim za miesiąc: wyrosły mu włosy, jak pustelnikowi.

— Słuchajno, czegożeś ty się tak zaniedbał? — mówię mu. — Wkrótce psy na ciebie szczekać będą.

— Tak, tak... Dzieci się już bać zaczynają... Stanowczo się ostrzygę, jak tylko trochę będę wolniejszy.

Drugi raz znowu dopędzam »Kunktatora« na ulicy. Szedł jakiś zafrasowany.

— Skąd i dokąd? — pytam.

— Od dentysty, bracie — odpowiada z westchnieniem. — Chodziłem zęby plombować.

— Znowu?

— Jakto znowu?

— Przecież dawno się już zbierałeś.

— No ot, i zebrałem się...

— Zaplombowałeś?

— Nie.

— Dlaczego?

— Prawdę mówiąc, spóźniłem się trochę. Trzeba było wcześniej. Dentysta powiada, że ja właściwie nie mam już zębów...

Albo spotykam go w ubraniu wcale nieodpowiedniem do pory roku: wszędzie śnieg leży, a »Kunktator« paraduje w letnim kapeluszu i trzęsie się; i odwrotnie: na drzewach rozwijają się pączki, a »Kunktator« poci się we futrze i czapce. »Trzeba, trzeba się przebrać — mówi, mrugając w zakłopotaniu oczami. — Codzień się zbieram i zawsze jakoś tak... Rzeczy głęboko zapchane«...

Dawno obiecał swojemu chrzestnemu synowi ofiarować konika, i jako człowiek niezwykle sumienny, uważał za święty obowiązek spełnić obietnicę; ale z różnych powodów ciągle zwłóczył. Nakoniec, dręczony wyrzutami sumienia, udał się do magazynu z dziecinami zabawkami, wybrał tam ślicznego drewnianego konika i z tryumfem zawiózł go chrzestnemu synowi... któremu, dosyć już widocznie, zaczęły się wysypywać wąsy.

Z gratulacjami do znajomego młodego małżeństwa wybrał się »Kunktator« w czasie, kiedy małżonkowie myśleli już o rozwodzie.

Jeszcze gorzej stało się »Kunktatorowi« z kolegą. Dowiedziawszy się, że chory, »Kunktator« zmartwił się i postanowił odwiedzić go natychmiast, ale mu coś przeszkodziło. Potem znowu coś zaszło — jeszcze i jeszcze coś... »Jednakże trzeba odwiedzić« — myśli »Kunktator«. Zebrał się, pojechał.

— No, co, jak panu? Ciągle niezdrów? — zapytuje służącą, zdejmującą z niego futro.

Ta wytrzeszczyła oczy.

— Jezu Chryste!... Przecie pana już trzy dni temu pochowali!...

— Tak, no, jeżeli tak... — mruknął skonfundowany i zabierał się czem prędzej do domu...

Teraz wszyscy wiedzą: jeżeli »Kunktator« ostatecznie zdecydował się odwiedzić chorego znajomego, to znaczy jedno z dwojga: albo chory dawno umarł, albo dawno wyzdrowiał. Taksamo i w wielu innych wypadkach. Jeżeli »Kunktator« zamysła kupić książkę, która narobiła hałasu, to można być pewnym, że książka już rozsprzedana; jeżeli się wybiera na sztukę do teatru, możecie być przekonani, że zesła już z repertoaru.

»Kunktator« rozkołysuje się długo, jak serce ogromnego dzwonu. Gdyby był dzwonnikiem, to zadzwoniłby na rezurekcyę akurat wtedy, kiedy naokoło dzwonią już na sumę... ale zato, zadzwoniłby z całym przejęciem.

»Lepiej gruntownie, jak w porę« — taka jego dewiza. Nic też dziwnego, że wszystkie jego czyny mają na sobie piętno rozwagi. Już to jemu nie podsunąć zamiast doborowego lichy towar, i przebiegły kupiec nie odważy mu trzech czwartych funta zamiast całego, a wydając resztę, nie wlepi mu fałszywej monety... o, nie! »Kunktator« rzadko bywa w teatrze (z powodu braku

czasu), ale zato, jeżeli bierze bilet, to przedewszystkiem dokładnie rozpyta się w kasie, czy dobrze widać z tego miejsca i czy niema przeciągu?... Biorąc dorożkę, popatrzy zawsze uważnie, czy dobry ekwipaż, czy koń dobrze podkuty; niekiedy w razie takiej potrzeby, całą drogę idzie piechotą i siada do dorożki o dwa kroki od domu, ale zato, można się zakładać, że dorożkarz ma wszystko w porządku. Taksamo i z koleją; »Kunktator« rzadko nią jeździ, ale zato jeździ po namyśle i wybierze najdogodniejszy pociąg, żeby nie było ciasno jechać, weźmie zawnazu miejsce do spania i doskonale rozważy, co trzeba wziąć ze sobą w drogę; przypuśćmy, że do obranego pociągu nie zdąży, ale gdyby się był nie spóźnił, to, bezwątpienia, jechałby z największemi wygodami. Coś podobnego zdarza się z jego listami: najczęściej zdobędzie się na odpowiedź wtedy, kiedy odpowiedź ta jest już niepotrzebną; ale zato, jaka wyczerpująca odpowiedź, jak wszechstronnie obmyślany list!... A jego tłumaczenia z obcych języków? Nie zdarzyło mi się widzieć bardziej starannej, sumienniejszej roboty, i żałować tylko można, że bierze się do przekładu wtedy, kiedy już na półkach księgarskich pojawiło się dziesięć innych przekładów tej samej książki; jedenasty okazuje się zbytecznym.

A jakie on śliczne znalazł sobie letnie mieszkanko, ażeby spędzać wieczory i święta na świeżem powietrzu! Długo szukał: objechał całą okolicę, wszystko obejrzał, wszystko rozważył, ale zato, jakie mieszkanko! O takim schronisku całe lata marzył... Niestety! Nie było mu danem korzystać z niego: kiedy znalazł nareszcie skarb ten długo poszukiwany, liście na drzewach już pożółkły i nastały jesienne deszcze.

Następnego roku zamiast letniego mieszkania, postanowił wziąć urlop i wyjechać w okolicę nawiedzoną głodem. Długo wybierał najwięcej biedującą miejsco-

wość, pisywał listy, wysyłał telegramy, zbierał składki i nareszcie gotów był otwierać jadłodajnię... właśnie wtedy, kiedy jej już nie potrzebowano: nastał sierpień. Ale jestem przekonany, że gdyby się był nie spóźnił, to przeprowadziłby swoje dzieło nie gorzej od drugich.

Tak żyje i działa ten, w całym tego słowa znaczeniu, chodzący anachronizm, ten męczennik swojej drobiazgowości. Największe nieszczęście jego w tem, że za mało dla niego 24 godzin na dobę, gdyby ich miał 48, dopędziłby czas, szedłby razem z wiekiem. Ale tak, cięży mu zawsze na głowie mnóstwo zaległości, z którymi chciałby się załatwić przed przystąpieniem do czegoś innego. Do procesu Dreyfusa dobrał się dopiero wtedy, kiedy już zaczęła się rewizya procesu, i wtedy kiedy Dreyfus używał już swobody. »Kunktator« czytał jeszcze o jego zesłaniu na wyspę Djabelską. O tureckich okrucieństwach w Armenii przeczytał »Kunktator« dopiero w cztery lata, ale zato przeczytał gruntownie, można powiedzieć przestudował.

W towarzystwie »Kunktator« zwykle milczy, ale nie dlatego, żeby lubił milczeć, tylko dlatego, że musi zastanowić się gruntownie nad tem, co ma powiedzieć. Wskutek tego, nie podąża rozmową. I tak: w chwili właśnie, kiedy chce wypowiedzieć swoją głęboko pomyślaną uwagę o tyfusie brzuszny, rozmowa przeszła już na drożyznę cielęciny; on na cielęcinę — a tu, masz! wszyscy już mówią o Milanie Obrenowiczu. No, i zamilknie... A tymczasem — jest człowiekiem bardzo towarzyskim i bardzo lubi zawierać znajomości; zaznajomiwszy się z kimś, zawsze pierwszy zjawia się z wizytą — w pół roku, niekiedy w rok — ku wielkiemu zdumieniu swego nowego znajomego, który przez ten czas zapomniał już o jego istnieniu.

W mieszkaniu jego straszny nieład, ale nie z powodu nieporadności, tylko dlatego, że jest wielkim



zwolennikiem systematyczności, porządku i symetrii. Jakięgo takiego porządku zaprowadzać mu się nie chce, a na zaprowadzenie idealnego brakuje mu czasu. »Poczekajcie, ja to wszystko doprowadzę do ładu« — mówi, wskazując na stopy porozrzucanych książek, papierów i świstków w jego gabinecie. — »Spiesz się powoli« — powiada łacińskie przysłowie... -- »Tak, tak, nie może być wszystko odrazu?«

»Kunktator« nie może zrobić jednego, bo mu coś drugiego przeszkadza; drugiego — bo mu przeszkadza trzecie — i tak dalej do nieskończoności.

Nie zdążył także ożenić się »Kunktator«. Najprzód zwykle pytał:

— Jakiej ja mam szukać żony?

Potem zaczął »namyślać się«. Następnie zaczął się »poważnie« namyślać... Ze dwa razy »Kunktator« był zupełnie gotów zrobić krok stanowczy, ale tak długo się namyślał, tak gruntownie rozważał, że jego sympaty tymczasem przechodziły na kogo innego. Teraz ma lat czterdzieści trzy. Postanowił nieodwołalnie oświadczyć się Annie Petrownie, ale ja wiem, że nosi się z tą myślą już trzeci rok, a przez ten czas nagromadziło się mnóstwo »za« i »przeciw« jego zamysłom.

Niedawno spotkałem go na ulicy. Szedł wziąć bilet na Rejane i dowiedziawszy się odemnie, że oddawna wyjechała, że zmartwienia postanowił przejść się ze mną. Po drodze mieliśmy ze sobą następującą rozmowę:

*Ja.* No, cóż ty, zawsze jeszcze w archiwum?

*Kunktator.* Tak... To jest, chwilowo naturalnie...

*Ja.* A zresztą, cóż robisz?

*Kunktator.* Czytam, bracie, nadzwyczaj interesującą rzecz: opis puszkiniowskich uroczystości.

*Ja.* Przecież to już dawno...

*Kunktator.* Wtedy byłem zajęty czem innym. Ale zbierałem wszystko, co odnosi się do tego przedmiotu...

*Ja.* No, a cóż z twoją książką?

*Kunktator.* Właśnie, do książki jeszcze nie przystąpiłem, ale doszedłem już do Żukowskiego... tak... Ach bracie, niedawno natrafiłem na wyborny artykuł o Wagnerze i koniecznie chciałbym usłyszeć coś wagnerowskiego.

*Ja.* Jakto? Nic jeszcze nie słyszałeś?

*Kunktator.* Nic jeszcze. Przecież Wagnera, bracie, nie można słuchać bez należytego przygotowania. Ja też myślę przygotować się najprzód, przeczytać coś, przegrać na fortepianie.

*Ja.* Masz fortepian?

*Kunktator.* Nie, ciągle zbieram się kupić. Grałem przecie kiedyś, a muzykę lubię nadzwyczaj; oddawna myślę wznowić...

*Ja.* No, a jakże z zagranicą? Rozmyśliłeś się? Jeszcze przeszłego roku postanowiłeś...

*Kunktator.* Tak, tak... Przecie ja całe życie wybieram się za granicę. To moje marzenie. Ale widzisz... trzeba się przygotować... Trzeba się koniecznie zapoznać należycie z językami.

*Ja.* Dawno już miałeś się tem zająć...

*Kunktator.* Jakoś mi trudno. Nie można przecież przystępować do tego łąpu capu; trzeba się zabrać na seryo. Metodę już prawie opracowałem... Tylko ot, zdrowie jakoś nie dopisuje... nerwy...

*Ja.* Jeżeli się nie mylę, już trzy lata temu, miałeś się leczyć systemem Kneipa?

*Kunktator.* Tak... ale widzisz, trzeba poczekać, dopóki ta metoda nie zostanie udoskonaloną całym szeregiem ścisłych, naukowych doświadczeń. Przezorność, bracie — wielka rzecz!... Ale zaszedłem z tobą na koniec świata. Spóźnię się do muzeum!

I uściskałszy mi śpiesznie dłoń, zawrócił nazad; potem jeszcze przystanął i zawołał do mnie:

— A wiesz, Dreyfusa uwolnili!... Zresztą to już nie nowina... — dodał »Kunktator«, połapawszy się w dachach i poszedł dalej.

Długo jeszcze śledziłem go wzrokiem i przyszło mi na myśl, że gdyby ten człowiek żył za czasów Hannibala, to — kto wie? — wzięłyby Kartagińczyków głodem, i w ogóle, natworzyłyby dzieł, nie gorszych od swego wielkiego protoplasty Fabiusza Kunktatora. Jeżeli nie mógł niczego dokonać, to może być, dlatego jedynie, że za jego czasów nie było Hannibala i punickich wojen. I tu się spóźnił: urodził się o dwa tysiące lat później, jak należało. Ale to już nie jego wina.



G. de MAUPASSANT.

## M E N U E T.

**W**ielkie nieszczęścia wcale mnie nie zasmucają, mówił Jan Bridelle, stary kawaler, uchodzący za sceptyka. Widziałem wojnę zbliżającą się: deptałem ciała poległych bez wzruszenia. Gwałtowne przewroty w naturze albo barbarzyństwo ludzkie mogą przejmować nas grozą lub oburzeniem, ale nie dają nam wcale tego ściskania w sercu, tego dreszczu odczuwanego w krzyżach na widok pewnych małych, nerwami naszymi wstrząsających rzeczy.

Najgwałtowniejszym smutkiem, jakiego można doświadczyć, jest, z pewnością, strata dziecka dla matki i strata matki dla człowieka. Jest to straszne, wielkie,

to wstrząsa i szarpie, ale z takich katastrof można się wyleczyć, jak z ran głębokich, krwawych. Są też pewne spotkania, pewne podpatrzone rzeczy, pewne troski tajone, pewne prześladowania losu, które budzą w nas cały świat smutnych myśli, które otwierają nagle przed nami tajemnicze podwoje cierpień moralnych, skomplikowanych, nieuleczalnych, o tyle głębszych, że wydają się łagodnymi, o tyle dotkliwszych, że wydają się prawie nieuchwytnymi, o tyle więcej upartych, o ile się wydają udanymi; pozostawiają one nam w duszy jakby niezatarty ślad smutku, posmak goryczy, uczucie rozczarowania, którego długo nie możemy się pozbyć.

Mam zawsze przed oczyma dwie czy trzy rzeczy, których drudzy nie zauważyliby z pewnością, a które wnikły we mnie jak zakłucia nie do wyleczenia.

Nie zrozumielibyście może wzruszenia, jakie mi pozostało po tych silnych wrażeniach. Opowiem wam jedno tylko. Bardzo jest dawne, ale tak żywe jakby wczorajsze. Może być, że moja własna wyobraźnia wpłynęła na moje rozrzewnienie.

Mam lat pięćdziesiąt. Byłem młody wówczas i studyowałem prawo. Trochę smutny, trochę marzyciel, nie byłem wcale zwolennikiem hałaśliwych kawiarni, krzykliwych kolegów i głupich dziewcząt. Wstawałem wczesnie i jedną z moich największych rozkoszy były samotne przechadzki, około ósmej godziny rano, po szkółce drzewek w luxemburskim ogrodzie.

Nie znaliście tej szkółki? Było to coś jakby zapomniany ogród z ubiegłego stulecia, ogród tak ładny, jak słodki uśmiech staruszki. Gęste płoty odgraniczały wąskie i regularne aleje, aleje zaciszne pomiędzy dwoma ścianami liścia strzyżonego według pewnej metody. Wielkie nożyce ogrodnika cięły bez miłosierdzia odstające gałęzie; a tu i owdzie spotykało się kląby kwiatów, rzędy młodych szczepów uszeregowanych jak pen-

syonarze na przechadzce, grupy wspaniałych róż lub drzew owocowych.

Chodziłem tam prawie codziennie rano. Siadałem na ławce i czytałem. Od czasu do czasu opuszczałem książkę na kolana aby pomarzyć, aby się wsłuchiwać w tętniące dookoła mnie życie Paryża i rozkoszować się tymi szpalerami grabiny na dawną modę.

Spostrzegłem się jednak wkrótce, że nie sam uczęszczałem do tego miejsca z chwilą otwarcia bram, i spotykałem się tam często oko w oko z dziwnym małym staruszkiem.

Nosił trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, spodnie upięte pod kolanami na czarnych pończochach, długi tabaczkowy surdut, żabot koronkowy i szary kapelusz z niemożliwie szerokimi krysami.

Był bardzo chudy, kościsty, pomarszczony i uśmiechający się. Jego żywe oczy drgały, przerzucały się nieustannie z przedmiotu na przedmiot. W ręce miał zawsze wspaniałą laskę ze złotą gałką.

Człowiek ten najprzód mię dziwił, później zaś interesował nad wyraz. I czatowałem na niego, śledziłem zdaleka, zatrzymując się na skrętach szpalerów, ażeby nie być dostrzeżonym.

I oto pewnego ranka, kiedy mu się zdawało, że jest sam, zaczął wykonywać szczególne ruchy: najprzód parę małych skoków, później głęboki ukłon, na stępnie przebierał sweni cienkimi nogami w powietrzu z wielką jeszcze zręcznością, wreszcie obracał się z elegancją na jednej nodze, podrygując w śmieszny sposób, uśmiechając się jakoby do publiczności, wdziecząc się, rozkładając ręce, wykręcając swój korpus maryonетки, zwracając się na wszystkie strony z uprzejmymi ukłonami. Tańczył!

Oślupiałem ze zdziwienia, zadając sobie pytanie, który z nas dwóch zwaryował — on, czy ja.

Ale przestał nagle tańczyć, postąpił naprzód, jak robią aktorzy na scenie, ukłonił się, poczem cofając się wstecz, posyłał drżącą ręką pocałunki dwóm rzędóm strzyżonych drzew.

I zaczął się znów z całą powagą przechadzać.

Od tego dnia począwszy, nie spuszczałam go z oczu i co rana przypatrywałam się z ciekawością jego dziwnemu tańcowi.

Opanowała mnie szalona chęć zapoznania się z nim. Odważyłem się też pewnego dnia i ukłoniwszy się, zaczepiłem go:

— Ładny mamy ranek — rzekłem.

Odkłonił się.

— Tak panie, jak za dawnych, dobrych czasów.

W tydzień później byliśmy przyjaciółmi i poznałem jego historię. Był nauczycielem tańców w operze za czasów Ludwika XV. Ładną laskę, która także zwróciła moją uwagę, otrzymał w upominku od hrabiego de Clermont. I kiedy się z nim zaczęło mówić o tańcu, niewyczerpany był w opowiadaniu.

Pewnego zaś dnia tak mi się zwierzał:

— Ożeniłem się z Castris, panie. Zaznajomię was, jeżeli sobie pan życzy, ale ona trochę później tutaj przychodzi. Ten ogród, widzi pan, to nasza rozrywka i nasze życie. To wszystko, co nam z dawnych czasów zostało; zdaje nam się, że bez niego nie moglibyśmy egzystować. To jest stare i dystygowane, prawda? Zdaje mi się, że oddycham tutaj powietrzem, które się nic nie zmieniło od czasu mojej młodości. Przepędzam tu z żoną całe popołudnie, sam jestem tutaj od rana, bo wstaję wcześniej.

Zaraz po śniadaniu wróciłem do Luxemburgu i niebawem spostrzegłem mego przyjaciela, podającego ceremonialnie ramię małej, czarno ubranej staruszce, któ-

rej zostałem przedstawiony. To była Castris, sławna tancerka, ulubienica księżąt i króla, kochana przez cały ten świat uprzedająco grzeczny dla kobiet.

Usiedliśmy na ławce. Było to w maju. Zapach kwiatów rozchodził się w czystych aleach; słońce przeźdierało się przez liście i rzucało na nas złote promienie. Czarna suknia Castris zdawała się cała kąpać w blasku.

Ogród był pusty. Zdaleka dochodził nas turkot przejeżdżających powozów.

— Zechciejże mi pan wytłómaczyć — zapytałem starego mistrza tańców — co to jest menuet?

Drgnął.

— Menuet, panie, to król tańców i taniec królów, rozumie pan? Odkąd nie ma królów, nie ma też i menueta.

I górnym, dytyrambicznym stylem rozpoczął długą pochwałę, z której nic nie rozumiałem. Chciałem żeby mi opisał wszystkie kroki, ruchy, pozy. Płatał się jednak, burząc się na swoją nieudolność w opowiadaniu, zdenerwowany i zmartwiony.

I nagle, zwracając się do swojej starej towarzyszki, ciągle milczącej i poważnej:

— Elizo — rzekł — czy zechcesz, czy będziesz tak dobrą, żebyśmy pokazali panu co to było?

Rozejrzała się na wszystkie strony, wreszcie podniosła się z ławki i, nie mówiąc ani słowa, stanęła na przeciwko niego.

I zobaczyłem rzecz niezapomnianą.

Przesuwali się tam i nazad z dziecinnymi grymasami na twarzach, uśmiechali się do siebie, balansowali, pochylali się, podskakiwali, podobni do dwóch starych lalek, wprawianych w ruch przez skonstruowany przed laty, zużyty już trochę mechanizm.

I patrzyłem na nich, doświadczając dziwnie smutnego wzruszenia. Zdawało mi się, że widzę przykre

a komiczne zjawisko, jakiś cień ubiegłego stulecia. Na uśmiech i na płacz mi się zbierało.

I stanęli nagle, skończyli figury tańca. Przez kilka sekund stali naprzeciwko siebie, wyrabiając dziwne grymasy, w końcu uściskali się, łkając.

W trzy dni później wyjechałem na prowincję. Nie zobaczyłem ich już nigdy. Kiedy w dwa lata wróciłem do Paryża, zniesiono szkółkę w Luxemburgu. Co się też stało z nimi bez ich starego ogrodu, pełnego labiryntów, z tem tchnieniem przeszłości, z tymi miłymi krętymi szpalerami?

Czy żyją jeszcze? Czy błakają się po nowoczesnych ulicach, jak wygnańcy bez nadziei? Czy tańczą, widnia ucieszne, fantastycznego menueta między cmentarnymi cyprysami, w otoczeniu nagrobków, przy bladym świetle księżycy?

Wspomnienie ich nie opuszcza mnie, prześladuje, dręczy, tkwi we mnie, jak rana. Dlaczego? Nie wiem sam. Śmiesznem wam się to wyda zapewne?



ANDRZEJ THEURIET.

## MACIERZANKA.

**D**laczego ją przezwano »Macierzanką«? Nigdy nie dowiedziałem się dobrze. Może dlatego, że ta roślina aromatyczna rosła dookoła leśniczówki, gdzie mieszkała ze swoim mężem, dozorcą Stefanem... Zdaje mi się jednak, że przydomek ten zawdzięczała raczej swojej uro-



dzie, świeżej, jak ten kwiat dziki, któremu botanicy dali prozaiczną nazwę »macierzanki«. Właściwe jej imię było Janina. W dwudziestym roku życia wyszła za mąż, za dozorcę kniei Lineuse. Od paru lat mieszkała o milę od miasta, na kraju lasu, w odosobnionym domu, dobrze znanym myśliwym i okolicznym zwolennikom przechadzek. Można tu było zawsze dostać śniadanie i podwieczorek, a że i wino dozorczy było dobre i gospodyni urodziwa a w dodatku doskonała kucharka, nie brakowało im nigdy gości. Zdaleka już widać było niebieskawy dym, unoszący się po nad buki z komina leśniczówki; zdaleka zalatywał zapach pieczeni zajęczej, albo jajecznicy ze słoniną. Mówiono sobie: »posilimy się w Lineuse«, i nigdy nie doznawano zawodu.

W owym czasie było nas sześciu młodzieńców ośmnasto do dwudziestoletnich, świeżo upieczonych akademików, zachwyconych swobodą i zbijaniem bąków po lasach. Korzystaliśmy w całej pełni z tych chwil przemijających a szczęśliwych, kiedy to, pożegnawszy się ze szkołą średnią, nie myśli się jeszcze na seryo o wyborze karyery, i wyzyskiwaliśmy w najlepsze nasz czas na przechadzki po lesie, na łapanie ptaków na sidła lub na szukanie grzybów. Po takim wałęsaniu się rankami, wygłodzeni, spieczeni przez słońce, zaroszeni, zatrzymywaliśmy się zwykle w leśniczówce. Przynosiliśmy tam nasze łupy, nasze zbiory. Gospościa przyjmowała nas pogodnym uśmiechem, przyrządzała nasze grzyby, smażyła w rądelku nasze ptaszki szpikowane słoniną; zasiadłszy do stołu, nakrytego szarym obrusem, delektowaliśmy się wspaniałem śniadaniem, zakrapiając je obficie winem; ale przedewszystkiem rozkoszowaliśmy się wesołą rozmową, nęcącemi spojrzeniami »Macierzanki«, którą byliśmy wszyscy zachwyceni.

Janina była wówczas smukłą brunetką o białej cerze, w miarę pełnych kształtów, zgrabną i zwinną. Jej

czarne oczy śmiały się pod długimi rzęsami; jej usta różowe jeszcze więcej się śmiały a otwierając się, ukazywały lśniące, białe zęby. Zawsze w dobrym humorze, dowcipna, cięta w odpowiedziach, tak, że w jej towarzystwie nie nudzono się nigdy. Miała w swoim repertoarze piosnki ludowe, które śpiewała słabym trochę głosem, ale z wielkim uczuciem. Rozmawiała zawsze z całą swobodą, nie unikając wcale w opowiadaniu drastycznych szczegółów, nie wystrzegając się nawet tłustych żartów... Tak dalece, że my, nie bardzo doświadczeni chłopcy, sądząc z jej swobodnego sposobu wyrażania się, nie mogliśmy nie wątpić o jej cnocie, a ten brak skromności braliśmy za zachętę do posuwania się dalej. Jej porywająca uroda, jej młodość tryskająca zdrowiem, działały nam na mózgi i upajały zupełnie inaczej jak wino z jej piwnicy. Pałaliśmy wszyscy miłością dla Janiny i rzucaliśmy jej ogniste spojrzenia, które mówiły wiele o naszych pragnieniach, o naszych zuchwałych nadziejach.

Dostrzegła to i nie gniewała się wcale. Równoczesne ubieganie się o jej względy, zazdrość, z jaką podpatrywaliśmy wzajemnie nasze ruchy najmniejsze, nie czyniły nas niebezpiecznymi. Darzyła nas wszystkich jednakowo swymi uśmiechami, nalewając nam wino do kieliszków i nie faworyzowała nigdy jednego na korzyść drugiego. Trzymała nas na wodzy gdy byliśmy u niej, jej bezstronność jednak nie przeszkadzała nam kłócić się skoro znaleźliśmy się w lesie. Każdy z nas miał pretensję do większych względów niż jego koledzy i każdy miał nadzieję, że pierwszy posiędzie je wyłącznie dla siebie. To *steeple-chase* miłosne nie obeszło się bez wymiany cierpkich słów, bez wyrafinowanych podstępów i bylibyśmy się na dobre poróżnili, gdyby jeden z nas, rozumniejszy, nie był nas zgromadził pewnego dnia, kiedyśmy wyszli z leśniczówki więcej wzburzeni przeciwko

sobie, na kraju lasu, i nie był do nas przemówił w te mniej więcej słowa:

— Moi koledzy, jesteśmy wszyscy niegłupi a zachowujemy się jak skończeni idyoci... Przecież to jasne, że Janina nie może nas wszystkich sześciu kochać równocześnie i że wzajemnie włączymy sobie w drogę... Proponuję tedy ciągnąć losy. Sześć naszych imion wrzucimy do kapelusza. Ten, któremu szczęście uśmiechnie się, będzie mógł swobodnie flirtować z Janiną i zainstalować się w jej sercu.

Zgodziliśmy się. Każdy z nas napisał na świstku papieru swoje imię, zwinął go i wrzucił do kapelusza wnioskodawcy, a następnie, kiedy kartki zostały należycie wymieszane, powierzyliśmy ciągnięcie najmłodszemu z grona. — Akt ten odbył się wśród uroczystego milczenia. Upoważniony przez nas kolega wyciągnął jedną kartkę z »urny«, rozwinął ją i przeczytał:

— Noirtin!

Otóż, Jakóbem Noirtinem, byłem ja. Los przeznaczył mnie do ubiegania się o względy »Macierzanki«. Skłoniłem się poważnie i rzekłem skromnie:

— Panowie, przyjmuję... Wkrótce będę wiedział, czego mogę się spodziewać!

Nazajutrz, rzeczywiście, wyruszyłem sam śmiało do Lineuse. Wybrałem poranną godzinę, kiedy dozorca Stefan był w lesie. Był ładny dzień jesienny, ani zbyt gorący, ani też zbyt chłodny: blado-niebieskie niebo rzucało naprzemian na ziemię cienie i słońce. Drzewa były przepełnione wonią wilgotnego mchu, a w zrębach skrzeczały sojki, jakby mnie chciały natchnąć odwagą. Potrzebowałem tego, bo, pomimo mojej wczorajszej pewności siebie, byłem zupełnym nowicuszem w zalotach, pierwszym występem, jak zwykle, zaambarasowanym. Z dreszczem i dławieniem w gardle otworzyłem drzwi leśniczówki.

Janina robiła porządki w jadalni. Z gołą głową, z obnażoną szyją i ramionami, z niedbale zaczesanymi włosami, spadającymi w jednym warkoczku na plecy, była bardzo ponętną w swoim rannym negliżu. Widok tego ciała białego i pulchnego przenikał mnie aż do szpiku kości i przywracał odwagę.

— Dzień dobry, »Macierzanko« — przemówiłem możliwie najwięcej pieśczośliwym głosem — czy może mi pani dać śniadanie?

— Żartok! — odpowiedziała, rzucając mi złośliwe spojrzenie — wcześniej się panu jeść zachciało... Niech i tak będzie! Usmażę panu jajecznicę ze słoniną.

Poszła do kuchni, roznieciła ogień, przyniosła następnie ze spiżarki jaja, masło i płatek słoniny, i zabrała się do przyrządzenia śniadania. Siedząc przy stole, przypatrywałem się ruchliwej gospośi przez uchylone drzwi, i wyprowadzony z równowagi jej gestami, jej iskrzącymi się oczami, jej świeżą twarzą, zadawałem sobie pytanie: »Jak tu przystąpić do rzeczy?«

Wszystko to, co mi się wydawało wczoraj łatwym, przedstawiało mi się teraz najeżone trudnościami. Nie mogłem wpaść na żadną myśl, od czego zacząć moje wynurzenia, i siedziałem oniemiały jak karp.

— Wszystko gotowe! — rzekła Janina, wchodząc do jadalni z talerzami — pozostaje mi tylko nakryć.

Powiedziawszy to, rozwinęła serwetę i nachyliła się, ażeby nakryć stół. Jej kształtny biust z wyzywającym wdziękiem falował, a obnażone ramię dotykało mojego ramienia. Zbladłem; spostrzegła to i odezwała się z filuternym uśmiechem:

— Słowo daję, pobielał pan, jak moja serweta... Czy to głód jest tego powodem?

— Nie, »Macierzanko« — wyjąknąłem, zdecydowany działać *ex abrupto*, to nie głód, to miłość moja dla ciebie...

To mówiąc, porwałem ją w objęcia i wycisnąłem pocałunek na jej szyi.

— Kocham cię! Kocham! — powtarzałem, nie przestając całować jej okrągłej, świeżej szyi.

Gwałtownym ruchem w tył uwolniła się od moich uścisków, zobaczyłem białe ramię podniesione do góry, i okropność... dostałem w pełną twarz policzek, który mnie oślepił.

— Masz! — krzyknęła Janina, wściekła — na pożegnanie... Smarkacz, który ma jeszcze mleko pod nosem! Nie będziesz jadł śniadania, mój chłopcze!

Porwała mnie za barki i popchnęła w kierunku komórki, przytykającej do piwnicy. Nie uwierzyłbym nigdy, że ta urocza kobieta może mieć tak potężną pięść. Za jednym zamachem ręki otworzyły się drzwi, następnie zamknęły się za mną i Janina zatrzasnęła rygiel, krzycząc do mnie przez dziurkę od klucza:

— Siedź tam, ladaco!... To ci odświeży myśl i przed pogadanką z moim mężem.

Znalazłem się na progu wąskich schodów, prowadzących do ciemnej piwnicy bez drugiego wyjścia. Podczas gdy stałem tam nastraszony i zawstydzony, słyszałem, jak Janina, zbierając wszystko ze stołu, nuciła jedną ze swoich piosnek ludowych. Złośliwa drwiła sobie ze mnie. I myślałem oburzony: »mniejsza o policzek, ale więzić mnie w tej piwnicy i oddać mnie bezbronno swojemu mężowi, to wyrafinowane okrucieństwo, o które nie podejrywałbym ją nigdy!« Przypominałem sobie, że Stefan był tęgim, porywczym i grubijańskim bardzo chłopem. Wyobrażałem go sobie okładającego mnie kijem, albo wyciągającego z komórki jak królika, i zimny pot wystąpił mi na czoło. Pół godziny ginałem ze strachu; naraz, krew zastygła mi w żyłach: usłyszałem odgłos ciężkich kroków i rozróżniłem chrapliwy bas dozorca. Rozmawiał z żoną, chodząc tam i nazad po ku-

chni i podrzucając w rękach pęk kluczy, których brzęk metaliczny denerwował mię boleśnie. Naraz, przestał mówić i usłyszałem uderzanie jego podkutych butów o stopnie schodów prowadzących na piętro. »Idzie z pewnością — pomyślałem — poszukać czegoś, czem mnie obije!« I czułem się już na pół umarłym. W tej samej chwili odryglowano drzwi od komórki i ukazała się w nich Janina. Jej czarne oczy pałyły złośliwie, a usta zaciskała, wstrzymując się od śmiechu:

— Uciekaj — wyszeptła — i niech to będzie dla ciebie nauczką, nicponiu!...

Nie dałem sobie powtarzać, i drapnąłem, nie oglądając się za siebie. Ale, kiedy już byłem w lesie, daleko, pod cienistymi bukami Lineuse'y, na myśl doznanej obelgi, łzy trysnęły mi z oczu — łzy wstydu i wściekłości. Uczułem się małym, niedołącznym, śmiesznym. A przy tem wszystkiem, wytłómaczcie mi tę sprzeczność, jeżeli możecie, nie miałem żalu do Janiny. Pomimo całego mojego nieszczęścia i mojego upokorzenia, przy pominaniu sobie jej oczy błyszczące, jej usta koralowe, jej uśmiech, i myślałem z przewrotną rozkoszą o zadnym mi jej małą rączką policzku...

Nigdy już później nie widziałem »Macierzanki«, ale wiele razy mi się zdarza zrywać kwiat, którego nazwę nosiła, zdaje mi się, że oddycham świeżą, rozkoszną wonią jej warkocza, podobną do woni leśnych kwiatów.



G. de MAUPASSANT.

## Z Ł O D Z I E J.

Kiedy mówię wam, że niktby nie uwierzył.  
— Opowiedz przecież.

— Najchętniej. Przedewszystkiem jednak zapewnić was muszę, że moja historia, jakkolwiek wydawać wam się może nieprawdopodobną, jest aż do najdrobniejszego szczegółu prawdziwą. Malarze jedynie nie dziwiliby się wcale, zwłaszcza starzy, którzy znali te czasy szalonych szarż, czasy, kiedy to jakiś desperacki humor nie opuszczał nas nawet w najbardziej ciężkich chwilach.

I stary artysta, usiadłszy okrakiem na krześle, zaczął opowiadać:

»Otóż byliśmy tego dnia na obiedzie u biednego Sorieula, dziś już nieboszczyka, największego z nas wszystkich szaleńca. Było nas trzech tylko: Sorieul, ja i Le Pottevin. Mówię naturalnie o malarzu scen marynarskich Eugeniuszu Le Pottevin, także nieboszczyku, a nie o pejzażyście, żyjącym i pełnym talentu.

Powiedzieć, że byliśmy na obiedzie u Sorieula, to znaczy, żeśmy byli pijani. Le Pottevin tylko zachował rozsądek, zalany wprawdzie, ale jeszcze jasny. Byliśmy młodzi w owym czasie. Rozciągnięci na dywanach, dysputowaliśmy beładnie w małym pokoju, przytykającym do pracowni. Sorieul z plecami na ziemi, z nogami na krześle, rozprawił o bitwach, o umundurowaniu z czasów cesarstwa i nagle, zrywając się, wyciągnął ze swojej wielkiej szafy z akcesoryami kompletny mundur huzarski i ubrał się w niego. Poczem zmuszał Le Pottevin'a do przebrania się za grenadyera. A kiedy

ten się opierał, rozebraliśmy go przemocą i wepchnęliśmy w obszerny mundur grenadyera, w którym się prawie cały schował.

Ja przebrałem się za kirasyera. Sorieul kazał nam wykonać jakiś ruch skomplikowany, a później zawołał: »Skoro jesteśmy teraz starymi wiarusami, to pijmy jak stare wiarusy«.

Zapaliliśmy poncz, wypiliśmy, poczem poraz drugi wzniosł się płomień nad wazą wypełnioną rumem. I śpiewaliśmy na całe gardło dawne piosnki, piosnki śpiewane niegdyś przez starych wojaków wielkiej armii.

Naraz, Le Pottevin, który pomimo wszystkiego panował nad sobą, kazał nam zamilknąć i po chwili ciszy odezwał się półgłosem; »Jestem pewny, że ktoś chodzi po pracowni«. Sorieul wstał, jak mógł, i zawołał: »Złodziej! co za szczęście!« Potem nagle zaintonował *Marsyliankę*:

Do broni, obywatele!

I rzucając się do rozwieszonej na ścianie broni, uzbroił nas stosownie do naszego umundurowania. Mnie dostał się muszkiet i szabla, Le Pottevin'owi olbrzymi karabin z bagnetem, a Sorieul, nie mogąc znaleźć nic odpowiedniejszego dla siebie, porwał ze ściany stary pistolet, który wsunął za pas, i topór do rozbijania nieprzyjacielskich okrętów. Następnie otworzył ostrożnie drzwi od pracowni i armia wkroczyła na zagrożone terytorium.

Kiedyśmy się znaleźli na środku obszernego pokoju, zawalonego wielkimi płótnami, meblami, najróżnorodniejszymi gratami, powiedział nam Sorieul:

— Mianuję się generałem. Zróbmy radę wojenną. Ty, kirasyerze przetniesz odwrót nieprzyjacielowi, to znaczy zamkniesz drzwi na klucz. Ty, grenadyerze będziesz moją eskortą.



Wykonałem rozkaz, poczem połączyłem się z operującą, główną armią.

W chwili gdy doganiałem ją za parawanem, rozległ się straszny hałas. Rzuciłem się naprzód ze świecą w rękę. Le Pottevin przebijał właśnie bagnetem manekina, a Sorieul ścinał mu głowę toporem. Połapawszy się w pomyłce, rozkazał generał:

— Bądźmy rozsądni — i operacye rozpoczęły się na nowo.

Od dwudziestu minut, co najmniej, plądrowaliśmy po wszystkich kątach i zakamarkach bez skutku, kiedy Le Pottevin'owi przyszło na myśl otworzyć wielką szafę w murze. Była ciemna i głęboka, wyciągnąłem rękę ze świecą i cofnąłem się osłupiały; był tam żywy człowiek i patrzył na mnie.

Zamknąłem natychmiast szafę na dwa spusty i odbyliśmy znowu naradę. Zdania były podzielone. Sorieul chciał złodzieja uwędzić. Le Pottevin mówił o wzięciu go głodem. Ja proponowałem, żeby go prochem wysadzić razem z szafą w powietrze.

Przeważyło zdanie Le Pottevin'a; i podczas gdy on zaciągał straż ze swoim wielkim karabinem, myśmy poszli po resztę ponczu i po fajki; następnie zasiedliśmy przed zamkniętymi drzwiami i piliśmy do więźnia.

W pół godziny rzekł Sorieul:

— Wszystko mi jedno, chciałbym go zobaczyć zbliska. Gdybyśmy tak spróbowali wziąć go siłą?

— Brawo! — zawołałem, i rzuciliśmy się do broni.

Drzwi szafy zostały otwarte i Sorieul z nienabitym pistoletem w rękę pierwszy wysunął się naprzód.

Wrzeszcząc, ruszyliśmy za nim. Rozpoczęła się straszna utarczka w ciemnościach i po półgodzinnej, nieprawdopodobnej walce wyciągnęliśmy na światło coś w rodzaju starego bandyty o siwych włosach, brudnego i obdartego.

Związaliśmy mu nogi i ręce i posadziliśmy go na fotelu. Nie wymówił ani słowa.

Wtedy Sorieul zwrócił się do nas z uroczystą miną:  
— Teraz będziemy sądzić tego nędznika.

Tak dalece byłem pijany, że propozycja ta wydała mi się zupełnie naturalną.

Le Pottevin'owi przypadła w udziale obrona, ja zaś podtrzymywałem oskarżenie.

Jednomyślnie, z wyjątkiem jednego głosu obrońcy, skazany został na śmierć.

— Przystąpimy do egzekucji — rzekł Sorieul. — Ten człowiek jednak nie powinien umrzeć bez pociech religijnych. Trzebaby pójść po księdza. Sprzeciwiłem się temu, tłumacząc, że jest późno. Wtedy Sorieul mnie zaproponował spełnienie tego obowiązku i wezwał zbrodniarza do wypowiedziania się przedemną.

Człowiek od paru minut zawracał wystraszonemi oczami, zadając sobie widocznie pytanie z jakim rodzajem ludzi ma do czynienia i wkońcu wymówił głuchym, ochryplym z alkoholu głosem:

— Panowie żartujecie zapewne. — Ale Sorieul zwał go na kolana i z obawy, że może rodzice zapomnieli go ochrzcić, wylał mu kieliszek rumu na głowę, poczem rzekł:

— Spowiadaj się przed tym panem, twoja ostatnia godzina wybiła.

Stary opryszek przerażony, zaczął krzyczeć: »na pomoc!« tak głośno, że musieliśmy mu usta zakneblować z obawy, żeby nie zbudzić wszystkich sąsiadów. Wtedy rzucił się na ziemię, tarzał się i szarpał, przewracając meble, drąc płótna. Wreszcie, zniecierpliwiony Sorieul krzyknął:

— Skończmy z nim! — I, mierząc do rozciągniętego na ziemi nędznika, pocisnął cyngiel swego pistoletu. Zachęcony przykładem, strzeliłem także. Z mojej

strzelby, która była skałkowa, wydobyła się iskra, co oprzytomniło mnie trochę.

Wtem Le Pottevin przemówił poważnie:

— Czy mamy prawo zabijać tego człowieka?

Sorieul, zdumiony, odpowiedział:

— Przecież skazaliśmy go na śmierć!

Le Pottevin jednak odparł:

— Cywilny nie może być rozstrzelany, kat powinien na nim dokonać egzekucyi; zaprowadzimy go na odwach.

Argument ten trafił nam do przekonania. Przywiązaliśmy skrzepowanego zbrodniarza do deszczki ze stołu pod model, porwaliśmy go z Le Pottevin'em na plecy i nieśliśmy, podczas gdy Sorieul uzbrojony od stóp do głów, postępował za nami.

Przed odwachem zatrzymała nas warta. Komendant posterunku, zawiadomiony, poznał nas, a że codziennie był świadkiem naszych figlów i nieprawdopodobnych pomysłów, roześmiał się tylko i odmówił nam przyjęcia więźnia.

Na nic się nie zdały nasze nalegania, musieliśmy, skonfundowani, wrócić do pracowni.

— Cóż my ze złodziejem zrobimy? — zapytałem.

Le Pottevin, rozczulony, utrzymywał, że ten człowiek musi być bardzo zmordowany. Rzeczywiście, skrzepowany, zakneblowany, wyglądał na dogorywającego.

Ja także z kolei uczułem niepohamowaną litość, litość pijanego, i wyjmując mu knebel, zapytałem:

— No, i jakże ci jest, mój stary?

Wyjąkał w odpowiedzi;

— Dosyc mam tego, do djabła!

Naraz i Sorieul stał się pobłażliwszym. Uwolnił go z więzów, kazał mu usiąść i, ażeby go pokrzepić, zabraliśmy się prędko do przygotowania świeżego ponczu. Złodziej spoglądał na nas, siedząc wygodnie w fotelu.

Kiedy trunek był gotowy, podaliśmy mu szklanę; byliśmy skłonni podtrzymywać mu głowę, i piliśmy. Więzień pił za cały pułk. Nareszcie spostrzegłszy się, że świta na dworze, wstał z miną zupełnie spokojną:

— Muszę panów pożegnać — rzekł — trzeba mi wracać do domu.

Zasmuciliśmy się: chcieliśmy go zatrzymać, ale nie chciał dłużej zostać. Uścisnęliśmy sobie więc ręce, a Sorrieul wyprowadził go ze świecą do przedpokoju, przestrzegając:

— A uważaj pan na próg w bramie.

Śmiano się serdecznie dookoła starego malarza. Podniósł się, zapalił fajkę i dodał, stając przed nami:

— W całej mojej historii najzabawniejsze jednak jest to, że jest prawdziwa.



PAWEŁ i WIKTOR MARGUERITTE.

## SŁOMIANY CZŁOWIEK.

**N**o, Mateuszu, stój!  
I przyjaźnym ruchem rąk, Piotr Kergris ustawił pod murem chwiejący się manekin, z którego brzucha, z szarego płótna, zwisały wnętrzości ze skręconej słomy. Chory, bardzo chory, Mateusz! Z wybladłą twarzą, na której czerwone i czarne plamy oznaczały usta i oczy, z policzkami przestrzelonymi kulą — budził litość. Chwilę, podparty sękatym kijem, stał wyprężony pod murem, potem nagle, tracąc równowagę, zachwiał się, i gdyby nie pomoc drugiego majtka, który go zdołał

chwycić jeszcze w powietrzu, byłby niechybnie runął na stwardniałe błoto, tracąc tym sposobem resztki swego uciesznego żywota.

— A to co! A to co, staruchu — śmiał się szyderczo zbawca. — Wypowiada się posłuszeństwo? Przyjaciołom, którzy ci taką ładną sprawili toaletę! To nie ładnie, Mateuszu.

— Nie, ale popatrz-no, Hurec! — odezwał się Kergis. — Twarde ma życie. Jedna kula w głowie, dwie w piersiach, trzy w brzuchu! Dobrze mierzą te łajdaki Prusaki! Nie szafują daremnie ołowiem!

— Ha, ha, ha!

Serdeczny śmiech wstrząsał tymi dwoma ludźmi, fałdował ich ogorzałe twarze; wszystko w nich śmiało się: ich jędrne ciała, ich spracowane ręce, i zęby ich pożółkłe z tytoniu śmiały się także w otwartych ustach, i małe filuterne oczy, zadziwiająco żywe, te oczy pełne dziecinnej prostoty, w które ciągle wpatrywanie się w niebo i morze wlewa coś z jasności niezmierzonej przestrzeni. Schodzili się koledzy, zwiększając grupę, skąd rozlegały się tłuste żarty, serdeczne wykrzykniki pod adresem biednego Mateusza, zabawki tych dorosłych dzieci: stu majtków z Moulin-Saquet.

Wykończona na pędce, a w końcu września odebrana nieprzyjacielowi reduta Moulin-Saquet, osłaniała z drugą Hautes-Bruyères, płaszczyznę Villejuif, przed fortami Bicetre i Ivry. Stąd, mając z lewej strony dolinę Sekwany, z prawej Bievre'y, widziało się ostatnie domy Choisy, wsie Thiais, Chevilly, Hay. Z ładnych tych miejscowości, rozsypana na szancach niemiecka piechota raziła nieustannym ogniem reduty.

Działo się to w połowie listopada. Pomyślna wiadomość z Coulmiers, urzędowa od czternastego, rozeszła się po rozległym obłożonym mieście. Wszystkim odebranie Orleanu wydawało się zapowiedzią oswobodzenia

Paryża. Na wałach i w fortach widziano tylko rozjaśnione twarze. I dlatego to, tego ranka, szła nadziei podniecał jeszcze więcej zwykły, dobry humor bohater-skich marynarzy.

Dwóch oficerów i stu ludzi tworzyło całą załogę. W oszańcowaniu tem upływało życie podobnie jak na okręcie. I tu tak samo, jak tam, pełniono kolejno służbę wśród monotonnego rygoru. Jedna część załogi odbywała warty, obsługiwała armaty, zadaniem drugiej było utrzymywanie porządku wewnątrz okopu i różne roboty, a trzecia wypoczywała. I tak ciągle w kółko, bez nieporozumień, bez skargi.

Świetna tradycjo marynarki! Podziwu godna łączności oficerów z ludźmi w cichem spełnianiu obowiązków! Tutaj, więcej aniżeli gdzieindziej ciążyło jarzmo ślepego posłuszeństwa, znoszone z całym poddaniem, jako nieunikniona konieczność w walce o byt, o życie. Z tym pięknym przymiotem bezwzględного zaufania do przełożonych, łączyli marynarze jeszcze jedną nieoczoną cnotę: przywiązanie wzajemne, pochodzące z podzielanej w życiu abnegacyi, wspólnych cierpień i wspólnych radości.

W Moulin-Saquet, tak samo jak we wszystkich fortach, powierzonych ich pieczy, marynarze nie wyrzekali się swoich starych przyzwyczajęń. Szczególni ludzie ze swymi obyczajami, zwyczajami, swemi prawami; każda załoga tworzyła tu odrębną rodzinę. Tak bliscy tego pełnego pokus Paryża, zachowywali się, jakby o tysiąc mil byli od niego oddaleni, jakby daleką morską odbywali podróż. I cóż? Nie wylądzuje się, ot i wszystko! Pracowało się około parapetu osłaniającego okręt od strzałów. I w ich mowie potocznej wszystko się przekształcało; strzelnica w murze była strzelnicą w burcie okrętowym; izba, magazyny — kajutą i zasiękiem na amunicję na spodzie okrętu. W dalszym ciągu pędzili

odważnie, naiwnie, wesoło, z całym spokojem swoje pełne niebezpieczeństw życie.

— Popatrz-no, Kergris, zdaje mi się, że nasz obywatel ożył na nowo!

Cofając się, aby lepiej osądzić efekt, Hurec podziwiał swoje dzieło. Mateusz wystawił swój brzuch gładki i zaokrąglony, policzki jego promieniały świeżością. Sucha słoma zaszyta na nowo w płótno przywróciła mu sprężystość. Nóg tylko brakowało obywatelowi. Mateusz ograniczał się do głowy okrągłej i podłużnego korpusu, wbitego na kij od miotły, zastępujący stos pacierzowy. Szczególny ten strój nadawał mu cechę na pół żyjącej istoty, niezupełnej, ale aż nadto wystarczającej do celu, do jakiego służyła.

Co rana, odświeżony przez majtków wolnych od służby, Mateusz, przyodziany w stary mundur, wynoszony był uroczyście na swoje stanowisko pod wschodnią ścianą reducy, od strony Plâtrière. Mocno popodpierany, na patyku, który my zastępował nogi, wbitym w ziemię, z ramionami powyżej grzbietu parapetu, Mateusz zapatrzony był w horyzont z niezachwianym spokojem. Stary, wystrzępiony kapelusz ceratowy, szeroki jasnoniebieski kołnierz, uzupełniały jego śmieszny strój i czyniły go zdaleka podobnym do majtka, do warty stojącej na czatach.

Po upływie kilku chwil, Niemcy z Plâtrière dostrzegali śmiałka. — »Ani drgnie, to bydlę! Zuchwalec! Poczekaj trochę« — mówili wściekli. — Zaczęły padać strzały... I harda postawa Mateusza, jego obojętność na kule sprawiały w całej reducy pustą wesołość, prawdziwą uciechę, podniecaną przez wszystkich iście francuskimi żartami, z bohaterskiem zapomnieniem o własnym bezpieczeństwie.

— Tym razem, Mateuszu — odezwał się Hurec — jeżeli nie jesteś zadowolony, toś zbyt wymagający!

— Nie poznają go wcale zauważył Kergris.

I rzeczywiście, ze śmiesznego wczorajszego trupa, po raz trzydziesty wystawiony na nieprzyjacielskie kule, odrodził się nowy Mateusz, młody, wspaniały, uśmiechnięty. Trochę czerwonej farby odświeżyło usta, w których sterczała wiśniowa cygarniczka, zupełnie nowa, prezent Kergrisa. Nad ustami jeżyły się wąsy z włosienią. Nosa nie miał, ale smołą pociągnięta linia imitowała go bardzo dobrze, na parę metrów. Dwie kulki z loteryjki naśladowały doskonale pod niskim czołem olbrzymie oczy. Ceratowy kapelusz polakierowany na nowo, czysty kołnierz, mundur wyczyszczony i zapięty — i słomiany człowiek, dzięki łobuzowskiej pomysłowości swoich chrzestnych ojców, wystrojony i wesoły, oczekiwał tylko znaku, ażeby jeszcze raz urągać śmierci.

Nagle, rozległ się krótki odgłos świstawki. Hurec, Kergris, wszyscy nastawili uszy. Znowu znany sygnał, i rozbiegli się wszyscy gimnastycznym krokiem. Sygnał bojowy! Nieruchomy i zrezygnowany, Mateusz został sam, zapomniany pod murem.

Czy to zwykły, dość często praktykowany fałszywy alarm w celu przekonania się o czujności załogi, czy może na seryo?... Nie wiadomo... Chyba na seryo! Strzelanina stawała się coraz żywszą na linii przednich straży nieprzyjacielskich. Podnosił się potężny głos z fortów; Bicêtre, Ivry, Montrouge zaczynały huczeć.

I wtedy Mateusz, gdyby miał wzrok, byłby zobaczył nadbiegających do niego przyjaciół Hurec'a i Kergrisa, porywających go za biodra. Mateusz, gdyby był obdarzony zmysłami ludzkimi, byłby czuł, jak go unoszono, jak gwałtownie nim wstrząsano po drodze.

Hurec i Kergris wrócili na swoje wyznaczone posterunki bojowe.

Tak, to było na seryo! Widać było w dali silną niemiecką kolumnę, wydłużającą w nieskończoność swój



czarny szereg jaszczyków. Artylerya i kawalerya zdążyły do Orly. Podsuwają się nieprzyjacielskie forpocztzy.

Zwolna, Hurec i Kergris, na klęczkach, pochylają swoje karabiny. Mierzą, strzelają i nabijają na nowo. Ruchy ich spokojne, miarowe, jak na ćwiczeniach. Za gęstą faszyną ukryci, strzelają niewidzialni. Pomiędzy nimi stoi na straży Mateusz milczący, sztywny. Kapelusz ceratowy, okrągła twarz, szeroki niebieski kołnierz wystają z poza faszyny. Kulki z loteryjki wpatrują się pogardliwie w zachmurzone niebo, w szarą równinę, oraz w małe, czerwone ogniki strażów.

Suchy trzask, jakby łamiącego się drzewa, kul, przesywających słomę manekina, i nagle, Mateusz pada ze złamanym stosem pacierzowym. Kapelusz leży o trzy metry od niego, trzewia wyszły na wierzch, oczy wyłazły z głowy.

— Pst! Kergris! Kergris! — woła Hurec. Mateusz zginął!...

— Dajże spokój! — odpowiada Kergris — będzie drugi! Mateusz umarł! Niech żyje Mateusz!



K. RITLAND.

## Z A S Ą D Z O N Y.

(Z holenderskiego).

Ciężkie, duszne powietrze było w sali sądowej, i przy migającym świetle gazowym zdawało się, że izba wypełniona jest mgłą. Zrana padał ulewny deszcz; wil-

gotna para unosiła się z przemoczonych ubrań świadków i cisnącej się publiczności, i czuć było zgniłą woń. Roztrząsano głośną sprawę. Na wąskiej ławie, która widziała już nie mało ludzkiej nędzy i rozpaczy, siedzieli obwinieni: adwokat Eryk Gansted, oskarżony o »sfałszowanie urzędowego dokumentu« i jego żona, Chima Gansted oskarżona o ukrywanie.

Mąż posępnie spoglądał na swoich oskarżycieli; wyczerpany był długiem, nerwowem naprężeniem. Dziewięć godzin — z krótką przerwą — siedzi on w sądzie i widzi, jak coraz straszniej gromadzą się nad jego losem chmury. I dlaczego tak długo, tak nie do zniesienia długo wlecze się sprawa! Jako prawnik, widział już dużo procesów, ale nie pamięta, żeby kiedykolwiek zachodziła potrzeba tylu zbytecznych zeznań świadków. Nieskończony szereg pytań i odpowiedzi odkrywał powoli najtajniejsze strony jego życia, zupełnie jakby zimnymi, brudnymi rękami rozbierano stopniowo ją i jego do naga.

Niech się już raz skończy!

Dla siebie nie spodziewał się wyrozumiałości, ale cały strach, cała jego nadzieja ześrodkowały się w myśli o żonie.

Nagle drgnął: przemawiał jej obrońca. Jakże chłodną, jak płytką jest jego obrona.

Gorętsze słowa powinien był znaleźć, ażeby udowodnić jej niewinność.

Obrócił się nieszczęśliwy ku żonie, z upragnieniem szukając jej wzroku, ale ona nie podniosła oczu. Siedziała nieruchomo jak posąg, śmiertelnie blada, ładna i w swojej nieruchomości. Co się dzieje w jej duszy? Na pytania przewodniczącego odpowiadała krótko; mąż miał nadzieję, że więcej przekonywująco będzie przemawiać na swoją korzyść, ale ona, zawsze milcząca, dziś, zdawało się, zastygła cała w głębokiej rozpacz.

Przypomniała mu się przeszłość; na brzegu Północnego morza spotkał pierwszy raz prześliczną, jasnowłosą, dumną Chimę ze starego fryzyjskiego rodu, pełną prostoty i spokojną, jak jej ojczyzna. Pokochawszy ją i z trudnością otrzymawszy zezwolenie jej dumnych rodziców, szczęśliwy, zawiózł żonę do swego małego saskiego miasteczka. Zapewne, ryzykował, że- niąc się przy skromnej praktyce młodego adwokata. Ale miłość podniosła w nim wiarę w swoje młode siły. I kiedy zawitały szare, ponure troski, męczył się, ukrywając je przed nią. Ona nie powinna cierpieć; jej dumny ojciec nie będzie mógł czynić mu wyrzutów!

I to ukrywanie prawdziwego stanu rzeczy stało się jego manią, i doprowadziło do tego, że...

Chima żyła w zupełnej nieświadomości, jakby inaczej nie mogło być. Dzielna, pracowita, ale nie obdarzona bystrzejszym umysłem, działała powoli i wielu wydawała się nudną ze swoim milczeniem; inni przeciwnie, byli oczarowani jej przygnębiwym, cichym, spokojnym wdziękiem.

*Frisia non cantant* (Fryzyjki nie śpiewają) — wyraził się o niej pewnego razu jeden z jego kolegów i wyrażenie to tak dobrze określało jej spokojną, powściągliwą naturę. Czy bardzo kochała męża? W jej zachowaniu się było coś zimnego i tylko niekiedy, bardzo rzadko, niespodziewane ciepło rozlewało się z całej jej istoty i oświetlało ją, jak słońce oświetla i złoci pola zasiane kłosami. Kiedy złożyli jej pierwszego na rękach chłopczyka, zajaśniała cała duchową pięknnością. Biedny dzieciak! W pierwszym roku zachorował niebezpiecznie; przez parę miesięcy życie jego wisiało na włosku i ta choroba była już początkiem zbliżającego się nieszczęścia. Drodzy lekarze, operacja, długa kuracja, nieustanne wydatki spadały jak piorun z jasnego nieba na głowę zmęczonego ojca i wtedy to stało się coś stra-

sznego, niepojętego, co jemu samemu teraz wydaje się nieprawdopodobnem.

Obrońca skończył.

Jak przez sen słyszał obwiniony *résumé* przewodniczącego, poczem wstali sędziowie przysięgli i udali się na naradę. Nie wracali długo, nieskończenie długo. Eryka Gansteda przebiegały nerwowe dreszcze; przytępienie pojęcie zamieniło się nagle w bolesną trzeźwość i z męczącą jasnością słyszał i widział wszystko, co się dookoła niego działo. Wkońcu, otworzyły się drzwi i dwunastu sędziów weszło na salę.

Przewodniczący przeczytał postawione pytania: czy winien jest Eryk Gansted i t. d., na oba pytania była odpowiedź: »tak, winien«. Czekąco go więzienie; przecie to wiedział. Przy trzecim pytaniu: czy winną jest jego żona Chima Ganstedowa i t. d., oczekiwanie nieszczęśliwego doszło do najwyższego stopnia męczącego naprężenia i po odpowiedzi przewodniczącego: »niewinna«, wydobyło się głębokie westchnienie ulgi z jego piersi.

Wśród publiczności objawiło się poruszenie, i kilka współczujących głosów odezwało się nawet: »brawo«, tak, że przewodniczący musiał wezwać do porządku.

Widocznie, ładna kobieta zdobyła sobie powszechną sympatyę.

Eryk z prośbą w oczach wyciągnął rękę do żony; podała mu swoją, ale chłodny i surowy był wyraz jej twarzy. »Na co mi swoboda ze shańbionem imieniem?« zdawało się, mówiły jej oczy. Nie, Chima nie będzie dla męża słodką pocieszycielką i w całej jej istocie przywidziała mu się cicha skarga: »Dlaczego ty przyczyniłeś mi tyle boleści?«

Trybunał teraz wyszedł na naradę i prędko wrócił z wyrokiem: trzy lata poprawczego więzienia.

Tego samego wieczora pozwolili zasądzonemu ostatni raz zobaczyć się z żoną w obecności nadzorcy, który

dyskretnie podszedł do okna i tam jakby wpatrywał się w jesienną noc.

Młoda kobieta prawie mówić nie mogła, kurcz ścisnął jej gardło, i nieszczęśliwy mąż nie usłyszał ani jednego słowa pociechy, miłości, otuchy. W parę godzin odjechała z dzieckiem do rodziców.

I oto Eryk został sam; sam ze swojemi myślami, ze swoim bólem. Przez całą noc nie opuszczała go myśl o samobójstwie; ale z braskiem dnia wróciło pragnienie życia, nadzieja na przyszłość — na przekór losowi.

Prośba, którą wniósł, pozostała bez skutku, i zawarły się za nim drzwi, oddzielające pozbawionego praw od społeczeństwa.

On — aresztant!

I zaczęło się życie, którego nieubłagane przepisy wykluczały wszystko, co może stanowić jego powab.

Z początku Eryk stosunkowo łatwo znosił swoje nowe położenie: chciał zachować siły, być zdolnym do dalszego życia. Rano, przełknąwszy swoją wstrętną zupę, zabierał się do plecenia mat, i tak z dnia na dzień, ciągle jedno i to samo, bez końca, jak nowa, milcząca maszyna pośród milczących aresztantów. Wieczorem rzucał się na pryczę w wielkiej wspólnej sali, pośród złodziei i zabójców, i starał się samym w sobie znaleźć siły do zniesienia tego zastygłego życia. Ale przyszedł czas, kiedy jego moralne siły nie wytrzymały, i to zapadał w zupełną apatyę, to dochodził do szalonej rozpacz.

Trzy lata poprawczego więzienia; jak prosto brzmią te słowa, ale jak strasznym jest ten rozbrat z duchowym życiem, ta powolna, głodowa śmierć umysłu.

Pozwolono mu korespondować ze żoną. Mieszkała z dzieckiem przy rodzicach, którzy ze wsi przenieśli się do Bremy, i z początku Eryk codziennie oczekiwał wiadomości, że wniosła prośbę o rozwód; miała do tego prawo i z pewnością rodzice zrobią wszystko, żeby

wpłynąć na nią w tym kierunku; straszna wiadomość jednak nie przychodziła. Pisywał do niej z głębi serca, a ona odpowiadała błahymi, krótkimi listami; zdawało się, że ubezwładniała ją myśl, że każdy wiersz, każde słowo jej listu będzie odczytywane przez nadzorcę. Niekiedy, bardzo rzadko, zakradało się do obojętnego listu cieplejsze słówko — balsam dla bolesnej rany nieszczęśliwego, dręczonego tęsknotą za żoną i dzieckiem.

Wszak ona go kiedyś kochała; a syn, może i teraz uśmiechnie się na widok ojca: on nie wie jeszcze, co znaczy straszne słowo aresztant.

Po dziesięciu miesiącach przyszedł list, który mu sprawił wielką ulgę. Zapytał raz Chimę o jej stosunki do bremeńskiego towarzystwa i ze strachem oczekiwał odpowiedzi.

Pisała: »Towarzystwo? Ono dla mnie nie istnieje, i nie starałam się o jego względy. Dla mnie istnieje na świecie tylko mój chłopczyzna i praca (a on: czy jego już nie liczy?), chcę mieć w rękach jakieś rzemiosło i zaczęłam się uczyć szycia u pewnej krawcowej w Bremie. List dosyć był zimny, pomimo to jednak natchnął nieszczęśliwego dziwnym spokojem. Widocznie Chima pogodziła się ze swoim położeniem i niema zamiaru wyrzec się jego shańbionego imienia. Ale czy nie zbudzi się w niej pragnienie zobaczenia męża? Dwa lata gorąco oczekiwał jej przybycia, potem wyrzekł się tej myśli i uspokoił się, prawie zupełnie się uspokoił.

Przyzwyczajenie łagodzi nawet brzemień więzienia w jego życiu zaczęły pojawiać się małe radości: promień słońca, padający na niego podczas roboty, kawałek mięsa w święta, usilna praca, przynosząca skromny zarobek — sprawiały mu teraz zadowolenie.

Po trzydziestu miesiącach oznajmiono mu, że za wzorowe prowadzenie się darowano mu resztę kary i jest wolny.

Wolny! Dlaczegoż serce jego nie bije żywiej z radości? Dlaczegoż, znalazłszy się na ulicy, czuje się jak chory po przebytej operacji?

Pociągnęło go do rodzinnego miasta, gdzie licznych miał przyjaciół. Czy jest tam jeszcze jego kolega, sędzia pokoju? Tak, jest tam, ale spotkawszy Eryka na ulicy, odwrócił się od niego tak samo, jak żona doktora, niegdyś najlepsza przyjaciółka Chimy.

A burmistrz miasta, bliski krewny Gansteda, chociaż go i przyjął, ale za dziesięć minut powiedział: »Strasznie mi przykro, że się tak złożyło, ale oczekujemy dziś na kilka dni gości ze wsi i rozumiesz«...

Tak, on zrozumiał. Pogardzają nim, odpychają go. Jak mógł tak naiwnie liczyć na dawne stosunki!

Drugiego dnia otrzymał od krewnego list z niewielką sumą pieniędzy: »Gdybyś się zdecydował wyjechać za granicę«...

Oni gotowi nawet ofiarę ponieść, byle go się pozbyć. Po krótkim wahaniu zabrał się Gansted i pojechał do Hamburga. Gorzkie doświadczenia doprowadziły go do silnego, prawie nieludzkiego postanowienia: przed odjazdem nie zobaczy żony i dziecka; nie powinien ich teraz widzieć, pozbawiony wszystkiego, odepchnięty. Samotność — oto jego dola. Z Hamburga napisał do żony, że za dwadzieścia cztery godzin odpływa do Nowego Yorku.

Parowiec miał odpłynąć o świcie; zimna, szara mgła zaścielała brzegi; tak smutno było dokoła, tak jednostajnie, bezbarwnie, jakby wszystko, co weselsze, żywe umarło. Dokoła Eryka siedzieli i leżeli zaspani pokładowi pasażerowie, nieszczęśni emigranci, jak i on, wygnańcy losu.

Strach przed przyszłością, zimna apatya przed trudną życiową walką, napełniły nagle jego duszę. Na co to wszystko — dla kogo?

Ktoś dotknął z lekka jego ramienia.

Podniósł oczy i skoczył przerażony: stało przed nim zjawisko w szarem, prostem ubraniu, z niewielkim pakunkiem w ręku. Jasne, spokojne oczy serdecznie na niego patrzyły...

— Otóż i ja, Eryku.

— Ty, Chima, to ty?

Nie miał odwagi jeszcze dotknąć się jej, i ona sama, rumieniąc się, pocałowała go.

-- Jak to dobrze, Chimo, że przyszedłeś pożegnać się ze mną.

Uśmiechając się, wstrząsnęła głową.

— Nie, Eryku, jadę razem z tobą.

— Ty — ze mną?

— Czy może być inaczej, Eryku? Czyż nie jesteśmy złączeni na zawsze? Nauczyłam się pracować i zaoszczędziłam już trochę. Popatrz — podała mu woreczek z pieniędzmi — to wystarczy na początek. A potem weźmiemy się oboje do pracy i wszystkie siły wyteżymy — obejrzała się i dokończyła szeptem: — żeby twój dług zapłacić, prawda?

— O, droga moja, — łamał się jego głos — czy pomyślałaś, że żadnymi ofiarami nie możesz mi już przywrócić uczciwego imienia?

Błysnęły jej oczy.

— Nie, Eryku, nie imię, ale coś wyższego, coś cenniejszego od ludzkich sądów, musisz odzyskać: szacunek dla samego siebie.

— A dziecko, Chimo? Czy obliczyłaś się ze swoimi siłami? Czy możesz znieść rozłąkę z niem?

Westchnęła głęboko.

— Dobrze mu u moich rodziców; nie jestem mu potrzebną; tobie, Eryku, potrzebny jest ktoś bliski, kochający... Przed tobą ciężkie czasy...

Uściskał jej rękę w milczeniu.



Rozległ się sygnał do odpłynięcia i w tej samej chwili rozjaśnił się horyzont, a z morza majestatycznie wyłoniło się słońce, rozpędzając szarą mgłę.

— O, spojrzij, jak ładnie, — rzekła Chima, — zdążamy prosto ku słońcu...

Niewysłowione uczucie szczęścia napełniło duszę Eryka.

— Tak, ku słońcu, — powtórzył w zadumie.



ANTONI CZECHOW.

## P O T W A R Z.

**N**auczyciel kaligrafii Sergiusz Kapitonycz Achiniejew wydał swoją córkę Natalię za nauczyciela historii i geografii, Iwana Piotrowicza Łoszadina. Gody weselne odbywały się, jak po maśle. W salonie śpiewali, grali, tańczyli. Po pokojach, jak poparzeni, latali wynajęci z klubu lokaje w czarnych frakach i białych brudnych krawatach. Szumno było i gwarno. Nauczyciel matematyki Tarangułow, Francuz Padeku i młodszy rewizor kontrolnej izby, Jegor Benediktycz Mzda, siedząc rzędem na kanapie, spiesząc się i przerywając jeden drugiemu, opowiadali gościom o wypadku pogrzebania żywcem i wygłaszali swoje zdania o spirytyzmie. Wszyscy trzej nie wierzyli w spirytyzm, ale nie przeczyli, że na tym świecie dużo jest takich rzeczy, których nie pojmie nigdy rozum ludzki. W drugim pokoju nauczyciel literatury, Dodowski, wyjaśniał gościom wypadki, kiedy posterunek ma prawo strzelać do przechodniów

Rozmowy były, jak widzicie, bardzo straszne, ale nader zajmujące. W okna ze dworu zaglądali ludzie, nie mający prawa z tytułu swego socyalnego położenia wejść do środka.

O północy, gospodarz Achiniejew poszedł do kuchni popatrzeć, czy już wszystko gotowe do wieczerzy. W kuchni od podłogi do sufitu pełno było dymu, zanoszącego gęsiami, kaczymi i wielu innymi zapachami. Na dwóch stołach porozstawiane i porozkładane były w artystycznym nieładzie różnego rodzaju zakąski i napitki. Koło stołów kręciła się kucharka Marta, czerwona baba z podwójnym obwisłym brzuchem.

— Pokażno mi, matusiu, jesiotra! — rzekł Achiniejew, zacierając ręce i oblizując się. — Co za zapach! Zjadłbym całą kuchnię! No, pokaż mi jesiotra.

Marta podeszła do jednej z ławek i ostrożnie podniosła arkusz zatłuszczonej gazety. Pod tym arkuszem, na olbrzymim półmisku, spoczywał duży, sosem obłany jesiotr, pstrzacy się kaparami, oliwkami i marchwią. Achiniejew spojrział na jesiotra i westchnął. Zaświeciły mu się oczy. Nachylił się i wydał ustami odgłos, podobny do skrzygu nienasmarowanego koła. Postawszy chwilę, klasnął z zadowolenia palcami i jeszcze raz cmoknął ustami.

— Ba! Odgłos gorącego pocałunku... Ty z kim się tu całujesz Martusza? — rozległ się głos z sąsiedniego pokoju i w drzwiach ukazała się ostrzyżona głowa pomocnika nauczyciela, Wańkina. — Z kim to ty? Aaa... bardzo ładnie! z Sergiuszem Kapitonyczem! Dobry dzia-dzio, nie ma co mówić!

— Wcale się nie całuję — skonfundował się Achiniejew — któż to ci, głupcze, powiedział? To ja tego... cmoknąłem sobie ustami do... z zadowolenia... Na widok ryby...

— Gadaj!

Twarz Wańkina uśmiechnęła się szeroko i schowała się za drzwiami. Achiniejew poczerwieniał.

— Djabli wiedzą co! — pomyślał Achiniejew. — Pójdzie teraz plugawiec i napiecie. Po całym mieście oczerni, bydle...

Achiniejew wszedł bojaźliwie do salonu i popatrzył z ukosa w stronę, gdzie był Wańkin. Wańkin stał koło fortepianu i zgiąwszy się, szeptał coś szwagrowej inspektora.

— To o mnie! — pomyślał Achiniejew. — O mnie, żeby go rozerwało! A ta wierzy... wierzy! Śmieje się! Boże mój! Nie, tak nie można zostawić... nie... Trzeba będzie tak zrobić, żeby mu nie uwierzyli... Pogadam z nimi wszystkimi, a on już u mnie na zawsze zostanie plotkarzem.

Podrapał się po głowie i ciągle jeszcze skonfundowany, podszedł do Padekua.

— Byłem właśnie w kuchni i wydawałem polecenia co do wieczerzy — odezwał się do Francuza. — Wy, ja wiem, lubicie rybę, a mam jesiotra, bracie, ach! Na dwa arszynty! Che-che-che... Ale, prawda... byłbym zapomniiał... W kuchni właśnie, z tym jesiotrem — istna anegdota! Wchodzę i chcę popatrzeć na potrawy... Patrzę na jesiotra i z zadowolenia... z łakomstwa cmokam ustami! A w tej chwili, nagle, wchodzi ten głupiec Wańkin i powiada... Cha-cha-cha... i powiada: Aaa... całujecie się tutaj? Z Martą, z kucharką! A to wymyślił, głupi człowiek! Baba brzydka, a do wszystkich zwierząt podobna, a on... całować się! Pustak!

— Kto pustak? — zapytał, podchodząc Tarantułow.

— A ot, Wańkin! — Wchodzę do kuchni.

I opowiedział o Wańkinie.

— Ośmieszył, pustak! A podług mnie przyjemniej byłoby całować się z małpą, jak z Martą — dodał Achiniejew, obejrzał się i zabaczył za sobą Mzdę.

— My o Wańkinie — powiedział mu. — Pustaczysko! Wchodzi do kuchni, zobaczył mnie przy Marcie i dalejże wymyślać różne rzeczy. Cóż to, mówi, całujecie się? Przywidziało mu się po pijanemu. Ale ja, powiadam wam, prędzej pocałowałbym się z Indyaninem, jak z Martą. Przecież ja żonę mam, powiadam, głupcze ty jakiś. Ośmieszył!

— Kto was ośmieszył? — zapytał znów, zbliżając się do Achiniewa ojciec katecheta.

— Wańkin. — Stoję, wiecie, w kuchni i patrzę na jesiotra...

I tak dalej... Za jakie pół godziny wszyscy goście już wiedzieli o przygodzie z jesiotrem i Wańkinem.

— Niech im teraz opowiada! Wyprzedziłem go — myślał Achiniejew, zacierając ręce. — Niech! Zacznie opowiadać, a jemu zaraz: Brednie pleciesz, głupcze! My wszystko wiemy!

I Achiniejew uspokoił się do tego stopnia, że z radości wypił cztery zbywające kieliszki. Zaprowadziwszy państwa młodych po wieczery do sypialni, poszedł do siebie i zasnął, jak niewinne dziecko, a na drugi dzień zapomniał już o historii z jesiotrem. Ale człowiek strzela, a Bóg kule nosi. Zły język zrobił swoje i nie pomogła Achiniejewowi jego przebiegłość. Akurat w tydzień, a mianowicie w środę po trzeciej lekcji, kiedy Achiniejew stał pośród nauczycieli i rozprawał o złych skłonnościach ucznia Wysiekina, podszedł do niego dyrektor i odwołał go na stronę.

— Ot co, Sergiuszu Kapitonyczu — rzekł dyrektor. — Darujcie... Nie moja rzecz, ale przecie muszę wam dać do zrozumienia... Mój obowiązek... Widzicie, chodzą wieści, że wy żyjecie z tą... z kucharką... Nie moja to rzecz, ale... Żyćcie z nią, całujcie się, róbcie, co chcecie, tylko, zmiłujcie się, nie tak głośno! Proszę was! Nie zapominajcie, że wy pedagog!

Achiniejew struchlał i oniemiał. Jak skłuty żądłami całego roju pszczoł, jak oparzony ukropem, poszedł do domu. Szedł do domu i zdawało mu się, że całe miasto na niego patrzy, jak na zasmarowanego dziegciem... W domu czekała go nowa bieda.

— Cóż ty nic nie jesz? — zapytała go przy obiedzie żona. — O czym się zamyśliłeś? O amorach może? O Martuszkę się troszczysz? Wszystko mi, Mahomecie, wiadomo! Otworzyli mi oczy dobrzy ludzie! Ooo... szkaradniku...

I trzask go w gębę! Wstał od stołu i, nie czując ziemi pod sobą, bez czapki i palta, pobiegł do Wańkina. Zastał go w domu.

— Podlec, ty! — krzyknął Achiniejew do Wańkina. — Za coś mnie przed całym światem błotem obabrał? Za co rzuciłeś na mnie potwarz?

— Jaką potwarz? Co wy wymyślacie?

— A kto puścił plotkę, że ja się z Martą całowałem? Nie ty, powiesz? Nie ty, rozbójniku?

Wańkin drgnął wszystkimi nerwami swojej shańbionej osoby, wznosił oczy do obrazu i przemówił:

— Niech mnie Bóg skarże! Wyłup mi oczy i niech zginę, jeżeli chociaż jedno słowo o was powiedziałem. Niech mnie cholera!...

Szczerść Wańkina nie ulegała wątpliwości. Oczywiście, nie on zrobił plotkę.

— Ale któż? Kto? — zamyślił się Achiniejew, przechodząc pamięcią wszystkich swoich znajomych.

— Któż?

— Któż? — zapytamy i my czytelnika...



M. LEVEL.

## K Ł U S O W N I K .

Nazywał się Madek; był to silny i dorodny chłopiec. Na wiosnę pasał konie z okolicznych folwarków, z nastaniem zaś lata udawał się na żniwo. Codzień w pośród chylących się pod powiewem wiatru kłosów, zlany potem, z rozwartą na piersiach koszulą, postępował, kołyszając się, miarowym krokiem naprzód i w takt z chodem wymachiwał rękami. Nie patrzył jednak na cienkie, kładące się z przeciągłym szelestem jedwabiu łodygi; całą jego uwagę pochłaniała odkrywająca się śladem jego kosy ziemia, zasiana tu i owdzie kamykami, najeżona gęstą, złotawą ściernią, gdzie między bruzdami, w cieniu, ptactwo ścieliło swoje gniazda. Wstrzymywał nagle swą kosę, gdy wystraszone jego ciężkiem stąpieniem uciekały młode kuropatwy, próbując swych wątych jeszcze skrzydełek. I wtedy, w głębi jego jasnych oczu można było dostrzedz jakby rzewne spojrzenie, śledzące małe stworzonka i pieszczące ich gniazda.

A jednak był to zawołany kłusownik, znany w całej okolicy, postrach wszystkich myśliwych na dziesięć mil dookoła.

Skoro tylko w sierpniu na murach wsi ukazały się obwieszczenia o otwarciu polowania, zaprzestawał wszelkiej pracy, spędzając swój czas na uwijaniu się po polach i lasach, wiedząc lepiej, aniżeli ktokolwiek o kryjówkach i legowiskach wszelkiego rodzaju zwierzyny: o jamach króliczych, o kotlinach zajęczych, hreczkach, gdzie nocują bażanty, o trawach, gdzie żerują kuropatwy i przepiórki. A kiedy noc zapadła, zapuszczał się w gąszcze leśne z ukrytymi pod surdudem łapkami i si-

dłami, i wracał do domu z owocami swoich łowów na plecach nie prędzej aż gwiazdy przybladły, aż świt na wschodzie zaróżowił niebo.

Dwa, czy trzy razy złapano go na gorącym uczynku; poddał się bez oporu, spoglądając z uśmiechem na rozżartych dozorców.

— Szkoda! — mówił Madek — wypatrzyłem właśnie stadko sarn. Powiedziałbym wam gdzie one są, ale nie potrafilibyście ich znaleźć.

Później, stawał przed trybunałem, a skazany, mówił odprowadzającym go do aresztu żandarmom:

— To żadna hańba! A wreszcie, co chcecie, mam to już we krwi; lubię polowanie!

Z aresztu wychodził bez żalu, a odwet swój ograniczał do zdwojonych w swoich kłusowniczych wyprawach wytrwałości i zręczności.

Mówiono mu:

— Czy nigdy się już nie poprawisz?

— A to po co? Sobie tylko źle robię... Ah! gdybym był żonaty...

I tak, podczas gdy jego młodość i zręczność zawracały w głowie dziewczętom, jego uprzejmość i dobroć sprawiały, że wszyscy ludzie we wsi patrzyli pobłażliwie na jego namiętność.

Miał jednak jednego nieprzyjaciela, a tym był pan zamku, który ze szczególnem upodobaniem kazał go prześladować swoim złym, okrutnym dozorcóm, skarżyć do sądu. Często zachodziły między nimi spory.

— Ależ, panie hrabio, ograniczenia w polowaniu nie rozumiem. Zwierzyna należy do wszystkich; to tak, jak słońce od Boga. Na swoich polach tyle pan posiada wszystkiego, że bez tego, co nad niemi lata i po nich biega, może się pan obejść.

— Takie prawo, Madek, takie prawo.

— Złe to prawo, panie hrabio.

— Trzeba mu się przecież poddać dopóki nie zostanie zmienione i uprzedzam cię, że każę teraz strzelać do kłusowników.

— Nie, tego pan nie zrobi.

. . . Otóż pewnej nocy, kiedy buszował po lesie, dostrzegł nagle krótki blask w krzakach, rozległ się strzał i słyszał, jak dokoła niego gałęzie i liście obsypały śróty.

Ufny w swoją siłę, chciał już rzucić się na napaśnika, ale na szczęście w czas się jeszcze połapał, odgadł zasadzkę, zrozumiał, że zabitoby go bezbronnego, jak psa. W trzech susach był w gąszczu, puścił się cwałem i w paru minutach znalazł się w domu.

Tym razem pogorszyła się sprawa. Gdyby znów zaczął — albo zrobionoby z niego kalekę, albo uniesiony gniewem, mógłby sam dopuścić się nieszczęścia. I wtedy nie byłoby to już zwykłe przekroczenie ustawy łowieckiej i nie skończyłoby się na kilku dniach aresztu; stałoby jako morderca przed sądem... Nie, to nie!

Przestał uganiać po polach i lasach, wziął się do pracy i o kłusownictwie, zdawało się, zapomniał. W tym samym czasie zakochała się w nim córka bogatego gospodarza. A że się ustatkował i wcale nie był próżniakiem, małżeństwo łatwo przyszło do skutku.

Życie jego stało się odtąd spokojne, wolne od trosk. O jego dawnych sprawkach prawie zapomniano. Podobny był do tylu innych, statecznych chłopów, którzy w niedzielę, zasiadłszy w winnicy, gawędzą o spodziewanych z pól swych dochodach, o upałach lub zbyt rzadkich deszczach. Wyrobił sobie nawet pozwolenie na polowanie, z którego zresztą prawie nie korzystał. Jednego tylko czy dwa bażanty zastrzelił na swoim polu w sezonie.

Wieczorami, po pracy, przypominał sobie z przyjemnością swoje dawne czyny: czaty przy świetle księ-



zyca, zające łapane w sidła, ptactwo w sieci pochwycone, łopocące skrzydłami...

Jeżeli jednak wspomniano o strzale w nocy, jego twarz stawała się nagle pochmurną, zaciskał pięści:

— Nikomu nic złego nie życzę, ale temu, który to zrobił!... Przecież nikt niema prawa zabijać człowieka, jak królika w jamie!

Pewnego pogodnego wieczora, wracając z miasta, spostrzegł człowieka wałęsającego się w polu, w pobliżu jego domostwa.

— Masz! Kłusownik — pomyślał w pierwszej chwili. I nie tyle w zamiarze przychwycenie szkodnika, co z prostej ciekawości zaczął iść w ślad za nim.

— Kto to może być?... — mruczał przez zęby. — Piotr?... czy szewc Jan?...

I nagle, przy świetle wynurzającego się z za chmur księżyca, mógł całą twarz jego zobaczyć.

To nie był chłop, nie był kłusownik, to był pan zamku, pan okrutnych dozorców, ten, który bez litości kazał strzelać do niego.

Stanął jak wryty, zadając sobie pytanie:

— Na jakiego djabła włóczy się tutaj o tej porze? Czy zabłądził?... Ale nie. Dokądże on idzie? Na czterysta metrów dokoła niema żadnego domu, oprócz mego... A więc... do mnie!...

Naraz, zbudziło się w nim podejrzenie:

— Czy, przypadkiem, nie przychodzi tu, wiedząc, że się wydalilem.

Na czworakach, przekradając się niepostrzeżenie przez wysoką trawę, zczołgał się pod ogrodzenie, bez hałasu otworzył furtkę i wszedł do siebie. Żona czekała na niego, szyjąc w kącie chaty.

Wśród rozmowy, zapytał z obojętną miną:

— Dawno już nie widziałas pana hrabiego?

Zaczerwieniła się trochę.

— Nie. Nawet był tutaj niedawno.

— POCO?

— Oh! tak, przechodząc... Wstępował także tamtej soboty, ale nic ci nie mówiłam, bo wiem, że nie bardzo go lubisz...

Machnął ręką.

— At!... stara historia!...

Później, prostując się:

— Idę o zakład, że hrabia przychodzi umizgać się do ciebie! — Oh! wcale mnie to nie dziwi, przecież jesteś najładniejszą we wsi...

Umilkł, nałożył fajkę, zapalił ją i zaczął rozmyślać. Pomimo, że zupełnie pewny był żony, dręczyła go zazdrość.

— Idziesz spać? — zapytała, przerywając przygnębiającą ciszę i składając robotę.

— Idź! Wypalę tylko fajkę i przyjdę na górę.

Słyszał, jak wychodziła po schodach, później jak kręciła się po izbie, wreszcie wszystko ucichło. Podszedł do okna i podniósł storę.

Przy świetle księżycy zobaczył pod drzewem cień spotkanego przed chwilą człowieka. Uśmiechnął się ironicznie, zdjął strzelbę ze ściany, włożył ładunki, zarzucił broń na ramię i wyszedł.

Cień przeskoczył już ogrodzenie, ale w tej chwili pies zaczął szczekać i cień przystanął.

— Kto tam? — krzyknął Madek.

Żadnej odpowiedzi.

— Kto tam?

Pies szczeakał zajadle, potrząsając łańcuchem, a cień zniecierpliwiony mrucał:

— Przekłęte zwierzę!

Madek wyprostował się, przyłożył strzelbę do ramienia, wypalił... Przerażliwy wrzask ranionego rozległ się w powietrzu.

Ranny wił się w prochu, klnąc, jęcząc i chwytając się za żebra.

Madek w jednej chwili był przy nim; pochylił się, zdjął czapkę i rzekł, drapiąc się po głowie:

— Ah! jakże mi przykro, panie hrabio, że panu coś takiego zrobiłem... Gdybym był wiedział, że to pan... Szczęście jeszcze, że tylko drobnym śrutem strzelbę nabiłem... Wziąłem pana za kłusownika; odkąd stałem się poważnym, strzegę swego polowania!

I nigdy nie dowiedziano się w okolicy, dlaczego hrabia przez kilka dni utykał na nogę i dlaczego Madek przestał brwi marszczyć, gdy mówiono o dozorczy lasowym, który go chybił.



F. W R E D E.

## SIOSTRA TROSKA.

**B**ył raz młody człowiek, któremu pragnienie zostania poetą nie dawało spokoju. Napisał już wprawdzie kilka wesołych a także i smutnych powiastek — żaden jednak z jego utworów nie odpowiadał jego własnym pojęciom o prawdziwie poetyckiej pracy. Niezmęczenie wysilał swój dowcip nad codziennymi zagadnieniami życia, niezmęczenie ćwiczył swoje pióro. Wszystko było daremne! Stwarzane przez niego postacie pozostawały zawsze bezdusznymi lalkami. Autor nasz był niepocieszony. Zważył o swoich poetyckich zdolnościach.

Pewnej nocy, błąkając się po górach, zboczył bezwiednie z utartej ścieżki i znalazł się w głębi nieznanego mu lasu.

Już zaczynały opuszczać go siły, kiedy dotarł do otoczonej ciemnymi, poważnymi jodłami polany, na której spostrzegł dziwne, z innego świata towarzystwo.

Pośrodku polany, stał na potężnej maczudze sparty wielki, olbrzymi człowiek. Skóry tworzyły jego odzież, a ciemna, długa broda spadała mu na piersi.

Olbrzymia tego otaczały trzy jasne kobiece postacie, które zdawały się walczyć między sobą o palmę pierwszeństwa w powabie i urodzie. Włosy miały przeplatane wonnymi kwiatami, a kraje ich szat białych zlewały się z mgłą, która jak dywan puszysty zaścieniała ziemię.

Poeta zrozumiał, że obecność tych uroczych, w powiewnych szatach istot w północnym lesie, nie da się wytłómaczyć w naturalnej drodze i że bezwątpienia ma tutaj do czynienia z nocnymi duchami. Uznał też za najstosowniejsze cofnąć się niepostrzeżenie i ich zachowanie się obserwować z ukrycia.

W chwili jednak, kiedy już gotów był schować się, zwróciła się do niego jedna z tych uroczych kobiet z pytaniem:

Nierozsądny człowiecze, dlaczego od nas uciekasz? Od nas, których tak długo szukałeś daremnie!

— Darujcie! — wyjąkał przyłapany poeta. — Zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Nie mam szczęścia znać was, a temsamem i szukać was nie mogłem!

— Chcesz coś wielkiego i doskonałego stworzyć, a nie znasz nas? Urocza kobieta zaśmiała się szyderczo, zachichotały również dwie inne, tak, że wśród nocnej ciszy rozszedł się po lesie jakby łagodny, melodyjny głos dzwonek. Na ustach brodatego olbrzymia nawet ukazał się uśmiech ironiczny.

Kiedy przeminęła boska wesołość całego towarzystwa, ciągnęła znów mowczyni dalej:

— My, których tu widzisz zebranych, jesteśmy ozywczemi siłami ludzkości. Ta, majestatu pełna niewiasta — to »Miłość«, a jej piękna sąsiadka nazywa się »Zmysłowość«. Tę zawsze spotkasz w pobliżu Miłości, gdyż wzniosłość jej naśladować się sili. Nie gardzi jednak innemi także maskami, nie jest jej obcą jeszcze inna maskarada, bo zwolenników ma licznych. Na tego brodatego olbrzyma patrz z trwogą i uszanowaniem — to straszny »Gniew«. A mnie nazywają »Radością«.

— Wszystkim nam nie możesz służyć naraz. Decyduj się, pod czyj chcesz zaciągnąć się sztandar.

— Ach! — westchnął poeta. — Jakże mogę! Nie jestem teraz mądrzejszym niż przedtem. Wszystkich was znam ze słyszenia tylko...

— Masz przecie oczy i uszy! — rzuciła niecierpliwie Zmysłowość. — Wszak znasz nas z dzieł naszych!

— Nie zapominaj — rzekł zawstydzony młodzieniec — że jestem poetą.

— Ci rodzą się ślepi — wtrącił Gniew srogi — znam ja ten rodzaj!

— Ty? — zapytała miłość zdziwiona.

Zakłopotał się trochę Gniew.

— Tak, ja! — odparł. — Właściwie jest to tajemnicą, której nie powinienem być zdradzić. Daleka kuzynka — nie jestem dumny z moich krewnych — zazdrość — często mi mówiła o literatach. Zanadto każą się cenić, i on też...

Radość zdawała się lękać, że Gniew za dużo tajemnic wygada wobec śmiertelnika.

— Kiedy niewiadosłość tego młodego człowieka, — przerwała mocarzowi — jest tak wielką, to pouczmy go, czego od każdego z nas może się spodziewać. Ja pierwsza daję dobry przykład!

-- Wiesz, -- zwróciła się do poety -- nazywają mnie Radością. Jestem najlepszem towarzystwem. Nie znając mnie trudno doprowadzić do czegoś dobrego. Jestem dla ludzi tem, czem dla pączka kwiatu odświeżająca noc letnia. Przytem, umiem się zastosować do wszystkiego i obcą mi jest pycha i wyniosłość. Z dziećmi doskonale potrafię się bawić, a później znów z uczonymi siedzę całą noc przy kopcącej lampie. Służąc mi, patrzeć będziesz na jasne, przyjemne obrazy. Czy to w biedzie, czy w dostatku, pióro twoje nie zawiedzie cię nigdy, wychodzić z pod niego będą ludzie tylko z uśmiechem na ustach.

— Tego wszystkiego nie mogę ci obiecać! — mruknął potężny Gniew. — Ale z mocą poznasz się w moich usługach. Silni tylko, zupełni ludzie znajdują się na mojej drodze. Gardzę słabymi. Jako mój giermek nie będziesz mógł budować! — Burzyć tylko możesz! Tłum będzie zginał przed tobą kolana, bo mego ducha, którym ty przejąć się musisz, niewolniczo się boi.

— Ja — odezwała się wiecznie uśmiechnięta Zmysłowość — mogę ci więcej, aniżeli oni oboje obiecać. Pod moim sztandarem powodzenie cię czeka. Słyszysz — młody poeto — samo tylko, rozgłośne powodzenie. Błyszczące złoto do worka twego płynąć będzie, a laurowego wieńca także ci nie braknie. Czytelnicy twoi staną się także poetami, bo silić się będą opiewać twoje wielkie zalety, których wcale nie posiadasz! Widzisz więc, że na usługach u mnie tylko dobrze wyjść możesz!

— Jeżeli moim piewcą zechcesz zostać — rzekła wkońcu majestatu pełna Miłość — to również powodzenie twoje jest pewne! A nadto przyjaciół twoich wstydić się nie będziesz potrzebował. Ja szlachetniejszą jestem, aniżeli Zmysłowość, więcej pojednawczą aniżeli Radość i większych dokonałam czynów aniżeli Gniew straszny! Jestem najdoskonalszem, największem pięknem

na świecie. Dla mnie stworzyli krótkowidzący ludzie trzy nazwy. »Miłością« nazywają mnie jedni, »Przyjaźnią« drudzy, a »Szczęściem« znów trzeci. A każdy się za mną ogląda. Dlatego też rozchwytywać wszyscy będą książki, w których czyny moje będziesz opiewał. Jeżeli jednak promienny blask mój chcesz wyzyskać zupełnie, musisz należeć do mnie niepodzielnie. Komu z nas chcesz służyć? Wybieraj!

— Wybieraj! — powtórzyły Radość, Zmysłowość i Gniew.

— Jeszcze mnie posłuchaj! — zadźwięczał melodyjny głos na kraju lasu, i z cieniu jodeł wysunęła się wiotka, jak alabaster biała, o niebieskich, jak głębie bezdennego jeziora, oczach, z lutnią w ręku dziewczica.

— Siostró moja! — zawołała bardzo podrażniona Radość. — Czyż zawsze musisz niepostrzeżenie czuć koło mnie?

— Któż ty jesteś? — zapytał poeta, wpatrując się w cudowną twarz dziewczicy.

— Ja jestem Troska! — odparła. — Cichy ból, co gnieździ się w najtajniejszych duszy kryjówkach. Nie jestem tak głośną jak Miłość, Zmysłowość, Gniew albo moja siostra Radość. Kto mnie chce poznać — szukać mnie musi. Służąc mi, nie zdobędziesz ni sławy, blasku, ni złota. Myśl tylko będzie twoją nagrodą, poznanie twoim gorzkim balsamem. Błahe rzeczy za to nie przedstawią ci się jako wielkie, a wielkie jako błahe. Zagadkę życia — ty rozwiążesz, bo dam ci klucz do duszy ludzkiej!

Tak mówiąc, oddalała się Troska powoli, wydobywając ze swej lutni smutną melodyę, i znikła wkońcu w lesie po drugiej stronie polany.

— Strzeż się — człowiecze! zawołała Radość. — Droga mojej siostry wyścielona cierniami i prowadzi do wielkiej, głuchej samotności!

— Strzeż się! — wołały z kolei Miłość, Zmysłowość i Gniew. — Jeżeli pójdiesz za Troską, to znać cię nie chcemy! Strzeż się!

Ale poeta nie zważał na ich zazdrosne wołania.

Bez namysłu odwrócił się od Miłości, Gniewu, Zmysłowości i Radości, i poszedł ochoczo za Troską, która mu obiecała klucz do duszy ludzkiej.



EUGENIUSZ FOURRIER.

## UBEZPIECZENIE OD OGNIĄ.

Humoreska.

**W**iliam Archibald, bogaty Brazylijczyk, przyjechał na dłuższy pobyt do Paryża. Wynajął ładne mieszkanie na bulwarze Kapucynów i urządził się w niem bardzo wygodnie.

Przywiózł ze sobą trzy tysiące cygar hawańskich, które chciał ubezpieczyć od ognia, i udał się w tym celu do wskazanego mu Towarzystwa asekuracyjnego.

Przedstawił się jednemu z urzędników.

— Czy tu ubezpieczają? — zapytał.

— Tak, panie — odpowiedział urzędnik. — Towarzystwo nasze z kapitałem pięćdziesięciu milionów franków, ubezpiecza od ognia ruchomości i nieruchomości, od eksplozyi gazów, od piorunów, taksuje szkody bezwzględnie, reguluje rachunki natychmiast...

— O to mi właśnie chodzi — przerwał z zadowoleniem Brazylijczyk.



— Towarzystwo nasze — ciągnął dalej nadzwyczaj gorliwy urzędnik — jest najpoważniejszym i z każdym dniem zwiększa się liczba jego klientów.

— Ubezpiecza wszystko, co może się spalić? — zapytał Brazylijczyk.

— Nietylko ubezpiecza od ognia, ale także od gradu, kradzieży, nieszczęśliwych wypadków przy pracy i na kolei. Towarzystwo wypłaciło od chwili założenia przeszło sześćdziesiąt milionów odszkodowania. Pan zapewne chce ubezpieczyć swój majątek?

— Nie — odparł Brazylijczyk — ubezpieczyłem go w Ameryce; mieszkam w Brazylii.

— Rozumiem — rzekł urzędnik — posiada pan wielkie stada bydła i te pan chce ubezpieczyć.

— Stada moje ubezpieczam w Australii; podróżuję wiele.

— Zgaduję czego sobie pan życzy: ubezpieczyć się od wypadków na kolei, utonięcia...

— Jestem ubezpieczony w Anglii.

— Chce się pan może ubezpieczyć na życie, ażeby zapewnić wdowie po swojej śmierci pewną sumę.

— Jestem kawalerem.

— Możemy ubezpieczyć od kradzieży.

— Zbyteczne.

— A więc może pan będzie łaskaw powiedzieć mi, co pana do nas sprowadza?

— Byłbym to już zrobił, gdyby mi pan był pozwolił mówić.

— Może pan być przekonany o całej naszej gotowości służenia panu, zapewniam pana.

— Chcę ubezpieczyć od ognia trzy tysiące cygar hawańskich.

— Cygara? — rzekł zdziwiony urzędnik — w ogóle nie ubezpieczamy...

— Jeżeli panowie nie możecie, pójdę gdzieindziej — powiedział Brazylijczyk.

— Proszę tego nie robić; ubezpieczymy pańskie cygara. Towarzystwo ubezpiecza wszystko. Na jaką więc sumę chce je pan ubezpieczyć?

— Razem z cłem kosztują mnie 4.000 franków.

— Dobrze. Każę zredagować policę i jutro ją panu odeszłą.

Nazajutrz zgłosił się do Brazylijczyka urzędnik, przeliczył cygara i doręczył mu policę ważną na dziesięć lat. — Brazylijczyk potwierdził odbiór policy i wypłacił należną premię.

Po załatwieniu tych formalności, zabrał się Brazylijczyk do cygar.

Były wyborne. Częstował nimi swoich przyjaciół.

— Palcie, proszę was — mówił — ile chcecie, są ubezpieczone.

Po upływie ośmiu miesięcy spostrzegł się William Archibald, że nie było już ani jednego cygara.

Poszedł do Towarzystwa.

— Przed ośmiu miesiącami — rzekł, zwracając się do jednego z urzędników — ubezpieczyłem 3.000 cygar.

— Bardzo dobrze pan zrobił — odpowiedział urzędnik uprzejmie.

— Tembardziej — rzekł Brazylijczyk — że spaliły się wszystkie i przychodzę prosić o wypłacenie mi gwarantowanej sumy.

— Trzeba zrobić natychmiast deklarację. Jak dawno się spaliły?

— Ostatnie wczoraj.

— Nie spaliły się wszystkie naraz?

— Nie, jedno po drugim.

— To szczególne; nie byliśmy zawiadomieni o pożarze; wysłaliśmy inspektora do pana w celu skonstatowania szkody.

— Bardzo dobrze — rzekł, wychodząc Brazylijczyk.  
Wieczorem tego samego dnia zjawił się u niego inspektor Towarzystwa.

— Czy cygara spaliły się do szczętu? — zapytał.

— Do szczętu.

— Raczy mi pan pokazać popiół.

— Wyrzuciłem go.

— Należało czekać na moje przybycie.

— Mogę panu udowodnić, że cygara spaliły się — zapewniał Brazylijczyk; — mogą poświadczyć: odzwier-  
ny, właściciel, moi przyjaciele.

— Jakże powstał ogień? Czy cygara były umieszczone przy piecu?

— Gdzież tam — odpowiedział Brazylijczyk; — wypaliłem je.

— Wypalił je pan i Towarzystwo ma panu za nie zapłacić! — zawołał inspektor. — Pan zapewne żartuje?

— Wcale nie żartuję. Ubezpieczyłem moje cygara od ognia, spaliły się, musicie mi więc za nie zapłacić. Pobraliście premię; nie trzeba było przyjmować ubezpieczenia na cygara.

— Nie jesteśmy w Brazylii — zauważył inspektor.

— Myśl sobie pan, co się panu podoba — rzekł Brazylijczyk — a ja panu zapowiadam, że jeżeli mi nie wypłacicie odszkodowania, to wam proces wytoczę.

— Wytaczaj pan — odparł inspektor.

Brazylijczyk oddał swoją sprawę w ręce adwokata, który zapozwał Towarzystwo przed trybunał handlowy.

Adwokat bronił z zapałem sprawy swego klienta.

— Pretensya mojego klienta jest usprawiedliwiona najzupełniej! — wołał. — Towarzystwo ubezpieczyło cygara od ognia; spaliły się, powinno za nie zapłacić. Towarzystwo nie zrobiło żadnych zastrzeżeń w policy. Panowie sędziowie! Odwołujemy się do waszej znanej sprawiedliwości; mój klient jest cudzoziemcem, przybył

do naszej pięknej Francyi, którą kocha, ufny w prawość jej mieszkańców; nie zechcecie, żeby wracał do swego kraju ze złem o nas wyobrażeniem. Co do Towarzystwa, jego złe zamiary są widoczne; postawię tylko jedno pytanie: czy cygara spaliły się, czy nie?

Zastępca Towarzystwa bronił słabo, starając się tylko udowodnić, że cygar wypalonych nie można uważać jako uległych nadzwyczajnemu wypadkowi.

— Panowie — odparł adwokat Brazylijczyka — zwracam waszą uwagę, że klient mój nie zna zwyczajów panujących w naszym kraju. Rzeczą towarzystwa było objaśnić go, poczynić swoje zastrzeżenia. Klient mój ufny w waszą prawość, nie wahał się odwołać do sprawiedliwości. Nie zapomnijcie panowie, że reprezentujecie Francję i wyrok wasz będzie słusznym zadośćuczynieniem jego zupełnie uzasadnionej pretensyi.

Trybunał, przyznając rację Brazylijczykowi, skazał Towarzystwo na wypłacenie mu odszkodowania za spalone cygara.

Wychodząc z trybunału, zwrócił się zastępca Towarzystwa do adwokata Williama Archibalda.

— Wygrałeś pierwszą sprawę, kochany kolego — rzekł tonem szyderyczym — ale wkrótce będziemy mieli drugi proces...

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Brazylijczyk.

— Że teraz Towarzystwo wytoczy panu proces.

W trzy dni później, William Archibald otrzymał wezwanie do prokuratora.

Poszedł, nadzwyczaj zdziwiony.

Prokurator odezwał się do niego surowo:

— Jesteś pan oskarżony przez Towarzystwo *La Lune*, że rozmyślnie spaliłeś zaasekurowany towar w celu podjęcia premii, przez co dopuściłeś się oszustwa. Co pan masz na swoje usprawiedliwienie?

— Nie rozumiem nic, nie wiem o co chodzi — rzekł Brazylijczyk — muszę poradzić się mego adwokata.

— Zostawiam pana na wolnej stopie — powiedział po namyśle prokurator — pod warunkiem, że stawisz się w sądzie na każde wezwanie.

Brazylijczyk pobiegł do swego obrońcy.

— To już trudniejsza sprawa — powiedział mu adwokat — tym razem Towarzystwo ma słusność, mogą pana skazać na przymusowe roboty.

— Także coś! — zawołał Brazylijczyk. — Pójdę do Towarzystwa ubezpieczeń, palnę w łeb dyrektorowi i wszystkim urzędnikom.

— Nie, u nas to nie uchodzi.

— Wyjeżdżam natychmiast do Rio de Janeiro.

— Strzeż się pan, wyszlą listy gończe za panem...

— Cóż robić?

— Trzeba pójść do dyrektora Towarzystwa i prosić go, żeby cofnął skargę.

Brazylijczyk posłuchał rady. Towarzystwo ubezpieczeń kazało sobie zwrócić wypłacone odszkodowanie z wysoką nadwyżką.

— Dziwny ten wasz kraj — powiedział Brazylijczyk adwokatowi — w jednym i tym samym procesie, naprzód przyznają mi słusność, a następnie chcą mnie skazać na przymusowe roboty. Nic tego nie rozumiem, wolę już sprawiedliwość mniej cywilizowanych.



CH. ESQUIER.

## WIELKI KSIĄŻĘ.

Oh! Petersburg ze swojemi świątyniami, pałacami, Newą, Newskim Prospektem, trójkami, muzykami... bojarami! — marzyła piękna Małgorzata de Saint-Fargeau z *Fantaisies Olympiennes*, podczas gdy pociąg unosił ją całą siłą pary ku teatrowi Michała, gdzie wkrótce miała debiutować.

Nie przekroczywszy nigdy dotychczas Garenne - Bozons, artystka znała Rosyę tylko z opowiadania. Ale to, co o niej wiedziała, wystarczyło do podniecenia jej tajonych nadziei i do wytknięcia sobie właściwego celu artystycznej podróży.

Widziała się już w apartamencie kapiącym od złota z księciem w szubie z niebieskich lisów, wyszytej rublami — dawno oczekiwanym księciem legendowym u stóp swoich...

Urodzona nad brzegiem jeziora Saint-Fargeau (skąd jej przybrane nazwisko) z matki niskiego pochodzenia i z ukrywającego się, ale znakomitego (tak sobie wyobrażała) ojca, Małgorzata de Saint-Fargeau była legitymistką w duszy, a najulubieńszym jej kwiatem była lilia. W razie śmierci któregoś z członków domu Burbonów parę tygodni nosiła żałobę.

— Kto wie czy zmarły nie był moim kuzynem? — myślała, przypominając sobie swoje tajemnicze pochodzenie.

To też, kiedy jednego wieczora w teatrze Michała (gdzie Małgorzata debiutowała z powodzeniem, dzięki swojej urodzie) zwrócił się do niej Woroncow, reporter

*Nowosti*, z gorącym oświadczeniem, nieomieszkała go przywołać prędko do porządku.

Co on sobie myślał, ten syn muzyka? On... Ruy Blas'em tej królowej teatru, o którą daremnie ubiegali się książęta!

Tak! książęta! ale nie zwykli książęta! Wymagania Małgorzaty de Saint-Fargeau o wiele wyżej sięgały! Wielki książę, w którego żyłach płynie krew cesarska, jeszcze... Ale... jakiś Woronców... Fe!

Dotknięty w swojej miłości własnej reporter stłumił gniew w sobie, uśmiechnął się nawet grzecznie, ale poprzysiągł w duszy zemstę.

. . . . .

Pewnego wieczora zjawił się w loży Saint-Fargeau Woronców, i z oznakami głębokiego uszanowania przedstawił jej czerwonego jak rydz olbrzymia, wymieniając z cicha jego nazwisko i tytuły.

Z niewyraźnej, na pół kozackiej, na pół francuskiej mowy dziennikarza, rozróżniła artystka tylko trzy słowa: »Wielki książę Piotr!«

Wzruszona przypatrzyła się uważnie przybyszowi... Ten wzrost wysoki... ta twarz szlachetna otoczona faworytami à la Suwarow, ta głowa cokolwiek wyłysiała, te białe ręce zdobne w pierścienie, ten majestat bijący z całej postaci! Tak, takiego jej opisywano, takiego sobie wyobrażała! Autentyczny Wielki książę!

Zrozumiała, że przyszła nareszcie upragniona przez nią chwila i że teraz dopiero rozpoczyna się jej właściwa w Rosji kampania.

Pierwsze zwycięstwo o tyle było łatwiejszem, że Jego Wysokość wynurzył jej z miejsca swoje gorące afekty najczystsza francuzczyzną, zapraszając ją równocześnie na jutro wieczór na kolację. Saint-Fargeau nie dała się wcale prosić, i w dwadzieścia cztery godzin później trójka unosiła nową parę ku Wyspom — Wyspom,

które są prawie tem w Petersburgu, czem Lasek Bułoński w Paryżu. To było czarujące!

Stanowczo tylko ci Słowianie mogli sobie pozwalać na tak wspaniałe fantazyje. Restauracya była uiluminowana i udekorowana kwiatami. U wejścia pełno lokai z pochodniami. Z wesołymi głosami biesiadników w sąsiednich gabinetach zlewały się dźwięki niewidzialnej orkiestry cygańskiej. Pod oknami rozlegały się co chwila okrzyki: Niech żyje Wielki książę Piotr!

W końcu zaczęły wybuchać ognie sztuczne, rozdzierając ciemności, a w bukiecie unoszącym się w powietrzu zobaczyła artystka wyraźnie litery M. S. F.

Małgorzata de Saint-Fargeau! Początkowe litery jej imienia i nazwiska w otoczeniu różnobarwnych ogn!

Jezioro Saint-Fargeau, unoszące się nad Newą! Upajające!... Co ją tylko trochę dziwiło, to zbyt swobodne, bez wszelkiej ceremonii zachowanie się jej amfitryona. Wielki książę mówił po francusku, jak Paryżanin, posługując się nawet od czasu do czasu pewnemi wyrażeniami, właściwemi żargonowi z Montmartre. Garsonów, którym mówił »ty«, traktował z dziwną poufałością do tego stopnia, że jednemu z nich, spaźniającemu się z podaniem sałaty, wyrwał z rąk półmisek, przyprowadził sam sałatę z podziwu godną zręcznością i postawił ją przed swoją wybranką, krzycząc jej nad uchem:

— Rosyjska sałata! Bum!

... W tej chwili zdawało się jej, że jest w jakiejś piwiarni na przedmieściu Montmartre. Ale, zastanowiwszy się, zrozumiała, że Jego Wysokość chciał w ten sposób dać dowód »tej Francuzce«, że żaden z jej zwyczajów narodowych nie jest mu obcym! Była tem do łez wzruszona i patryotyzm dokonał ostatecznie tego, co rozpoczął pociąg do wielkości.

. . . . .



Nazajutrz dumna Małgorzata weszła z tryumfem do foyer teatru Michała.

— A to co! — zawołała jedna z jej koleżanek, zobaczywszy wysadzaną brylantami bransoletę, którą Saint-Fargeau pokazywała ostentacyjnie. — Któż jest tym szczęśliwym ofiarodawcą?

— Jakto! nie wiesz? Ależ Wielki ksiązę Piotr! — rzuciła Saint-Fargeau gromadce zaciekawionych i zazdroścących jej kobiet.

Później, chcąc do ostatka nacieszyć się swoim tryumfem, dodała tonem lekceważenia:

— Znalazłam tę drobnostkę pod moją serwetką podczas kolacyi z nim tej nocy na Wyspach!

— Z kim?

— Ależ z Wielkim księciem Piotrem!

— Co ty pleciesz! Wiemy przecież wszystkie, że Wielki ksiązę dawał tej nocy bankiet na Wyspach, ale nie na twoją cześć, tylko swojej małżonki, której imię niny obchodził!

Zaniepokojona nagle tą wieścią Małgorzata szeroko otworzyła oczy.

— Żartujesz! Byłam z nim sama w osobnym gabinecie. Widzę jeszcze iluminację, kwiaty, służbę z pochodniami, ognie sztuczne z początkowemi literami mojego nazwiska: M. S. F.!

— Nie, to nie były litery twojego nazwiska, tylko Wielkiej księżnej... M. S. F., Marya, Sofia, Fedorowna. To cię może przekona.

Saint-Fargeau rzuciła okiem na podaną jej gazetę i przekonała się naocznie, że koleżanka jej mówiła prawdę! Zbladła... Na myśl przyszło jej straszne podejrzenie, i, spostrzegłszy wchodzącego właśnie do foyer Woroncowa, rzuciła się ku niemu, tracąc głowę, i zapytała go wprost:

— Pan, przedstawiony mi przez pana trzy dni temu w łoży jest Wielkim księciem Piotrem, nieprawdaż? Sam mi to pan powiedziałaś.

— Żle mnie pani zrozumiała — odpowiedział z całym spokojem reporter. — Wcale pani nie powiedziałem, że to Wielki książę Piotr, tylko kuchmistrz Wielkiego księcia...

— Kuchmistrz! — jęknęła jakby apopleksyą nagle rażona Małgorzata.

— Naczelny! — dodał niewzruszony Woroncow.

— Ku... ku... kuchmistrz!... Ach! matko!...

...  
I podczas, gdy szlachetna i dumna spadkobierczyni imienia Saint-Fargeau, wiła się w przystępie gwałtownego nerwowego ataku, Woroncow, wśród śmiechu całego otoczenia, powiedział, jakby na pocieszenie:

— Nie irytuj się, kochana pani! Pochodzi z Paryża... Dwadzieścia lat służył u Maxyma! Jest twoim rodakiem!



I W A N W A Z O W.

## DZIAD JOCO PATRZY...

(Wolny przekład z bułgarskiego).

**K**iedy wspominałyśmy o naszych dziadach, ojcach, krewnych, którzy przenieśli się na tamten świat zanim zajaśniały przed ich oczyma cudne promienie wolności, przychodzi nam często na myśl, jakby to oni dziwili się, jakby się radowali, gdyby cudem jakimś, przebu-

dzili się ze swego snu wiecznego, wyszli na świat biały i spojrzeli dookoła siebie; jakby to oni byli zdumieni tem wszystkim, niesłychanem, nieprawdopodobnem, coby zobaczyli!

Ale oni nie zmartwychwstaną i nie uradują się cudami wolności...

Nie, nie zmartwychwstaną. Nikt jeszcze nie zmartwychwstał!

\* \* \*

Był jednak jeden człowiek, który umarł w przededniu wojny o wolność i który — nie zmartwychwstał, a przecież doświadczył tego, czego doświadczyłyby zmartwychwstały...

Był to ośmdziesięcioletni starzec, dziad Joco.

Mieszkał on w ustronnej wiosce na wysokiej, urwistej zboczycy Starej-Płaniny, nad Iskorskim wąwozem.

Starzec ten, w sześćdziesiątym piątym roku swego życia, oślepnął nagle w rodzinnem swoim gnieździe, podczas wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej.

Żył, ale dla ludzi, dla świata umarł. W głębi jego serca jednak przechowało się gorące, niepohamowane pragnienie — zobaczyć wolną Bułgaryę!

W duszy jego żyły tylko mgliste obrazy przeszłości. W myślach swoich widział jasno to tylko, co nigdy widział swojemi oczami: czerwone fezy, turbany, knuty, okrutnych Turków z dzikimi twarzami — długa noc niewolnictwa bez przebłyску radości i nadziei: tak urodził się i umarł, nie doczekawszy się świtu.

\* \* \*

Wojna zaczęła się i skończyła szczęśliwie. Bułgaria odzyskała wolność.

I dziad Joco również odzyskał wolność — tak mu powiedzieli.

Wolność dla niego wyrażała się w słowach:

»Niema już Turków!«

I czuł, że ich już niema.

Ale w swoich prostych współobywatelach, w ich rozmowach, w ich myślach, w troskach o potrzeby codziennego życia, nie zauważył nic szczególnie nowego.

»Gdzież wolność?« — zadawał sobie zdziwiony pytanie, siedząc w cieniu rozłożystych buków, z martwym wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Gdyby wiedział, poleciałby jak orzeł, rozejrzeć się w nowym bułgarskim świecie.

»Ach, teraz właśnie potrzebne mi oczy!« — pomyślał z goryczą.

Popatrzył na wolną Bułgarię — było jego nieodstępną myślą.

\* \* \*

Pewnego razu, w piątym roku po oswoobodzeniu, rozeszła się po wsi wieść, że wkrótce ma tutaj przyjechać w jakimś nieznanym celu okręgowy naczelnik.

Zakotłowało się we wsi od tej wieści.

I serce biednego dziada Joco radowało się także.

— Ale to bułgarski basza? — ze wzruszeniem pytał dziad Joco.

— Bułgarski, a jakieżby? — odpowiadali mu.

— Nasz własny? Bułgar? — pytał znów zdziwiony nadzwyczaj.

— A cóż, Turek, czy co ma być według ciebie? — z politowaniem odpowiadali mu współmieszkańcy.

Ale dziad Joco nie zadowalał się tą odpowiedzią. Dopytywał się z ciekawością, jak odziany ten naczelnik, czy nosi szablę.

Objaśnili go.

— A więc i szablę nosi?

I wdychał z radości.

»Zobaczymy go skoro przyjedzie«, roiło się w jego starej, trzęsącej się głowie.

\* \* \*

Przyjechał naczelnik i zamieszkał u Denka.

Denkową chatę — jedyną w porównaniu z innymi porządną we wsi — przeznaczono na mieszkanie dla wysokiego gościa.

Idzie dziad Joco do Denka, stuka swoim kosturem w grodzone wrota i woła:

— Denko, czy tu gość?

Denko go widzi i chmurzy się.

— Tutaj. Jaki masz do niego interes? Naczelnik zmęczony, daj mu teraz spokój.

— Ale ot, powiedz mu, niech wyjdzie do mnie.

— Ach, jaki ty uparty! Na co tobie potrzebny naczelnik? — zapytał gospodarz.

— Ot tak... Powiedz mu: »dziad Joco, ślepy, chce cię zobaczyć!«

— Chcesz go zobaczyć? — zapytał Denko i uśmiechnął się gorzko, mruknąwszy do siebie: a jakże, zobaczysz go?

Ale staruszek nalegał. Trzęsa się jego stara głowa.

Gospodarz poszedł do naczelnika i powiedział mu, że dopytuje się o niego starzec ślepy i zdiecinniały.

— W jakim interesie? — pyta naczelnik.

— Przyszedł popatrzeć na ciebie.

— Popatrzeć na mnie? Mówiłeś przecie, że ślepy?

— A tak, ślepy już od pięciu, sześciu lat. Zamożny był kiedyś i rozumny — dodał Denko. — Ale, Bóg tak chciał, oślepił nie wiedzieć z czego... Teraz patrzy i nie widzi... Biedaczysko...

— Ciekawe! — rzekł naczelnik. — Niech wejdzie! Nie, czekaj, ja wyjdę do niego.

I wyszedł na ganek.

Dziad Joco poznał po chodzie, że to on, bułgarski basza i zdjął czapkę.

— Czego potrzebujesz staruszkę? — grzecznie zapytał naczelnik.

Dziad podniósł głowę, zwrócił ku niemu swoje martwe, nieruchome oczy. Muszkuły tylko jego wielkiej twarzy drgnęły nerwowo.

— Czy ty, synku, będziesz naszym starszym?

— Tak, ja, dziadku.

— Basza?

— On sam — rzekł, uśmiechając się naczelnik.

Dziad Joco podszedł do niego, wziął go za rękę, poszczypał sukienny rękaw mundura, dotknął się mosiężnych guzików, akselbantów i srebrnych epoletów, podniósł się potem i pocałował je.

— Boże, zobaczyłem! — zawołał uradowany starzec, przeżegnał się i obtarł rękawem łzy, wypełniające jego martwe oczy.

Potem pokłonił się nisko i powiedział:

— No, synku, przebacz, że cię trudziłem.

I postukując kosturem, oddalił się z odkrytą głową.

Raz znów inne zdarzenie wzburzyło dziada Joco.

Wrócił do domu żołnierz-kawalerzysta — jedyny żołnierz ze wsi.

— Jakże on wrócił? W żołnierskiej odzieży? — dopytywał się wzruszony staruszek.

— W żołnierskiej — odpowiadają mu.

— Z szablą?

— Ba, z jaką długą; usłyszysz, jak nią dzwoni.

Starzec pośpieszył do syna dziada Koli.

— Ej, ty, chłopcze, gdzie ty?

— Czego chcesz, Joco? — zapytuje Kola.

— Gdzie wasz janczar? Popatrzyłbym na niego!

Kola zawołał syna i uśmiecha się z zadowoleniem.

Wchodzi żołnierz.

Starzec domyśla się, że to on, po brzęku szabli, stukającej po kamiennej posadzce. Rzuca się ku niemu, ściska rękę żołnierza, maca gruby płaszcz, guziki, czapkę, bierze do ręki szablę i, całuje. I wpatruje się ciągle w żołnierza swoim martwym wzrokiem.

— Więc u nas jest teraz własne, bułgarskie wojsko? — pytał, trzęsąc się z radości.

— A jest, dziadku Joco: i wojsko, i kapitany, i ksiązę nasz — odpowiadał dumnie młody wojak.

— A nie przyjedzie on kiedy do nas?

— Kto? Ksiązę? — i żołnierz i jego ojciec śmieją się z naiwności dziada Joco.

A dziad Joco dopytuje się o pałac książęcy w Sofii, o bułgarskie armaty, o bułgarską musztrę, słowem, o wszystko... I kiedy słucał opowiadania żołnierza o wszystkich tych cudach, zdawało mu się, że w głębi jego duszy ukazał się taki tajemniczy, jasny, do słonecznego podobny blask, że widzi znów zielone góry z nagimi skałami, obsypanymi orłami i cały świat Boży, tak cudnie piękny.

— Ach, ot, kiedy przydałyby mi się oczy — z serca przemówił starzec.

\* \* \*

Długi czas dziad Joco żył temi nowemi wrażeniami, w zupełnej zresztą nieświadomości o tem, co się dzieje na świecie.

Zdawało się, że już nic nie wzruszy powoli zamierającej duszy starca, kiedy pewnego dnia gruchnęła wieść, że przez Iskorski wąwóz wkrótce poprowadzą kolej, i że inżynierowie zaczęli tam już mierzyć.

— Jakto? Bułgarska droga żelazna?

Joco nie chciał wierzyć. Droga żelazna? I to po tym wąwozie, po tych przepaściach, gdzie koniowi i konie nawet nie było się o co zaczepić?

— Wielkie państwo nie wzięło się do tego, a cóż dopiero my?

Wieść jednak utrzymywała się uporczywie, podniecając umysł starca.

Pewnego pięknego poranka dali mu znać, że budowa drogi w wąwozie już się rozpoczęła.

Zdziwił się starzec.

— Widać, znaleźli się mądrzejsi inżynierowie — świat wielki... Pewnie znowu francuscy inżynierowie?

Powiedzieli mu, że to nie francuscy, tylko bułgarscy inżynierowie.

Oszołomiony był starzec.

\* \* \*

Od tej pory ulubionem jego zajęciem było stać na skale, znajdującej się o pięćdziesiąt kroków od jego chatki, nad głębokim Iskorskim wąwozem.

Od rana do wieczora wsłuchiwał się tam w uderzanie łopat o ziemię, w skrzypienie kół — słowem, w cały ten szum i hałas, towarzyszące zazwyczaj tego rodzaju olbrzymim i gorączkowym robotom.

Droga nareszcie była gotowa i zaczęły kursować pociągi.

Dziad jakby odżył, jakby się odrodził.

Punktualnie zawsze wychodził na skałę w porze zbliżania się pociągu, żeby posłuchać jego szumu i świstu.

W jego myślach kolej była związana z pojęciem o wolnej Bułgarii.

Pasażerowie, przyglądający się przez okna wagonów malowniczym krzywiznom przesmyku, ze zdziwieniem dostrzegali człowieka, stojącego na przeciwległej skale i machającego im czapką. Był to dziad Joco, pozdrawiający w ten sposób nową Bułgarię.

\* \* \*



Pewnego wieczora dziad Joco nie wrócił do domu. Nazajutrz jego syn poszedł go szukać na skale, przypuszczając, że może upadł w przepaść.

Znalazł go jednak na wierzchu skały: dziad Joco umarł z czapką w rękę, postawszy ostatnie pozdrowienie wolnej Bułgarii.



## DWIE POCZWARY.

Humoreska.

Jarząbek faszerowany aromatycznymi truflami, winem wybornem zakropiony, wprawił w doskonały humor pana Lanrichy, który, siedząc na kanapie w pierwszorzędnej restauracyi w Paryżu, przeglądał się z upodobaniem w zwierciadle, bo ono nie przestawało mu mówić: »Bardzo dobrze dziś wyglądasz, nie przypuściłby nikt, że masz już lat pięćdziesiąt, oko ożywione, wesoły uśmiech, ruchy młodzieńcze; jesteś wymalowany, odświeżony sztucznymi środkami, ale przysięgam ci, że tego nie widać«.

Zelektryzowany temi pochlebstwami, Lanrichy nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek wina, płaci rachunek, wstaje rozpromieniony i wychodzi pomrukując: »Ona mi się podoba, odwiedźmy ją«.

Kto, ona?

Zaraz się dowiecie.

Wskoczył do powozu, lokaj zatrzaskał drzwiczki za nim i pański ekwipaż potoczył się szybko, dzięki przywilejowi, jakim cieszą się nienumerowane ekwipaże, przywilejowi, który pozwalałby panom rozbijać przecho-dniów, gdyby ci panowie nie mieli zdolnych woźniców...

Zamyślił się nasz znajomy. Jego wielkie, szeroko otwarte oczy, nie widziały nic, nawet sprawiających zawrót głowy świateł gazowych.

— Niegdyś de Foy — monologował pan Lanrichy — kojarzył świetne małżeństwa; dlaczegożby i mój agent nie miał mi wyszukać perły... Pięćdziesiąt lat, to prawda, ale ja młodszy jestem od dzisiejszej młodzieży, wyglądającej na sześćdziesiąt... Mam majątek... Ona również ma, tak przynajmniej mówi... Mieszka na bulwarze Hausmanna... to już jest dowodem... Wdowa, tak mówi... Nie wiedzieć od jak dawna?... Przyznaje się do trzydziestu ośmiu lat. Co robiła od szesnastu do trzydziestu ośmiu? Co za przepaść!... Nareszcie, może to jaka ofiara miłości... Miała już czas zrehabilitować się... podoba mi się... Widziałem ją wprawdzie tylko przy świetle lampy... A może ma pożółkłą skórę, brzydę się żółtej skóry... Założyłbym się, że zrobię głupstwo... Będę grał w otwarte karty, tem gorzej.

Powóz stanął przed jednym z domów na bulwarze Hausmanna. Dom ładny z wszelkimi wygodami: gaz, woda i telefony na wszystkich piętrach, winda... Rzucił niedopalone cygaro za trzy franki i zadzwonił. Pokojówka, bez zarzutu, wprowadziła go do eleganckiego, ale ciemnego, nie bardzo nadającego się do przedmałżeńskich badań salonu.

Po chwilowem oczekiwaniu ukazała się pani domu z lornetką w ręku. Była to wysoka, chuda brunetka, wieku nieokreślonego, uśmiechnięta i równocześnie surowa, podobnie jak guwernantka, obawiająca się podejścia.

Czy mamy stenografować tysiączne fortele, podstępne pytania jednej i drugiej strony, pozostawiane przeważnie bez odpowiedzi, domyślники, dwuznaczne słowa? Nie.

W najpracowitszej fazie dyalog został przerwany ukazaniem się w salonie gibkiego, jak trzcina, a tak

słusznego, że głową prawie dotykał sufitu, młodego blondyna, który w milczeniu przeszedł przez salon.

— Mój syn — rzekła pani domu.

— Ładny chłopiec — powiedział pan Lanrichy — i dyskretny.

Pokojówka podała herbatę, która, rozgrzewając żołądki, podniecała rozmowę. Lanrichy zaczął się domyślać żółtej skóry i kłął w duchu.

— Dajmy spokój komplementom, łaskawa pani — rzekł — grajmy w otwarte karty.

— Najchętniej — odpowiedziała dama — to będzie lepiej.

— Ile pani ma czystego dochodu?

— Czystego, czystego... mam...

— Przepraszam, włosy się pani poburzyły.

— Co takiego? Proszę mówić głośniej, słuch mam cokolwiek przytępiony.

Dama podniosła prędko rękę do włosów, ale nie-szczęсна bransoleta zaczęła się o nie i sprawiła, że cała fryzura znalazła się na ziemi.

— Karty na stół — zawołał Lanrichy — zdejmując z głowy własną perukę i kładąc ją na stoliczku.

— Pan jest szlachetny.

— Czyż umowa, którą mamy zawrzeć nie wymaga tego?

Nadrabiając miną, odmieniał w myśli: ona mi jest nadzwyczaj wstrętną, ja jej jestem również wstrętny, jesteśmy sobie wzajemnie wstrętni.

Wtem, zbudził się młody kot, który spał dotychczas, i zaczął drapać po nodze od fotela. Dama schyliła się, ażeby go odpędzić i równocześnie słyhać było, jak jakiś lekki przedmiot upadł na posadzkę. Nieszczęsnej wypadło szklane oko.

— Karty na stół! — zawołał znowu wesoło Lanrichy — oko za oko!

I zręcznym ruchem wy dobył z oczodołu takie samo oko, które podobnie jak tamto, potoczyło się po posadzce ku wielkiej ucieście kota. Dama nie mogła się powstrzymać od szalonego wybuchu śmiechu, wśród czego wyskoczyła jej z ust szczęka.

— Tym razem — zawołał Lanrichy, coraz więcej rozbawiony — ząb za ząb!

I wyrwał sobie z ust dwa połyskujące rzędy zębów, kładąc je znów z komiczną przesadą na stoliku.

Kot zaczął się bawić w tej chwili z dwoma półkulami, zapomnianymi nieroztropnie na kanapie. Były to fałszywe wdzięki.

— Jestem pokonany — rzekł Lanrichy — nie mogę już dostarczyć rymu.

Po tych decydujących doświadczeniach, dwie poczwy spojrzały po sobie, odczuwając nagle wzajemną odrazę. Gość rzucił się na swoje skarby, schował je prędko do kieszeni, ukłonił się możliwie najuprzejmiej i zniknął.

Dama, oszołomiona tą niezwykłą sceną, zbierała swoje sztuczne dodatki i naraz wydała okrzyk:

— Zamienił mi szczękę!!

Pobiegła do drzwi, ale już było za późno. Powóz był daleko, a Lanrichy, skulony w kącie, monologował znów:

— Co za szkoda, byliśmy stworzeni, aby się rozumieć.



REMY SAINT MAURICE.

## D E Z E R T E R.

Pierwszego listopada 1870 roku, w dzień Wszystkich Świętych, kiedy Benjamin Gager, syn gajowego, przybył do Torcé, zobaczył tłumne zgromadzenie przed kościołem. Ludzie krzyczeli, jak na jarmarku. Nauczyciel Lapoutoire, siedząc okrakiem na drabinie wozu, potrząsał trzymaną w rękę gazetą i wzywał do spokoju. Benjamin Gager podbiegł do tłumu.

Czegoż się dowiedział?... Każdy dzień, od trzech miesięcy przynosił wieści o klęsce. Lapoutoire rozłożył gazetę.

— Pozwólcie mi przeczytać!... — odezwał się donośniejszy głos z tłumu.

Nauczyciel zaczął czytać proklamacyę Obrony Narodowej:

»Francuzi, wznieście wasze serca i męstwo do wyżyny strasznego niebezpieczeństwa, zagrażającego ojczyźnie. Od was jeszcze zależy odwrócić nieszczęście i pokazać światu, czym jest wielki naród, który nie chce upaść i którego odwaga sięga do samego łona katastrofy«...

— Tak! tak!... zapłaci się odwetem Prusakom! — krzyczał kowal, Tomasz Lenain.

Geometra Bridonneau, dobry mowca, złożywszy ręce w trąbkę przy ustach, wołał: »Rozpoczniemy znów od Valmy nad Ligerą«...

Benjamin słuchał, blady nadzwyczaj. Arkusz druku drgał w palcach nauczyciela, który czytał dalej:

»Metz kapitulował... marszałek Bazaine zdradził«...

Wszczął się groźny pomruk z przekleństwami: »Bazaine!... Ah! narzędzie diabła!«... Bridonneau krzyczał jeszcze: »Rzeczpospolita nas pomści za nikczemność cesarską!«...

Syn gajowego zaciskał pięści. Lapoutoire kończył czytanie:

»Jesteśmy gotowi do największych poświęceń i nieprzyjacielowi, któremu wszystko sprzyja, przysięgamy, nigdy się nie poddać. Dopóki jedna piędź ziemi świętej zostanie pod naszymi stopami, będziemy silnie dźierać sztandar Rewolucji francuskiej«.

Geometra zaintonował *Marsyliankę*. Powstał ogłuszający wszask, wołania. Najmłodszy podrzucali w górę swoje czapki.

— Kto się ze mną zaciąga do wojska? — zapytał szewc Aubertot, przygodny werbownik. — Otoczono go w jednej chwili. Za przykładem Aubertota, ojca trojga dzieci, poszedł Tomasz Lenain, ożeniony przed dwoma dniami i Bridonneau, pomimo, że skończył już czterdzieści lat. Benjamin Gager zgłosił się jeden z pierwszych. Proklamacya go upoiła. Powtarzał ciągle, zachęcając rówieśników: »To za ojczyznę! Za Francję!«...

Na Świętego Michała skończył dopiero siedmnaście lat. Ale serce dopełniało lata. Jego ojciec, dziś gajowy w Chesnay u pana de Berland, był weteranem alger-skim. Trzeba było słyszeć starego sierżanta od żuawów, Gagera, przypominającego sobie wieczorami bohaterskie czyny swego pułku, rozprawiającego o Bugeaudzie, Bosquecie, La Moricierze. W szkole afrykańskiego żołnierza, Benjamin wczesnie przejął się czcią dla sztandaru, wzorowem spełnianiem obowiązków wojskowych. Był doskonałym strzelcem — jego dubla do stadka kuropatw była zawsze niezawodną — i dzielnym — nie nastraszył się nigdy przelatującego w mgłę nad jego głową śrutu kłusowników. Ciężaru torby nie lękał się wcale. Poznał

się z większymi ciężarami, pomagając dzierżawcom w dźwiganiu worków ze zbożem. Gajowy z Chesnay nie potrzebował się rumienić za swego syna. Ze swymi rówieśnikami, takimi jak on zuchami, Benjamin Gager wypędziłby najeźdźców.

Ochotnicy nazaczyli sobie schadzkę o zachodzie słońca w Montfort, skąd miano się udać do Le Mans. Benjamin, po mszy świętej, pobiegł do folwarku Aizellesów, gdzie służyła jego narzeczona, Marya Lényer. Pocałował Maryę przez parkan, otaczający zabudowania jej chlebobawców, wrócił potem do Chesnay i powiedział ojcu o swoim postanowieniu.

— Idź, mój chłopcze! — odpowiedział stary sierżant żuawów. — Niech cię Bóg błogosławi! Gdybym był młodszym, poszedłbym z tobą! Idź za dwóch!... Pamiętaj, że kula taksamo cię może przypadkiem sprzątnąć w rowie, jak na środku drogi.

Matka mężnie zniosła rozstanie.

— Niech cię Bóg strzeże! — powiedziała tylko na pożegnanie swemu synowi.

\*

\*

Armia organizowała się w Mans. Wieści stawały się mniej niepomyślnymi. Bourbaki wygrywał bitwy na Wschodzie; d'Aurette de Paladines, zwycięzca w Coulmiers, odzyskał Orleans.

Po trzech tygodniach dorywczej instrukcyi, przydzielono Benjaminu Gagera do 102 pułku piechoty. Przypadek zrzucił, że kapitanem jego był pan de Fatines, doskonały strzelec, który co roku w listopadzie polował u pana de Berland w Chesnay i znał syna gajowego.

Dowódca pułku wystąpił z armii afrykańskiej ze stopniem komendanta batalionu żuawów.

— Mamy w pułku syna jednego z dawnych żuawów pana — powiedział Fatines pułkownikowi Fer-

reiza. — Ojciec jego nazywa się Ambroży Gager i wystąpił z wojska jako dekorowany sierżant.

— Ambroży Gager, tak jest... przypominam sobie... — rzekł pułkownik. — Nie miał sobie równego w prowadzeniu ludzi na bagnety.

-- Syn pójdzie w ślady ojca — dodał de Fati-nes. — Widać zapał w jego oczach.

Kapelan pułkowy był nauczycielem w Bonnétable, u siostrzeńca barona de Berland. Poznał też zaraz Benjamina.

— Ach! Benjamin Gager!... Co za spotkanie!... To ty służyłeś mi do mszy w Torcé w grudniu przeszłego roku, a z ojcem twoim nastawiałem w nocy żelaza na lisy! Będiesz dawał dobry przykład swoją religijnością wszystkim tym poganom z Mans i Laval.

Pułk 102 piechoty został uformowany z Sartejczyków i Mayencyków. Czuli się wszyscy między sobą ludźmi z jednego gruntu, jednego języka, prawie jak w rodzinie. Ten oddział, zaledwie wyćwiczony, przedstawiał jednorodność pochodzenia i charakteru, spójność moralną, co tworzy dzielne masy. Oficerów ożywiały jak najlepsze nadzieje. Bohaterskie marzenia wszystkich zagrzewały serca.

Dnia 26-go listopada skierowano pułk na Orleans. Zwycięstwa pod Coulmiers rozszerzały horyzont. Nowa armia pójdzie na Paryż, złamie otaczający go pierścień. Walna bitwa między Ligerą a Sekwaną oswobodzi stolicę, uratuje Francję.

Benjamin nie brał jeszcze udziału w żadnej potyczce, a już, myśląc o Maryi Lényer i ojcu Gager, w swoich marzeniach obozowych, widzi marsz tryumfalny 102 pułku przez stolicę, o której, zwiedzający wystawę 1867 roku, opowiadali mu cuda niedawno. Wszędzie sztandary, wieńce, festony. Na balkonach, wzdłuż ulic udekorowanych, piękne damy wznoszą okrzyki na cześć



oswobodzicieli. Benjamin Gager, postępuje bojowym krokiem na skrzydle swojej kompanii. Od Orleanu począwszy, w każdej bitwie jakimś dzielnym czynem zdobywał nowy galon. I oto jest sierżantem. Piękne panie z jednego do drugiego balkonu dają sobie znaki i prowadzą ożywione rozmowy. I Benjamin je słyszy:

— Kto to jest, hrabino, ten młodziutki sierżant, co tak ładnie nasunął kepi na ucho?

— Ach! markizo, zdaje mi się, że to Gager, syn gajowego pana Berland... narzeczony małej Maryi Lényer. No, no... zaledwie to wykłuło się z jaja i już jest sierżantem...

I ręce klaszczą, powiewają chustki a na masztach szeleszczą wesoło sztandary.

\* \* \*

Loigny!... Drugiego grudnia!... De Fatines, powiedział rano swojej kompanii: — Dziś rocznica Austerlitz!

Pułk 102 piechoty trzymany jest w rezerwie o trzy kilometry z tyłu za linią bojową. Armaty huczą bez przerwy. Benjamin czuje pod sobą drganie ziemi, wstrząsanej tym huraganem ognia i żelaza. Niektórzy w szeregach błędną, ale starają się piosnką stłumić wzruszenie. Benjamin milczy. Niecierpliwość rumieni mu policzki.

— Dziś rocznica Austerlitz! — powtarza od czasu do czasu de Fatines.

Zdaje się, że od strony Patay, rozprawa jest straszna. Granaty pękają na wzgórzach dokoła 102 pułku. Wozy ambulansowe przejeżdżają tam i nazad galopem.

Na zegarku kapitana de Fatines jest druga godzina trzydzieści pięć minut. Nadbiega sztafeta z poleceniem do pułkownika... Rozkazy krążą w kompaniach... Nareszcie!... Kompania kapitana de Fatines, z bagnetami na lufach maszeruje szybko ku wschodowi.

Nagła zmiana terenu odkrywa część pola walki. Morze dymu zatapia zarysy krajobrazu. Tu i ówdzie gęściejsze kłęby, skąd błysk tryska... Ciemne masy poruszają się w tem piekle. Co krok następuje się na trupa lub konającego.

Na rozkaz kapitana, kompania uformowała się do ataku w kolumnę. Zbliżono się na odległość strzału karabinowego i kule dosięgały już wielu ludzi. De Fatines wskazuje swoją szablą pochyłość, zarośniętą jałowcami, za którymi ukrywa się oddział Bawarczyków. Strzały, pochodzące stamtąd, są mordercze.

— Naprzód, biegiem!...

Ludzie podniecają się wzajemnie dzikimi krzykami. Benjamin Gager wyprzedza na prawem skrzydle całą kolumnę. Tornistru nie czuje na swoich plecach, karabin z bagnetem wydaje mu się w ręku lekkim, jak nóż myśliwski. Jego nogi podskakują, nie ślizgając się na błotnistych bruzdach...

Rrrran!... Rrrran!...

Na trzydzieści metrów od celu, nowa salwa karabinowa czyni spustoszenie w kolumnie, która chwieje się, waha. Przeszło sześćdziesiąt ludzi padło. De Fatines, ranny w rękę, wskazuje ciągle kierunek swoją szablą, wzywa pozostałych przy życiu:

— Do licha! Sarthejczycy... Nie cofać się!...

Wahający się widzieli Benjamina Gager, który, biegnąc bez wytchnienia elastycznym i miarowym krokiem, dotarł już do pochyłości. Przykład ich elektryzuje. Wszyscy razem rzucają się rozpaczliwie. Bawarczy, pod osłoną jałowców, jeszcze strzelają, jeszcze się bronią, ale już jest zapóźno!... Benjamin Gager zatapia swój bagnet w ciele olbrzymiego, rudobrodego podporucznika, którego kula go chybiła. Nieprzyjaciel czuje się zgubionym i poddaje się. — Zwycięstwo! Benjamin oddycha pełną piersią. Jego nozdrza rozszerzają

się na woń prochu i krwi. Spostrzega Tomasza Lenain z roztrzaskaną szczęką, z wywróconemi oczami. Kapelan, ksiądz Franguel, sam również ranny w rękę, udziela prędko rozgrzeszenia kowalowi i śpieszy do innych konających.

Co znaczy ten głos trąbki w dali?... De Fatines słucha i zagryza wargi... Marszczy czoło. Odwrót!... Trąbią na odwrót!...

Zwycięzcy tutaj, nie mieli Francuzi szczęścia na całej linii bojowej. Żołnierze wpatrują się w twarze swoich oficerów... Niema wątpliwości... Trzeba będzie opuścić zdobytą pozycję.

Benjamin Gager obciera dwie duże łzy, które spływały mimo jego woli.

Maszerując z powrotem przez to samo błotniste pole, tak rzeźko przebyte przed chwilą, czuje, że gniecie go w plecy tornister. Ledwo wlecze nogi za sobą. Zdaje mu się, że dźwiga pod podeszwami wszystkich ołów, który dosięgnął jego towarzyszków z Torcé.

\* \* \*

Beaugency!... Ósmego grudnia!... Niemcy po raz drugi zajmują Orleans. Armia nadligerska cofa się ciągle! Zimno. Oh! jak strasznie zimno!...

Aryergardy przejęły rolę awangard. One to wstrzymują posuwanie się naprzód najeźdźców. Pułk 102 piechoty cofa się również taksamo, jak inne, ale na najdalszych tyłach.

Za swoje męstwo w Loigny, Benjamin Gager został mianowany kapralem. Napisał o tem ojcu. Ojciec Gager dał mu listownie taką samą odpowiedź, jak przy pożegnaniu: »Nie słabnij... Walcz za dwóch«... I szedł, szedł bez szemrania, pomimo tortur, jakie mu sprawiały skurczone z wody i mrozu trzewiki. Tornister jest cięższy, bo pakuje się w niego skórę barania do zawijania

się w nocy. Niech tam! Ojciec mówi: »Walcz za dwóch!« Nie wolno się cofać. W tornistrze nosi Benjamin patyk z leszczyny, na którym, jak piekarze po każdym dostarczonem chlebie, robi kreski po każdym trafionym przez siebie, według jego mniemania, Prusaku. A Benjamin Gager strzela doskonale. Gdyby wszyscy ochotnicy armii nadligerskiej posiadali ten dar strzelania, możnaby, bawiąc się, przebyć drogę z Paryża do Berlina.

— Jednakże, cofać się tak od rana do wieczora, od wieczora do rana, czy to jest zadaniem żołnierza? — monologuje niekiedy Benjamin.

Wodzowie mają niezawodnie swoje racye... Kaptan de Fatines tłumaczy swoim ludziom, że ten odwrót ułatwia przygotowania dalej, w głębi kraju do wielkiego zwycięstwa, które uratuje wszystko. De Fatines z pewnością nie kłamie.

Szwadron karabinierów gwardyi — kawalerzystów sześć stóp wysokich — połączył się z armią. W swoich wielkich czerwonych płaszczach, przypominają oni stare pułki cesarskie, zwycięskie pod Solferino i Almą. Są to żołnierze otrzaskani z wojną. Jednak, zdają się unikać bitwy. Przyłączyli się do odwrotu. Czy rezerwują siły swoje na przyszłość?... Czy sądzą, że wszelkie wysiłki są już zbyteczne?...

Opuszczając Beaugency z aryergardą pod strzałami, Benjamin Gager zobaczył w rowie trupa. Był to Łukasz Aubertot, szewc. Z rozprutym przez kartacz brzuchem, zmarły przytrzymał żółtemi, jak wosk, rękami wymykające się wnętrzności.

Chcąc pomścić Aubertota, Benjamin silił się tego dnia, by strzały jego były jeszcze celniejsze niż zwykle, i na wieczór zaznaczył czterdziestą siódmą kreskę na swoim patyku kontrolnym.

Montoire!... Ewakuowano po kolei Beaugeancy, Marchenoir, Vendôme. Za każdym razem staczano bi-

twę. Ale nic, niestety! z tego wszystkiego nie przypominało Loigny; Loigny, gdzie tak mało brakowało do zupełnego zwycięstwa.

Mróz... Śnieg... To już nie jest armia w odwrocie, to już ścisk upiorów, uciekających przed piętrzącymi się na ich drodze przeszkodami.

»Bądź zawziętym, walcz za dwóch!« — powtarza w swoich listach ojciec Gager. — I Benjamin jest zawziętym; nie daje się ciągle za dwóch... Wszystko ma jednak swój koniec?... I jakież będzie rezultat jego »zawziętości«... Czyż wodzowie mają istotnie jaką myśl?... Czuje się zupełnie wyczerpanym... Jego nogi są jedną raną... Rzemienie od tornistra pokaleczyły mu ramiona... Ze wszystkich mięśni, podniecanych dotąd siłą woli, jakby miała krew lada chwila wytrysnąć.

Zima i zniechęcenie robią więcej ofiar, niż kula.

Dokądże tak będą szli?... Oh! straszna wojna!... Uroczyste słowa proklamacyi, czy nie były tylko zbrodniczem łudzeniem?...

Jednakże, jednej nocy, Benjamin Gager pojmał ze swoim oddziałem pod Laverdin patrol meklemburski. Za ten czyn waleczny, kapral Gager posunięty został do rangi sierżanta i pułkownik Ferreiza powiedział mu wobec plutonu:

— Jesteś takim dzielnym żołnierzem, jakim był twój ojciec.

\* \* \*

Styczeń!... Pułk 102 piechoty rozłożył się obozem z brygadą pod Parigné- l'Évêque. Ci, co marzyli o odsieczy Paryża, będą się musieli zadowolnić kryciem i obroną Mans.

Walka toczy się na terenie górzystym, o dwadzieścia kilometrów od Toné. Okolica przypomina tę, gdzie wzrósł i spędził młode lata syn gajowego. Obfity śnieg

tylko nadaje jej więcej tajemniczy, więcej dziki charakter, niż ubiegłej zimy.

Sierżant Gager obejmuje pewnego wieczora komendę ważnego posterunku. »Los brygady zależy od ciebie«, mówi mu kapitan Fatines, obierając miejsce na posterunek. »Nie spuszczaaj z oka ścieżek, nieprzyjaciel może się pokusić wtargnąć przez te wzgórza«.

— Dobrze kapitanie! — odpowiedział spokojnie sierżant Gager.

Ażebym ukryć posterunek na kraju lasu, żołnierze rozpięli swój namiot w krzakach, uginających się pod grubą warstwą śniegu.

Prawie wszyscy pochodzą z południa i są niewytrzymali na zimno.

Sierżant wybrał na wartę dwóch Avignonczyków, dzwoniących z zimna zębami. Ustawia ich o pięćdziesiąt metrów z przodu na zagłębionej drodze, oddzielonej od lasu rozległą łąką, pokrytą teraz iskrzącym się śniegiem.

Wróciwszy na posterunek, Benjamin zastaje innych, wypełniających swoje kubki wódką. Po ostatnim łyku tulą się ramię koło ramienia, pod ochroną z gałęzi, na pół już pijani.

Przed namiotem tli się głównia pod popiołem. Sierżant Gager usiadł koło tego ogniska. Rozzuwa się, stęskając z bólu. Oh! Jakież straszne tortury sprawiają mu pokaleczone, odmrożone nogi! Zrzuca z siebie tornister i płacze!...

Noc jasna. Księżyc świeci na czystym niebie bez gwiazd. Na śniegu przesuwają się cienie wiązów, obnażonych z liści, tu i ówdzie błyszczą się drobniutkie kryształki. Żadnego odgłosu, prócz słabnącego pod namiotem chrapania.

Benjamin Gager położył swoje stopy na dymiącym popiele; nie czuje wcale poparzenia. Myśli o matce i ojcu!... Za czasów ojca Gager, było dobrze wojować...

bo nie walczono przynajmniej o odwrót. Myśli o Maryi Lényer, która spi w tej chwili za swoją kotarą. Pięć tygodni już nie pisał do Maryi... I poco miał pisać?... Czy zobaczy jeszcze kiedy Maryę I.ényer?

Od północy ludzie przestali chrapać. Benjamin Gager płacze. Łzy zamarzają mu na policzkach. Na wskrós zziębnięty, wkrótce będzie już tylko sztywnym kłosem, bez życia. Pomimo to wdziewa znów trzewiki. Czas zmienić wartę.

Zdawało mu się, że widzi poruszające się na drodze postacie... Coś, jakby cienie czyjeś krzyżowały się i goniły po śniegu.

— Ćmi ci się w oczach, sierżancie Gager...

Pochyla się nad jednym ze spiących, trąca go w ramię...

— Suberbielle!... Suberbielle!...

Suberbielle nie odpowiada.

— Trzeba zluzować wartę... Coursegoules...

Coursegoules nie odpowiada.

Zapala zapalkę, wpatruje się w twarze, podnosi zeszywniałe ramiona. Żołnierze zamarzli... nie żyją. Dławi go w gardle z przerażenia, szczęki się zacinają. O jednym jednak pamięta.

— Moje warty!... Co się dzieje z mojami wartami?...

Potykać się z zawrotu głowy, spuszcza się ścieżynką po stwardniałym śniegu do zagłębionej drogi... Spokój... Cisza... Może śmierć jeszcze!...

U stóp sosny dwa tornistry, dwa karabiny... Gdzie są ludzie? Widać ślady stóp ludzkich na śniegu w kierunku wzgórza. Warty zdezerterowały...

Rażący blask go oslepia!... Jakiś głos krzyczy mu do ucha:

— Uciekaj!...

Kto krzycał?... Słucha i dolatuje go odgłos dalekiego trzeszczenia lodu pod nogami, podczas gdy doo-

koła niego, na białej ziemi, cienie topól i jasionów wydłużają się, wydłużają i poruszają się bez wiatru.

— Uciekaj!... — powtarza głos wewnętrzny, głos trwogi.

Rzuca karabin... Biegnie!... Biegnie i krew w nim ożywia się... Biegnie i nie czuje już bólu nóg... Dokąd dąży?...

— Kto idzie?... Stój!

Na rozkaz, stanął w wojskowej postawie. Dwie ręce chwytają go brutalnie za barki. Komendant patrolu szuka przy świetle księżycy numeru na kołnierzu, potem mruczy:

— I to sierżant 102 pułku ucieka z posterunku.

\* \* \*

— Nie masz nic na swoją obronę? — pyta przewodniczący sądu wojennego, po wniosku prokuratora i paru słowach obrońcy.

— Nic, komendancie!...

Sędziowie siedzą za prostym stołem, oświetlonym świecami, zatkanemi w szyjki butelek. Co nocy, przed wschodem słońca, zbierają się tak dla załatwienia spraw w krótkiej bardzo drodze. Nieublagany kodeks dyktuje im wyroki. Tym razem jednak wahają się. Dwaj zakańczurzeni oficerowie, stojąc w rogu izby, przysłuchiwali się rozprawie. Kapitan de Fatines wracał przypadkiem z rontu po północy, kiedy patrol prowadził sierżanta Gagera. Po pierwszej chwili zdumienia i przerażenia, poszedł do pułkownika Ferreizy. Jeden i drugi zapewne szepnęli jakieś słówko sędziom. Przewodniczący kazał jeszcze przyprowadzić oskarżonego. Chce postawić jeszcze jedno pytanie. Głos jego staje się łagodnym:

— Sierżancie Gager, przeszłość twoja jest bez zarzutu. W dwóch rozkazach dziennych zostałeś odznaczonym. O twojej hańbie wszyscy się dowiedzą. Słuchaj,



zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Czy zobaczywszy swoich ludzi zamarzniętych, warty uciekające, nie miałeś zamiaru zażądać pomocy z obozu? Można przecież zbłądzić w nocy, kiedy wszystko śniegiem pokryte... Straciłeś głowę... Biegłeś bez pamięci...

— Nie, komendancie, wcale nie biegłem do obozu...

— Sierżancie Gager, twój ojciec odbył kampanię w Afryce, dzielny starzec... Kochasz bardzo twego ojca... Kiedy się czuwa w samotności, przychodzą czasem dziwne myśli. Czy nie przywidziało ci się, że ojciec, matka są chorzy, wzywają cię? Chciałeś zobaczyć ojca... Byłbyś za dwa dni wrócił.

— Nie komendancie, nie biegłem do domu.

Sprawa nie mogła być dłużej przewlekana.

— Rozmyślnie porzuciłeś posterunek?

— Tak, komendancie, biegłem z myślą o ucieczce.

— Dobrze... Adjutantcie, każ wyprowadzić oskarżonego.

Sędziowie naradzali się pocichu. Przyznanie się do winy było zupełne; oskarżony przyznał się, więc sam na siebie wydał wyrok.

Świt. Benjamin Gager zgarbiony, zdyszany, w mundurze pozbawionym galonów, maszeruje, potykając się, z plutonem egzekucyjnym. Prowadzą go za wieś, ku wysokiemu murowi bez okien.

Śmierć nie przeraża go dziś więcej, niż wczoraj... Przeciwnie, będzie dla niego zbawieniem... Wszystko mu jedno, czy umrze od kuli kolegów, czy nieprzyjacielskiej... Jego postępek niema usprawiedliwienia, wie o tem, i ojciec Gager wyprze się jutro swego syna. Czy sędziowie zrozumieli, co chciał powiedzieć? Mniejsza o to, byle się skończyło! Taki jest zmęczony! To nie przemijające przywidzenie spowodowało jego ucieczkę... Innych, jeżeli ich choroba przybiera charakter gorączkowy, oddają do szpitala... A jego — rozstrzelają.

Jaka ta droga jest długa i kamienista!... Wije się krajem lasu. Widać zdaleka zarysowującą się we mgle czarną sylwetkę księdza. To Frangeni ze 102 pułku.

Oddział staje. Adjutant powierza księdzu tego, któremu ma udzielić ostatniej pociechy. Ludzie odwracają głowy. — Benjamin Gager klęka i spowiada się pobożnie. Ksiądz rozpina swój szeroki płaszcz, rozpościera jego poły, jakby zasłonę między ofiarą a jej katami.

— Uciekaj!... — szepce skazańcowi.

Były sierżant drgnął... Podnosi na księdza błędne oczy. Czy zaczyna się znów zmora nocna?

— Uciekaj, mówię ci! — powtarza kapelan stłumionym głosem.

Benjamin potrząsa głową przecząco.

Ksiądz zdaje się chcieć wzrokiem pchnąć go do lasu.

— Rozkaz dowódców... — Znajdziesz tam w krzakach bluzę i spodnie.

Jeden skok wystarczał... Oddział nawet zdaje się być w porozumieniu z kapelanem. Syn gajowego klęczy nieruchomo. Namyśla się, wreszcie pyta:

— To prawda, księżo kapelanie, że jest dobry Bóg, że jest drugie życie, gdzie spotkam się znów z moimi starymi, z Maryą Lényer?...

— Czyż nosiłbym tę suknię, moje dziecko, gdybym nie wierzył w tego dobrego Boga i w to drugie życie?...

— Ha! wolę już w takim razie pójść zaraz do tego dobrego Boga... Zanadto mnie nogi bołą.

— Czy już?... — pyta adjutant...

Zbliżył się oddział... Kapelan pada na kolana...

— Boże, Panie armii! przyjmij to dziecko.

.....  
Rrrran!!!..  
.....



RENÉ MAIZEROT.

## ROZGRZESZENIE.

Był to jeden z tych poranków przeźroczyściego światła, zaledwie dostrzegalnego drgania liści, lekkiego, balsamiczną wonią przepelnionego powietrza, kiedy to natura was pociąga, porywa jak kobieta, która w swoim spojrzeniu, w swoich ruchach ma coś boskiego.

... Płynęliśmy w górę rzeki Odet, której spokojna woda z odblaskiem dalekiego szmaragdu, przywodziła mimowoli na myśl ową tajemniczą Letę, gdzie dusze piły wieczne zapomnienie...

... Barka mknęła z rozpostartymi, wydętymi jak skrzydła łabędzie żaglami, to między uregulowanymi brzegami, krajami wielkopańskich parków, które ożywia spłoszone nagle stadko sarn, wzlot hałaśliwych kulików, zaciszniemi, rozkoszniemi ustroniami, cienistemi alejami, gdzie kręcą się w kółko, jakby niezliczone, złociste motyle, to między wyłaniającemi się z pośród drzew urwistemi lub groźnie sterczącemi skałami, sprawiającemi groźne wrażenie zwierza, czyhającego na zdobycz...

... I naraz wpłynęła na olbrzymią, mieniającą się jak mora, modrawą konchę, którą srebrzyły, dotykając zlekka, tysiące morskich ptaków...

... Ich wrzask przeraźliwy, ostry, wypełniał bezgraniczne niebo, mieszał się z odgłosem dzwonów, tam w katedrze, w kościołach Quimpern, zapowiadał radośnie święto Przenajświętszej Panny, wielki odpust 15 go sierpnia, przedłużał się w nieskończone echo, unosił się jak błogosławieństwo nad łąkami, lasami, polami pokrytymi białą jak śnieg hreczką, jak miedź czerwona-wem zbożem...

... I kiedy wkońcu znaleźliśmy się na pewnego rodzaju kanale, gdzie na kotwicach spoczywały ciężkie statki z rozwiniętymi flagami, Le Guildec pokazał nam niski, słomą pokryty domek pośród róż i gwoździków, prawdziwy ogródek proboszcza, roztaczający upajającą woń dokoła, który chciało się zerwać za jednym zamachem, a na ławce z kulami obok niego, skulonego we dwoje, nieruchomego, z łokciami na kolanach, z twarzą w dłoniach, zadumanego człowieka..

... Burzliwą przeszłość odgadywało się z tej twarzy zniszczonej, ponurej, pokiereszowanej głębokimi bliznami z odniesionych ran, z zapadniętymi policzkami, pokrytymi w połowie siwą brodą, z zagłęzionymi, bezbarwnymi w jeden punkt utkwionymi oczami...

... Miał chłopskie saboty, połatany i zatłuszczony surdut, jeden z tych kaftanów w śmieszne arabeski, noszonych w Pont-Iabbe, a na piersiach, w miejscu gdzie bije serce, szeroką wstążkę od wojskowego orderu.

... Barka musnęła go swoim cieniem... Nie podniósł nawet głowy...

— Widzieliście tego samotnika — odezwał się nasz gospodarz przyciszonym głosem, jakby mówił u łoża konna — tego zboląłego rozbitka, którego nic nie jest w stanie wyrwać z jego odrętwienia.. Nazywa się, a raczej nazywał się, bo zdaje mi się, że zmienił nazwisko, margrabia Yves de Kernuz... Wychowywałem się razem z nim u Ojców w Vannes...

W całym kolegium nie było ucznia niewinniejszego, pobożniejszego, a zarazem gwałtowniejszego od tego chłopca, zbudowanego jak wół, który na jarmarkach mógł być stanąć do walki z każdym zapaśnikiem, a którego poczciwa twarz obsypana piegami, upstrzona plamami, jak nasza stara bretońska porcelana, budziła w was odrazu zaufanie, którego oczy patrzyły na was prosto, sprawiały złudzenie dwóch kwiatów lnu w sło-

necznych promieniach... Nie rozstawał się z czarną spodnicą swojej matki, jednej z tych dawnych czasów, wymagającej, surowej, prawą jedynie znającej drogę, obowiązek, przykazania boskie i kościelne... Margrabina mieszkała w dziwnie smutnym pałacu, wśród sosnowego lasu, na przylądku dominującym nad Oceanem jak przód okrętu... Feudalną tę siedzibę zrabowaną i spaloną podczas rewolucyi, odbudowano później w dawnym stylu i pani de Kernuz mówiła przy każdej sposobności: »Kazałam drzwi zrobić wielkie, ażeby wszystkie moje dzieci, gdyby im kiedyś przyszła fantazyja okazać mi nieposłuszeństwo albo zboczyć z prawej drogi, mogły wyjść naraz«... W dwudziestym roku życia, nie bez trudności — nauka go męczyła — dostał się do Saint-Cyr, i założyłbym się o moje życie przeciwko dwóm groszom, że wstąpił tam i wyszedł stamtąd równie niewinny jak młodzieniaszek przystępujący do pierwszej komunii... Służył potem nie wiem w którym pułku, i uległ — jak baran, który własną tylko zna owczarnię — zaręczył się z młodą, ale brzydką, bogatą i przejętą najlepszymi zasadami panną, wybraną mu przez jakiegoś biskupa i matkę, kiedy przypadkiem, na swoje nieszczęście spotkał w jakiejś kawiarni dziewczynę, która go zapoznała z rozkoszami życia i odwrotną stroną miłości... Posiadała czar upajający, właściwy nadmorskim dziewczętom... Mówiła z odcieniem przedziwnej słodyczy i pieszczotliwości w głosie, przechodząc z szyderczej wesołości do smutku wygnanki, tak, że zdawało się, że słyszysz szum rozbijających się o skały fal morskich, odgłos dzwonów, wzywających pobożnych, szelest żagli, te stare piosnki przy kołowrotku, te kuplety, co nęcą i obiecują, co mają jakby woń pragnienia i pocałunku i przywołują na pamięć noce gwiazdziste, kiedy to szukają się usta... Śpiewała w upiętej z wdziękiem na jasnych, jedwabistych włosach czapeczce, w szalu w fantastyczne fałdy

udrapowanym na ramionach... Była wysmukła i zwinna, z długą, białą występującą ponętnie ze stanika szyją, z ładną twarzą, której usta wydawały się muszlą cudowną... A jej oczy niebieskie były jak dwa lusterka, w których odbijał się delikatny i mieniący się błękit naszego nieba... Nie uciekał przed nią, nie oparł się jej ani na chwilę... Rzucił się w jej ramiona, do jej serca się tulił, jak do wrót rozkoszy... Ubóstwiał ją, zaślepiony, oszołomiony, jakby mu się nagle raj ukazał... I odgadujecie smutny koniec tej miłości... Szufłady i kieszenie wypróżnione, jak przez pijawkę wyssany przez kochankę, zadłużony po uszy, wyrzucony za drzwi, wydziedziczony przez matkę, która go traktowała jak potępieńca, zaczął grać i pewnego wieczora w przystępie rozpaczy, w chwili, kiedy stawiał na kartę resztkę mienia swego, dopuścił się bardzo niezręcznego oszustwa...

— Bretonka go musiała porzucić? — przerwał Ponteroiix.

— Bez namysłu — ciągnął dalej Le Guidec — tak, że biedaczysko znalazł się na bruku shańbiony, wydany z pułku bez możliwości powrotu, jak owca parszywa wypędzona ze stada... Nie wiem na co zeszedł i jakiej jął się pracy, ażeby na kawałek chleba zarobić, ale oto macie ostatni rozdział, a raczej przedostatni, bo margrabia wegetuje jeszcze i, nieczuły na wszystko co go otacza, rozmyśla nad swoim życiem złamanem... Jak tylu innych wykolejeńców, doprowadzony do ostateczności, Kernuz zaciągnął się do tej legii zagranicznej, gdzie was nie pytają ani o wasze pochodzenie, ani o wasze papiery i tam czekał, szukał śmierci, która od wszelkich bólów uwalnia, oczyszcza... Chociaż postarzał się o lat trzydzieści — miesiące nędzy i rozpaczy liczą się podwójnie jak kampania — dwaj koledzy jego z Saint-Cyr, którzy także służyli w legii, ale jako oficerowie, poznali go, nie zdradzali się z tem jednak, unikali go, traktowali jak

każdego innego żołnierza... Czyż w roczniku awansów, nie było obok nazwiska Kernuza dopisku: zaginął?... I te katusze wieczne, jakich doświadczał, będąc skazanym na nieuniknioną styczność z dawnymi kolegami, były dla niego tak straszne, tak nie do zniesienia, że kilka razy chciał zbiedz z szeregów... Jednakże nastęczyła się tak bardzo przez niego upragniona sposobność zakończenia wszystkiego... Batalion wyprawiony do południowej Oranii, musiał zaraz z początku odpierać przez siedm godzin szalony atak krajowców... Yves de Kernuz walczył jak rycerz legendowy do końca, okryty ranami, dopóki kula nie strzaskała mu nogi... W trzy miesiące później w obecności całego pułku pułkownik przypiął do płaszcza rannego, podtrzymywanego przez dwóch legionistów, order wojskowy, order marszałków Francyi i zwykłych szeregowców... I podczas gdy dźwięczały trąbki i warczały bębny, dwaj oficerowie, dawni koledzy Kernuza, wystąpili z szeregu, zbliżyli się do udekorowanego i wzruszeni, uścisnęli mu rękę...

... Domek zniknął za ścianą drzew, strzały powietrzne katedry zarysowywały się wyraźnie na horyzoncie, błyszcząły...

... Płakaliśmy...



EUGENIUSZ CZIRIKOW.


**B O D A K.**


(Bajka).

Nazywali go Bodakiem.

Przesiadywał samotnie na brzegu wesoło szemrzącego strumyka i wpatrywał się w zwierciadło przezroczystej, jak kryształ górski, zimnej, źródlanej wody. Widział tam kawałeczki błękitnego nieba, białe, puszyste i lekkie obłoczki, odbicie traw nadbrzeżnych i krzaków wierzbin; a nocą — patrzył ze smutkiem, jak w czarnej wodzie strumyka, wydającego się tajemniczą bezdnią, drgały gwiazdy — i niewysłowiona tęsknota budziła się gdzieś w głębi jego duszy... — Myślał wtedy o tem, że te złote gwiazdy będą równie jasno płonąć, kiedy go już nie stanie na świecie... — I w takie noce silniej odczuwał swoją samotność, a serce jego silniej pragnęło miłości i współczucia...

Był poetą, a głowę jego pokrywały bujne, rozczochrane poetycznie włosy... Nie chciał o tem wiedzieć, że minęły już czasy, kiedy nie strzygli się poeci, o tem, że teraz długie włosy nie są już przywilejem poezji, ale raczej polityki... pomimo, że wyszedł już z tych lat, kiedy go nazywano »młodym człowiekiem«. Jak prawdziwy poeta-artysta, pomimo że był już dojrzałym mężczyzną, gonił za urojoną marą, dawał się porywać złudnej fantazyi... Mak polny, Rumianek, Kurza ślepotą, Iwanowa Marya — wszystkie one kiedyś były przedmiotem zachwytyów bezinteresownego poety i natchnieniem jego drobnych, artystycznych płodów, które do dziś roznoszą po lesie dźwięczne głosy pta-



szków. Pewnego razu zakochał się nawet w Bożej kró-  
wce, ale ta wyśmiała jego uczucia i uleciała tak prędko,  
jak prędko i niespodziewanie przysiadła się do niego.  
Swego czasu wpłynęło to przygnębiająco na poetę,  
i napisał smutną elegię, którą śpiewa Wilga. Ale teraz  
pocieszył się już, powiedziawszy sobie: »Dosyć tych  
złudzeń! Pora młodości minęła!«

\* \* \*

Ranek był wspaniały. Słońce świeciło olśniewa-  
jąco jasno. Niebo było bezobłoczne, a powietrze prze-  
pełnione upajającą wonią kwiatów i zieleni. Cała przy-  
roda weseliła się i cieszyła. Każdy krzaczek i trawka,  
żuk i motyl, każdy ptaszek — wszystko śpieszyło się  
upajać radościami życia... Radowała się łąka aksami-  
tna, radował się połyskujący strumyk w słońcu, co wę-  
żykowato śpieszył do lasu. A las ciągnął się daleko  
i tonął w błękitnawej mgłę wiosennego poranku... Łzy  
szczęścia błyszcząły jak brylanty na każdym kwiatku  
i listku. Słońce swoimi gorącymi promieniami ocierało  
te łzy, unosząc je niespostrzeżenie w bezgraniczny świat  
eteru. Barwny motylek, trzepocąc skrzydełkami, zau-  
mierał na jednym miejscu, rozmyślając, gdzieby mu naj-  
lepiej przysiąść, aby tem snadniej oddać się rozkoszom  
życia. Pracowita pszczołka, brzęcząc, przelatowała śpie-  
sznie z krzaczka na krzaczek, jakby bojąc się utracić  
choćby chwilę jedną z prześlicznej, ale krótkotrwałej  
wiosny. A wysoko, wysoko, w błękitnym eterze prze-  
źroczystego nieba, kąpał się skowronek, wzniósł się tam,  
aby z wysokości spojrzeć na ucztę życia, i śpiewał teraz  
hymn na cześć krasawicy wiosny, i śpiewał także, jak  
wielkiem jest szczęście na ziemi i jak chce się żyć i ko-  
chać wszystkich...

Poeta w opisywany ranek odczuwał zbytek szczę-  
ścia i radości.

— Jakiś głupiec powiedział, że na ziemi niema szczęścia — czcze urojenie marzycieli!... A ja uwierzyłem... Co za kłamstwo!... Moje serce skacze ze szczęścia, ze szczęścia chcę płakać...

Była cisza dokoła. Tylko skowronek śpiewał swoją pieśń o miłości i szczęściu.

Poeta się wsłuchiwał.

— Tak, jest prawdziwe szczęście, wieczne, a nie przemijające... — myślał głośno poeta i rozejrzał się dokoła...

I naraz jego wzrok spotkał się z czarującymi Oczami Aniuty... Ach, jakie rozkoszne, cudne były te oczy! Śmiało ręcę, że każdy, kto ma głowę, mógł ją stracić na widok tych pereł piękności!... Błękitne, jak wiosenne niebo, taksamo przezroczyście, głębokie, nęcące. Kto zajrzał w te oczy, kto pokusił się przeniknąć ich tajniki, ten musiał uleść ich potędze. Gdyby nawet był tak mójny i tak silny duchem, jak silnym był ciałem kowal Wakuła, któremu samego djabła udało się osiodłać... Tak, te słodkie i niewinne oczy były potężne i despotyczne, i gdyby poeta był choć trochę zabobonnym, byłby się w nich bez wahania dopatrywał własności czarodziejskich... Trzeba było raz tylko spotkać się z temi oczami — czarodziejami — i traciliście już spokój, ciągnęło was do nich, szukaliście ich, patrzyły na was w zmierzchu gwiazdzistej, wiosennej nocy, nie dawały wam spać, nękały waszą duszę, wzbudzając to nieskończenie przyjemne, a zarazem męczące uczucie, jakiego doświadczacie, słuchając w cudną, wiosenną, księżycową noc boskich melodyj szopenowskich nokturnów, albo tych dziwnie pięknych akordów Schuberta; cała różnica w tem, że w pierwszym wypadku cudowna muzyka czarodziejskich oczu dźwięczała wprost w waszem sercu, przenikając tam bez pośrednictwa organów słuchu.

Jednakże, chociaż tak dobreimi wydały się pocie te oczy — my powiemy od siebie, że czasem w nich

iskrzyła się obłuda, przebiegłość i kokieteria. Oczy Aniuty tak wyzywająco, zdradziecko spoglądały nieraz z gęstej zieleni, że przykładne małżeństwo, nierozłączni Jan i Marya zaczęli się niepokoić: Jan spoglądał z ukosa, a Marya, obawiając się instynktownie o całość i nietykalność rodzinnego związku, zaczęła się złościć i obmawiać: — »Ot mówią, że Oczy Aniuty bardzo ładne... Ja tego nie widzę. Podług mnie nawet bezczelne wejrzenie... A wiesz, Wania, mówią«...

Tak więc te same oczy zobaczył Bodak wczesnym wiosennym porankiem. Poeta drgnął i zmieształ się... »Boże mój! — pomyślał, jakie oczy, jakie cudne niebieskie oczy!«...

I oczy patrzyły prosto na poetę, patrzyły troszkę ironicznie, troszkę przebiegle, ale w każdym razie łaskawie... Powiał lekki wietrzyk, poeta wstrząsnął swoją rozczochraną głową i zawołał:

— Dzień dobry pani!...

— *Merci!* — odpowiedział dźwięczny, melodyjny, pieśzcotliwy głosik, a czarujące oczy spoczęły znów badawczo na poecie.

— Patrz, patrz, Wania! — trąciwszy łokciem męża, szeptem powiedziała Marya swojemu Janowi — kokietuje każdego spotkanego...

— Jak pani noc spędziła? — zapytał poeta.

— *Merci!* Żle... Całą noc nie spałam: prawdopodobnie u żab jakieś święto, nie umilkły do samego rana.

— Tak, u nich wielkie święto miłości i dlatego uczta przeciąga się do świtu...

— A ty, Masza nie wiesz, co to za kudłaty pan z nią mówi? — cicho zapytał małżonkę Jan.

— Alboż ty, Wania nie wiesz? Nihilista!...

— Tss!

— Ach, co to jest miłość?! mówiły smętne Oczy Aniuty i zapatrzyły się w ziemię.

— Bodak westchnął.

— Mnie nikt nie kochał, nigdy... — rzekł, przemilczając o tem, że sam już dał się porwać uczuciu.

— Słyszałam, że pan jest poetą? czy to nie pana utwory śpiewał wczoraj na tym krzaku słowik?... — rzekła piękność.

— Nie, nie moje... To wszechświatowej znakomości... A ja... ja nieznany... Ot, jeżeli pani słyszała drozda i wilgę — to moje lepsze rzeczy... Dziękiotł bardzo życzliwie się o nich wyraził...

— Kto to, ten pan Dziękiotł?

— Nasz znany krytyk...

— Dlaczegoż ja go nie znam? — naiwnie i kapryśnie zapytała piękność.

— Ach bezczelna! Ach bezwstydna! Popatrz, Wania, jaką udaje dziewczynkę, a przecie już ma dwudziesty drugi... — szepnęła Marya Janowi.

— A te pańskie utwory, które śpiewa drozd, ja znam... Często nawet bardzo rozkoszuję się nimi. Szczególnie przyjemnie jest słuchać wilgę wieczorną porą, kiedy białe obłoki zapłoną żywym rumieńcem i kiedy tak wieje chłodem...

Prędko przekonał się poeta, że nie zawsze można zadowolić się samem podziwianiem piękna... Chciało mu się stanąć blisko Aniutinych Oczu, stanąć tak blisko, jak stali Jan z Maryą, więcej nawet: marzył o tem, jak przesłicznie byłoby mieć wspólną łodygę i wspólne korzonki. Biedny marzyciel całkiem zapomniał, że on — prosty Bodak i że niema nawet liści, żeby przyozdobić swoją nieładną powierzchowność; a ona rozkoszny kwiatek, przywykły do wonnego towarzystwa. Czarujące oczy zawróciły mu w głowie i żył marzeniami, złudzeniami poza czasem i przestrzenią. Zapomniał, że jego życie poety jest bardzo urojone i że dotąd nie zajmuje jeszcze określonego stanowiska, miejsca w systemie roślin... Ślepo

wierzył, że takie cudne oczy, których spojrzenie przenika w samo serce, zdolne są zrozumieć jego świat duchowy i ocenić jego nieuchwytnie bogactwa: talent, umysł, szlachetne porywy.

I jakże srogo został poeta ukarany za swoją łatwowierność!...

Raz pod wieczór, kiedy słońce schowało się już za lasem, kiedy na łące długie ukazały się cienie, kiedy niebiosa przystroiły się cudnymi purpurowymi, fioletowymi i liliowymi barwami, a na pobliskim błocie rozpoczęła się orgia żab — poeta rozmarzył się o szczęściu... Tak, przekonał się głęboko, że kocha na zawsze i prawdziwie, jak już przekonał się wiele razy przedtem...

Stali naprzeciwko siebie i milczeli. Obojgu było jakoś nieswojsko. »Ona go z pewnością rozumie i czeka«. I Bodak chciał już odkryć swoją duszę, wyznać swoje uczucia.

Ale piękność go uprzedziła.

— Czy nie dokuczyła panu już samotność? Pan tak trapi się zawsze sam — samiuteńki... Żal mi doprawdy, patrzeć na pana!

Westchnął i zamierzał już odpowiedzieć, że jego serce dawno już pragnie zbliżenia z drugim sercem, że rwie się do niej, że bez niej...

— A gdzie pan służy?

— Hm... Ja... Ja nie służę... Jestem wolnym artystą i poza tym zawodem nie życzę sobie mieć nigdy innego!...

— Wolny artysta!... Jak to przyjemnie! dobrze też opłaca się panu to zajęcie? Wieleż pan zarabia miesięcznie?...

— Ja?...

Biedak się zmięszał. Dotychczas nigdy jeszcze nie liczył, wiele zarabia.

— To nie służba, to tylko moje powołanie.

— To znaczy, że pan bez miejsca?

Cudne oczy mrugnęły i melodyjny głosik dźwięcznie zachichotał.

— Pan — wielki dziwak! — ironicznie odezwał się pieszczotliwy głos i od stóp do głów oczy zmierzyły poetę. Potem spotkały się ich spojrzenia i w tej chwili odkrył tę tajemnicę, która ukrywała się w bezdennej głębi czarujących oczu... I głębia przestała być dla niego głęboką. Jego wzrok przeniknął ją do samego dna i zobaczył tam... najzwyczajniejsze błoto.

I rozprysły się poetyczne rojenia Bodaka, rozwiały się jak dym czarujące złudzenia, śmiesznymi się okazały marzenia o weselnych godach przy fosforycznych światełkach świętojańskich robaczek i przy dźwiękach nastrojowego śpiewu słowików...

— Nie, widać, że uroczę oczy nie stworzone dla wolnych artystów — pomyślał poeta i smutno zwiesił głowę... A oczy czarodzieje nie patrzyły już na biednego poetę łaskawie i zyczliwie.

\* \* \*

Czas ulatywał z szybkością ptaka. Dnie mijały za dniami.

I kiedy pewnego prześlicznego poranku poeta spojrział w zwierciadło przejrzystego strumienia, zobaczył ku swojemu przerażeniu, że zupełnie wyłysiał.



PAWEŁ i WIKTOR MARGUERITTE.

## MÓJ PIERWSZY.

Ah! — odezwał się pan Triquart, ojciec Trique, jak go nazywano powszechnie — bitwa pod Mans!...

I na jego śniadej, suchej, kościstej twarzy, przez lat dwadzieścia palonej afrykańskim słońcem, ukazał się dziwny wyraz smutku, rzewnego wspomnienia.

— Byłem tam! — westchnął, jakby budząc się z chwilowej zadumy.

Wstał i szybkim, rzeźkim jeszcze bardzo krokiem, pomimo lat sześćdziesięciu, zaczął biegać po swojej małej sali jadalnej. Za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wspomnień, powstał porucznik 70 pułku, oficer-instruktor armii algierskiej, odmładzając o lat trzydzieści starego, wysłużonego kapitana.

— Ciężkie dwa tygodnie! — mówił jędrnym, dobitnym głosem, nie przestając tam i nazad biegać. — Przybyliśmy na dworzec w Mans w wilię Bożego Narodzenia. Szkaradna noc! Drogi zawałone śniegiem. Siedm-dziesiąt dwie godzin podróży w korpusie od Bourges — to dosyć!... Nasze arabczyki, takie przepiękne w swoich liniach, spragnione, głodne, zmarznięte; wyprowadzone z wagonów rżą, kąsają się, biją.

I już zaczynają krążyć pytania, czy to będzie jak u Bourbaki'ego dzwonienie zębami, nic nie robiąc. Ale, o dziwo! Nazajutrz rano rozdawanie racyj masami; nadto każdemu żołnierzowi dano po burce do przywdziania po wierzchu zbyt jaskrawych mundurów i po czterostrzałowym gwintowanym, dalekonośnym rewolwerze. Chanzy ma wszystko zorganizowane, gotowe. I zaraz w drogę na Parigne!

Tak, dwa tygodnie, których nie zapomnę nigdy. Pułk pozostawiony samemu sobie, żyjąc prawdziwym życiem żołnierskiem, szedł naprzód, na bój! Po klęsce pod Mans, w odwrocie na Laval, nie było się już ludźmi, tylko jakimś rodzajem rozbitków wśród odpływającej, rozszalałej fali. Ale od 25. grudnia do 10. stycznia! — to warte było trudu.

W moim plutonie miałem laskarów: Ali, Taib, Bu-Afs, Mohamed; widzę ich jeszcze wyprostowanych w siodle arabskiem, z sakwą zawieszoną u łęku, z szablą pod lewą nogą. Cery koloru piernika, siniejącej na zimnie, zasuszeni, z wielkimi aksamitnemi, ognistemi oczami. Niestety! nie bardzo skrupulatni, wiecie, zbyt długie mają ręce: urywali łeb każdej kurze, spotykanej po drodze. Wszyscy oni mają w sobie coś z pierwotnego łupieżcy — krew, gdzie burzy się stary szał radżahów. Jedno mają na to wyrażenie, nie dające się przetłómaczyć. Coś, jakby: »Świetna zdobycz, warta zachodu«. I oczy im błyszczą; wyszczerzają swoje białe zęby: *Terbah bezef!*

Zresztą natrafiliśmy wszędzie na dzielnych, dobrych ludzi. Obozowało się u Francuzów, którzy się cisnęli, byle nam tylko zrobić jak najwięcej miejsca, a rano, przy wymarszu, częstowali lampeczką. Z podziwem patrzyli na moich pocziwców, udrapowanych w swoje burnusy, milczących, o dumnym wejrzeniu, harujących na swoich gniadoszach, o suchych, nerwowych nogach, których ogony wlekły się po śniegu.

I rzeczywiście, nasi Algierczycy, pochyleni w siodłach, w szalonym galopie podobni byli do djabłów. Zapominali o swoich rękach skostniałych, o dzwonieniu zębami... Ich dzika natura »ludzi szerokiego stepu«, *radzel barod*, odzywała się w nich.

Szkaradna okolica. Drogi zaledwo możliwe, wąskie, gołoledź. Poza tem okolica odcięta, wzgórze zale-



sione, gdzie ciemno-zieloną sosnę przeplata dąb pożółkły, śnieg, z pod którego tu i ówdzie wystają krzaki tarniny lub jałowcu. Ściśnięte doliny, gdzie wszystkie pola rozgraniczają wały, wysadzone drzewami dębowymi z poobcinanymi wierzchołkami, które w perspektywie tworzą las zwarty z otworem w dali, odsłaniającym zarysy wsi i wieżyc kościołów. Potem, w miarę zbliżenia się do Vendôme, rozszerza się to trochę, czuje się więcej powietrza.

Kapitan umilkł na chwilę. Zdawał się czytać w samym sobie, śledzić z zajęciem starą historię. Krew zarumieniła cokolwiek jego ogorzałe policzki.

— Tam to zabiłem — zaczął znów — mojego pierwszego, białego kirasyera.

A po ciszy, której nie śmieliśmy przerywać, rzucił z przejęciem filozofa-dziwaka:

— Dalibóg, od tego czasu często zastanawiałem się nad tem. Nie mogło być inaczej: zrobiłem to, co nakazywał mi zrobić obowiązek. A jednak, ten człowiek, kirasyer, wart był czegoś lepszego jak kuli, która mu roztrzaskała czaszkę. Powiniennem go być uściskać, a położyłem go trupem. Jak na wojnie.

Pomyślał jeszcze, wreszcie, jakby otrząsając się z przykrego wspomnienia:

— Otóż było to 31. grudnia. Mróz dziesięciostopniowy, zamarznęte pola, lodem ścięta Loara. Przeszliśmy rzekę po moście, zbudowanym w nocy. Droga na wyżynie dominującej nad doliną Loary, wiła się przez zręby dębowe, wydawała odgłos podobny do odgłosu bruku miejskiego. Mohamed, mój ordynans, szczwana bestya, ex-odźwierny w biurze arabskim w Tlemceni, przekładał cugle z jednej ręki do drugiej, jęcząc: »Nie ma szczęścia!« Marzył tylko o utarczce na szable i kłął, że nie widział jeszcze Prusaków.

— Czekaj! — powiedziałem mu.

Zbliżaliśmy się do Varennes. Wzgórza, oddalając się od Loary, zakreślały półkole, w głębi którego rozciągała się łąka z rzędami smukłych topól. Ukazała się wieś, bezładna masa, na końcu drogi, zupełnie prostej, jeżącey się telegraficznymi słupami. Mój dzielny pluton szedł na czele.

Przed nami galopują forpocztę, co chwila wykonując inne obroty, półobroty, ażeby uniknąć nieprzyjacielskich kul, bo wieś — powiedział nam jakiś chłop — jest zajęta. Zwalamy się jak huragan na barykadę z pługów, bron i taczek, skąd pada kilka strzałów. Barykada zniesiona, nie dość jednak prędko, żeby pojmać kilku kirasyerów z aryergardy, którzy ratują się ucieczką, ukazując nam swoje białe, szerokie plecy.

Na ich widok rzucają się Arabi. Widzę ich jak wpadają w ulicę z rozwianymi burnusami. Ludzie, istne djabły wyjące, a małe gniadosze, upojone szybkością, nacierają, doganiają uciekinierów. Krótkie starcie na szable, na rewolwery. Czterech kirasyerów legło trupem, jeden ranny; trzy konie, rosłe chude szkapy, jednego żołnierza wzięto żywcem. Żołnierza pojmał Mohamed. Prowadzi go pieszo, popychając przed sobą, za sobą zaś ciągnąc ciężko objuczonego wierzchowca. Tryumfuje. Koń i jego rząd sprzedane w Montoile, ładny grosz przyniosą. *Terbah bezef!*

Zatrzymujemy się. Robimy naradę; sztab, trzech kapitanów i ja w charakterze dowódcy awangardy. Mohamed przyprowadza jeńca.

Był to słuszny chłop ze śladami dawnej otyłości. Twarz kwadratowa, spłaszczona, w otoczeniu jasnej brody. Oczy błękitne, prawie bez wyrazu, porcelanowe. Niepodobna było odgadnąć, jakie myśli kryje pod czołem upartem. Ja go badałem. Szwargotałem trochę po niemiecku, rozporządzając zapasem słów niezbędnych w wyprawie wojennej.

Pytam go więc, czy z jego pułkiem są jeszcze inne wojska przed nami w następnej wsi. Powiada, że nie; było to niemożliwe, prawda? o kilka kilometrów od Vendôme, które niemi było przepełnione. Więc jeszcze raz zapytuję go moim szwargotem, na migi: »Czy jest przed nami piechota?« Namyśla się, patrzy na nas swojemi porcelanowemi oczami, i bez najmniejszego wzruszenia powtarza spokojnym głosem: »Nie!« »To dobrze, mój chłopcze« — powiada pułkownik. — »Pomaszerujesz z nami, a na huk pierwszej salwy, na jaką wpadniemy, kulą w łeb dostaniesz. Zrozumiałeś? Niema przed nami oddziałów piechoty?«

Kirasyer wstrząsnął głową i jeszcze raz powtórzył: »Niema«.

Na to, Mohamed pomaga mu dosiąść konia. Krępują Prusaka powrozem, związują mu ręce z nogami. Jeden z moich ludzi prowadzi konia za cugle, z drugiej strony postępuje Mohamed z rewolwerem w rękę, gotów do strzału na moje pierwsze skinienie. W dwadzieścia minut potem, kiedyśmy się zbliżali do Villarii, wybucha gwałtowna kanonada: salwy karabinowe z przodu, z boków, ze wzgórz Boisaux - Moines padają strzały armatnie.

Mohamed zapytuje mnie wzrokiem. Twarz jeńca promienieje zadowoleniem, oczy porcelanowe pałają blaskiem surowym.

— Pal! — krzyczę w pierwszym uniesieniu wściekłości. I nieustraszony bohater z przestrzeloną czaszką osuwa się na ziemię.

Mohamed ruszył przodem, ciągnąc za sobą zdobytego konia. Za nami trup znaczył krwawy ślad na śniegu... Tak, tak, dużo od tego czasu przemyślałem o tem. Musiałem tak postąpić. Spełniłem mój obowiązek.

A po krótkiej chwili milczenia dodał pan Triquart: — Kirasyer także.



N. A. LEJKIN.

## POLOWANIE NA ZIĘCIA.

(Humoreska).

## I.

**N**ie, mów, co chcesz, Serafino, a dzisiaj trzeba się dowiedzieć, w jakich zamiarach u nas bywa. Podług moich obliczeń, zjadł już u nas przeszło pół puda łososiny, a łososiny niżej 35 kopiejek za funt nie dostaniesz. A ser szwajcarski i raki? A sardynki, a śledziki, które dla niego kupuję? O mięsie już nie mówię, chociaż dla niego umyślnie kupiłam cielęcą pieczeń, bo utrzymywał, że niema potrawy nad cielęcinę z czosnkiem.

Tak mówiła matka, szczupła, wysoka, starsza już kobieta, zwracając się do swojej córki, panny także już nie pierwszej młodości, jaskrawo ubranej, cokolwiek podmalowanej, z wyczernionymi brwiami. Córka poczerwieniła cała i odpowiedziała:

— Ależ mammo, wy sami przecie zawsze zapraszacie go na obiad, ile razy przechodzi koło naszej willi. Zdąza do restauracyi, a wy wybiegacie i zapraszacie: »Witalisie Pawłyczu, proszę, bądźcie łaskawi do nas po drodze. Siadamy zaraz do stołu«.

— Tak, zapraszam, ale jeżeli on uczciwy człowiek, to sam powinien zrozumieć, w jakim celu go zapraszam. Widzi, że mam córkę na wydaniu i szukam dla niej męża, że chcę się jej pozbyć.

— Jak się to łatwo mówi: »pozbyć się«.

Córka się nadąsała.

— Moja kochana, w naszym położeniu nie można przebierać. Masz 27 lat — odpowiedziała matka.

— Dwadzieścia sześć dopiero mam.

— Pozwól... Twoja metryka u mnie nie u ciebie, a zresztą mówię to w cztery oczy. Naturalnie przy ludziach mówię wszystkim, że masz dwadzieścia trzy. Ostatecznie, czy masz dwadzieścia, dwadzieścia sześć, czy dwadzieścia dziewięć, to wszystko jedno, ale w domu, gdzie jest dorosła córka, nie można zjeść bezkarnie dwudziestu obiadów, w przeciągu dwóch miesięcy.

— Nie zjadł dwudziestu obiadów.

— Więcej, moja miła, a śniadań w święta to już i nie liczę, chociaż i na śniadanie jakiś pierog, kawa, bułki. Przeszłej niedzieli umyślnie się do pieroga kupiłam, a siga, chociażby najmniejsza, kosztuje dziesięć kopiejek. A piwo? A wódka? Trzy butelki madery wypił przez ten czas, a madera po półtora rubla.

— Przecie my także z nim jemy i pijemy. A prawdę mówiąc, to maderę mama sama wypija.

— Dla niego muszę pić, dla jego towarzystwa. A co do łososiny, czy kupowałabym ją przy mojej pensji dla nas samych po trzydziści pięć i po czterdzieści kopiejek? Raz nawet zapłaciłam pół rubla. To nie bagatela! Pół rubla funt: Wreszcie, zawsze świeże ogórki w boćwinie, a na wiosnę... ty wiesz po czemu ogórki. Teraz poziomki, śliwki... Nie, to trzeba już raz na czysto postawić.

Córka wzruszyła ramionami.

— Jakże wy to myślicie zrobić? — zapytała.

— W bardzo prosty sposób. Zaraz zasiądę na ławce pod furtką, poczekam, kiedy będzie przechodził, zaproszę na obiad, a przy obiedzie stanowczo zapytam: »pozwólcie dowiedzieć się, jakie wasze zamiary«.

— Jednakże, sami zaprosicie?

— Sama, sama. Cóż z tego?

— I ot, zawsze tak. A z jego strony natręctwa nie było.

— To jest natręctwo. Jeżeli niema uczciwych zamiarów, powinien odmówić pod jakimś pozorem. »Dziękuję wam, ale mam terminową robotę w domu«, albo coś w tym rodzaju może powiedzieć; która godzina?

— Piąta dochodzi.

— Piąta! to trzeba już czatować. O czwartej wychodzi z biura, godzinę jedzie tramwayem. Przebieraj się. Ubierz się zaraz w niebieski kostyum i wychodź do furtki. Najlepiej ci jest w niebieskim kostyumie.

— Pięć razy już widział mnie przy obiedzie w niebieskim.

— I zawsze mu się podobałaś. Powiedział nawet, że wyglądasz w nim bardzo interesująco. Dziś decydujący dzień ataku, i dlatego trzeba wszystkie środki puścić w ruch. Ubieraj się, ubieraj się. A jak będziesz przechodzić koło kuchni, to powiedz Darji, żeby skoczyła do sklepu i kupiła na zakąskę śledzika. Dzisiaj ja dla niego, dla hultaja, robię grzyby ze śmietaną. Może grzyby pomogą!

— Ach, mammo!

— Niema co achać! Idź. Śledzika... Jeszcze gdzieś tam mamy pół pudełka sardynków. Ja, moja kochana, zegarek z łańcuszkiem zastawiłam dla niego, niegodziwca. Nie zapomnij założyć na szyję korale... Włosy zaczesz we dwa warkocze... Młódziej tak wyglądasz.

— Ach, niepotrzebnie knujecie ten spiszek.

— Powiedziałam — nie czekać! Niepotrzebnie! Muszę raz koniec temu wszystkiemu położyć.

— Na koniec trzeba wyczekać. — Może sam się oświadczy.

— Sprykszyło mi się to długie czekanie! Dziękuję pokornie. Poprostu zapytam kategorycznie: tak i tak... Jeżeli nie da zadawalniającej odpowiedzi, zaraz precz. »W takim razie łaskawy panie, zechciejcie opuścić nasz dom«.

-- Jak opuścić dom? Wziął moją bransoletkę z turkusami i brylantami do naprawy.

— Bransoletkę? Pocóż ty mu dałaś?

— Zepsuło się przy niej zamknięcie. Do miasta rzadko jeździmy — ot i prosiłam go, żeby wziął do naprawy.

— A to niemądra! bransoletka kosztuje czterdzieści rubli.

— Pozwólcie... Cóż z tego? Przecie go sobie na zięcia szykujecie.

— Szykuję, ale, dopóki nie wyjaśniła się sprawa...

— Chciał ją dzisiaj odebrać z naprawy.

— Boże mój, co ty narobiłaś! A jeżeli nie przywiezie dzisiaj, jakże ja go napędzę?

— Pocóż napędzać?

— Ach, gałgan, gałgan! A to chytry! To on, wyłudził od ciebie umyślnie bransoletkę, ażeby bezkarnie zjeść jeszcze u nas mnóstwo obiadów.

— On, mamó, wcale nie jest oszustem.

— Znam ja ich. Wszyscy oni oszuści, przesunęło się tu już takich około pół tuzina. Pili, jedli i obdzierali. Jeden nawet trzynaście rubli przegrał do mnie w pikietę i, nie zapłaciwszy, ulotnił się. Ach, Serafino, jaka ty niemądra!

— Ot zobaczycie, że on dziś albo jutro przyniesie bransoletkę.

— No, marsz, marsz, ubierać się! Niech będzie, co chce, a sprawa musi się dzisiaj wyjaśnić. Ubieraj się i wychodź do mnie pod furtkę. Będę czatować na niego.

Córka wzruszyła ramionami i poszła do domu.

— Śledzika! śledzika nie zapomnij! Kiedy twojej siostrze Kati oświadczył się jej dzisiejszy mąż, także śledzik był na zakąskę. Śledzik szczęśliwa zakąska! — krzyczała za nią matka i wyszła za furtkę osztachetowania.

## II.

Serafina w niebieskim kostyumie, z rozpuszczonymi na plecach warkoczami, wyszła za furtkę osztachetowania willi. Matka siedziała już na ławce i przymrużając oczy, spoglądała w aleję, ciągnącą się wzdłuż sztachet całego szeregu will.

— Nie przechodził jeszcze... — rzekła matka i powiodła wzrokiem po córce. — Policzki, zdaje się, mało natarłaś — dodała.

— Nie dobrze przy dziennem świetle. Bardzo już będzie widoczne — odpowiedziała córka.

— No, siądź przy mnie na ławce i czekajmy. Wiele to on bierze pensyi?

— Przecie oni wszyscy kłamią. Mówi, że sto rubli miesięcznie i dwa razy na rok remuneracyę.

— Źle się stało, że nie pojechałam do jego biura i nie dowiedziałam się. No, już wszystko jedno. Jeżeli nawet siedmdziesiąt pięć bierze, to i to dosyć. Może się postarać o wieczorne zajęcie... może zarządzać kamienicą. Jeżeli do siedemdziesięciu pięciu rubli dodamy moją pensyę, to przy pewnej oszczędności można żyć wcale przyzwoicie.

— Ach mama chce razem...

— Naturalnie... Ostatnią córkę wydaję, to przecie nie zostanę sama! Idzie... — podskoczyła matka. — No, błogostaw Boże dobrej sprawie.

Córka drgnęła i szepnęła:

— Mamusiu, tylko wy, zmiłujcie się, nie bardzo...

— Już ja wiem, jak... Przeżegnaj-że się niemądra...

Córka się przeżegnała. Aleję szedł młody mężczyzna w jasnym palcie, w cylindrze, z teką pod pachą. Zbliżał się do nich. Matka złożyła usta do uśmiechu i rzuciwszy okiem na córkę, burknęła:

— Zróbże wesołą twarz. No, cóż siedzisz, jak mara!



— Jak tu można być wesołą, kiedy skandal chcecie zrobić...

— Jaki skandal?

Młody człowiek zrównał się z nimi. Był to średniego wzrostu blondyn z małą bródką, o chorobliwym wyglądem, z wystraszonemi oczami. Uchylił kapelusza.

— Witamy, witamy... — zaczęła matka. — Cóż to tak późno dzisiaj?

— W biurze się zasiedziałem, a i tramwaj włókł się jak zółw.

— A my na was czekamy. Chodźcie do nas na obiad. Dziś wasze ulubione potrawy. Barszcz z młodych buraków, pierogi ze śliwkami...

Młody człowiek się zmięszał.

— Wziąłem dziś robotę do domu... — uderzył po tece. — Chciałem wstąpić na chwilę do restauracyi i wracać prędko, a u was się zasiedzę.

— Robota nie zając, nie ucieknie. Proszę, Witalisie Pawłyczu... Umyślnie czekamy na was — mówiła matka. — Wydaję dziś kucharce na obiad, a Serafina powiada »Witalis Pawłycz tak lubi pierogi ze śliwkami«... Proś-że Serafina...

— Proszę... nie będziemy was zatrzymywać... Lepiej u nas zjeść obiad, jak w restauracyi — odezwała się Serafina, rzucając na niego powłóczyście spojrzenie.

— Nie śmiem odmawiać... — ukłonił się młody człowiek.

Weszli do ogródka. Na werandzie willi nakryty był stół na trzy osoby.

— Serafina! Weź tekę od Witalisa Pawłyczka...

— Co, co... Z jakiej racyi?... Ja sam...

Młody człowiek położył tekę na krześle, zdjął palto i przewiesił je na poręczy werandy.

— Ot i śledzik przygotowany. Napijcie się wódeczki — zapraszała matka.

— Gorąco bardzo... — wymawiał się. — W taką pogodę, wiecie...

— Nie dajcie się prosić! I ja się z wami napiję.

— Z wami, owszem.

Wypito jeden kieliszek, drugi, trzeci, zjedzono barszcz. Matka nakładała na talerz Witalisowi Pawłyczowi to kielbasę z barszczu, to kawałeczek wędzonki i przeskakiwała w rozmowie z przedmiotu na przedmiot. Córka więcej milczała. Obiad miał się ku końcowi. Podano pierogi ze śliwkami. Matka mrugnęła do córki i, obracając się do młodego człowieka, zaczęła:

— A ja dzisiaj, Witalisie Pawłycz, chcę z wami pomówić.

— O czym? — zapytał, jakby nastraszonego, młody człowiek, przestając nagle jeść pierogi.

— Ot, mam córkę na wydaniu — mówiła dalej matka. — Dawno już chciałam was zapytać, w jakich zamiarach u nas bywacie.

— To jest, jakto? Zapraszamy, to ja... Ja bardzo poważam was i Serafinę Ignatjewnę.

— To mało. Na słowach nie można poprzestać, trzeba czynem udowodnić, zdecydować się, skończyć.

Matka nie spuszczała oczu z Witalisa Pawłycza. Córka siedziała, jak na rozżarzonych węglach, poczerwieniała cała.

— Otóż, bywacie u nas na śniadaniu, obiedzie, kolacyi... — ciągnęła matka.

— Tak gościnnie zapraszacie...

— A wy, jeżeli przyjmujecie zaproszenie, to bardzo dobrze powinniście rozumieć, że ja matka, że mam towar, to jest córkę, a wy kupiec. Odwiedzając nas, rzućcie, bądź co bądź, cień na Serafinę, stajecie się powodem różnych plotek. Jeżeli bywacie u nas bez poważnych zamiarów, to bezkarnie tego puścić nie można, jeżeli zaś macie poważne zamiary, to czas już zakończyć

tę sprawę. Wy młody człowiek, skromny, solidny... No? Stawiam wprost pytanie...

Młody człowiek poczerwieniał, kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Odsunął od siebie talerz, i milczał.

— No? Odpowiedzcież mi. Ze swojej strony mogę wam powiedzieć, że mnie i Serafinie podobacie się.

— I wy mnie się podobacie, polubiłem was jak bliskich... — wyjąkał młody człowiek i coraz więcej się mieszał.

— Mówcie dalej, kończcie...

— Doprawdy, nie wiem...

— Tu nie trzeba nic wiedzieć, trzeba się zdecydować. Serafina ma tysiąc rubli na czarną godzinę...

— Pozwólcie. Niech pomyślę.

— Nie, nie, dłużej już myśleć nie można. Pytanie szczere i odpowiedź powinna być również szczerą... Ugaszczamy was, kupujemy drogą prowizję, staramy się dogodzić waszym gustom, wszystko to od nas przyjmiecie, rzuciliście na nią cień...

— Ja bardzo szanuję Serafinę Ignatjewnę...

— Jeżeli kochacie i szanujecie, to niema co mówić. Ona także was kocha i szanuje. Serafina! Podaj rękę Witalisowi Pawłyczowi... Cóż siedzisz jak posąg?...

— Wszystko, to bardzo ładnie, ale tak nagle...

— Nagle zawsze bywa najlepiej. Trzymajcie, trzymajcie ją za rękę, a ja przyniosę zaraz obraz... Serafina! Nie puszczaj jego ręki.

— Ja chciałem wam powiedzieć...

— Później powiecie.

— Matka wyskoczyła z za stołu, pobiegła do drugiego pokoju i wróciła z obrazem.

— Wstańcie, wstańcie... Zbliżcie się do mnie. Błogosławię was.

Serafina doprowadziła go do matki i zaczęła się żegnać.

— Chciałem wam powiedzieć... — zaczął znów młody człowiek.

— Później sobie wszystko powiemy. Teraz pochylcie głowę.

— Muszę wam powiedzieć...

— Błogosławię was...

— Nie błogosławcie, nie błogosławcie... Ja jestem już żonaty! — krzyknął młody człowiek i odskoczył od Serafyny.

Tableau...



A. BAUMBERG.

## OSTATNI, NAJLEPSI.

(Humoreska).

**C**o? Znowu rachunek modniarki? — krzyczy pan Liebling do swojej żony. — I znowu za dziewczęta? Powiedz mi jednak, skąd mam wziąć pieniądze? Jeżeli dziewczęta chcą ubierać się ładnie, muszą coś zarabiać.

— Łatwiej się mówi, jak robi — odpowiada rezolutna małżonka.

— W takim razie musisz pamiętać o przysłowiu: »według stawu grobla«. Musimy zaprowadzić w wydatkach oszczędności.

— Chciałabym wiedzieć, jak?

— To już twoja rzecz, weź mniejsze mieszkanie.

— A nasze meble? Czy mam je sprzedać! Tego nie zrobię.

— To odnajmij trzeci pokój. Inni ludzie umieją sobie radzić; tobie tylko trudno wpaść na jakiś praktyczny pomysł.

— Ach, daj mi spokój, z odnajęcia nic nie będzie.

— Tak? A to dlaczego?

— Pomyśl tylko o nieprzyjemnościach!

— Ciekawy jestem jakich? Pokój będzie odnajęty i basta, a teraz bądź zdrowa.

Pan Liebling wyszedł i dopiero po biurowych godzinach i po przyklepieniu na branie kamienicy, w porozumieniu z dozorczynią domu, ogłoszenia: »Ładnie umeblowany pokój dla kawalera« — wrócił do siebie ze słowami: »już wisi«.

— Kto wisi?

— No, kartka, zawiadamiająca o pokoju do odnajęcia, któżby! Przygotowałaś już pokój?

— Ależ, proszę cię Antoni, nie daj się wyśmiać, tak prędko nikt się nie zgłosi.

Rrrr — rozlega się głos dzwonka elektrycznego.

• Najstarsza Emma otwiera; wchodzi jakiś pan.

— Czy tu jest pokój do odnajęcia?

Pan Liebling rzuca żonie tryumfujące spojrzenie, zwraca się następnie do nieznanego i mówi:

— To rzecz mojej żony, dobranoc — i znika.

Podśluhuje jednak pod drzwiami i ucieszył się bardzo, usłyszawszy, że zgodzono się na cenę. Teraz dopiero uznał za stosowne pokazać się i pana z długimi włosami zapytać o nazwisko.

— Oto moja karta — rzekł nieznanomy.

»Albin Wybil, nauczyciel muzyki«.

— Bardzo mi przyjemnie. Jeżeli pan profesor zechce od czasu do czasu korzystać z naszego pianina, cieszyć się będę.

— Dziękuję bardzo; zabiorę ze sobą swój własny fortepian. Czy nie mógłbym już sprowadzić się dzisiaj?

— Im prędzej, tem lepiej.

I stało się tak, że Wybil jeszcze tego samego wieczora zjawił się ze swoimi bagażami, fortepianem, altówkami etc.

Pan Liebling kładł się bardzo zadowolony do łóżka, pochwalił się:

— Jak się sam wezmę do czego, to zupełnie inaczej wygląda.

— Co prawda, nie wysiliłeś się bardzo, ale ja dobrze czuję moje kości od porządkowania — odpowiada zmęczona żona, obraca się na drugą stronę i zasypia; za chwilę jednak trąca ją małżonek i pyta, czy nie mogłaby lokatorowi dać także śniadania, ażeby i na tem coś zarobić.

— Ależ to się samo przez się rozumie i dlatego nie potrzebowałeś mnie budzić. Dobranoc!

— Dlaczegoż dzisiaj niema kożuszka na mojej kawie? — zapytuje przy śniadaniu oburzony pan Liebling.

— Musiała go przecie mama dać panu Wybilowi — objaśnia Helena, najmłodsza córka.

— Ah, tak — szkoda. Brawo! muzyka od rana, to nadzwyczaj lubię.

— No, dziękuję ślicznie — pomrukuje Emma. — Ładnie bębni i to jakieś niezrozumiałe utwory!

— Tak, może walce wiedeńskie, albo jaką polkę będzie grał dla twojej przyjemności — śmieje się ojciec, wstaje i idzie do biura.

W południe, kiedy wraca do domu, rzucają się na niego żona i córki.

— Na miłość Boską, tatku, on ciągle jeszcze gra, to straszny człowiek.

Przeraźliwy akord i cichnie muzyka.

— No więc... cóż wy chcecie? Już przestał.

Kiedy znów pan Liebling wychodził, czekało już na pana profesora dwóch młodzieńców ze skrzypcami

pod pachą, a kiedy wrócił na wieczór do domu, rozbrzmiewały gamy na fortepianie z *mol* i *dur* naprzemian. Rodzina jego siedziała z pochmurnymi twarzami przy stole; odpowiedź na powitanie męża i ojca była głucha i czuć w niej było rezygnację. Pan Liebling jednak był przyjemnym, jak rzadko, bardzo rozmarzonym i po wieczery zaprosił wszystkich na szklankę piwa.

— Zanim wrócimy, ten kiep przestanie prawdopodobnie nareszcie — mówi, wychodząc. Niestety jednak, pod bramą już przekonali się, że »kiep« jeszcze nie przestał.

— Antoni, mów, co chcesz, ale od godziny ósmej rano do dziesiątej wieczór muzyka — tego nie zniosę — chyba oszaleję.

— Śmieję się z tego. Można się tak przyzwyczać, że się nawet nie słyszy.

Nazajutrz była niedziela i pan Liebling siedział cały dzień w domu, a na wieczór zapytał:

— Kiedy pierwszy?

— We wtorek.

— A więc, wypowiedz że temu muzykusowi a na przyszłość pytaj się każdego, czy gra na fortepianie.

Wybil wyprowadził się zły i rozgoryczony.

Drugim lokatorem był student.

— Ciekawa tylko jestem, kiedy on nareszcie czynsz zapłaci — szmerze pani domu w piątym tygodniu. — Zdaje mi się, że ten wuj, od którego oczekuje pieniędzy, mieszka na księżycu.

Z tupotem, wrzaskiem i śmiechem wprowadza student pół tuzina kolegów do swego pokoju.

— Chodźcie chłopcy, to moja buda; zaraz będzie wino i przekąska.

— Hurra! — rozlega się w chórze.

Kelner z pobliskiego handlu przynosi wino i przekąskę, i rozpoczyna się pijatyka do białego dnia.

Po tej bezsennej nocy postanowiono na radzie familijnej odnajmować pokój tylko kobiecie.

Sprowadziła się też niebawem kobieta — nauczycielka angielskiego języka.

Całe popołudnie poświęcały Emma i Helena na to, ażeby miss Rumfort, jej »home« możliwie najwygodniej urządzić.

— Nie macie państwo jakiego *little table* do tego kąta? Ach proszę was, moje panie, postarajcie się...

Zabrano papie stoliczek do palenia i miss Rumfort miała swój *little table*.

— Ach, moje panie, proszę czemś nakryć.

W pokoju dziewcząt ubyła zaraz jedna kapa.

— Gdzież są poduszki z mojej kanapy?

— Są przecie tutaj, miss Rumfort.

— Tak, dwie; ale ja lubię dużo poduszek, bo inaczej to nie jest kompletne.

Wszystkie poduszki włosienne a nawet papy wałek do drzemki poobiednej powędrowały do »home« miss Rumfort.

— Gdzież jest mój fotel amerykański? — pyta pan Liebling.

— Miss Rumfort prosiła o niego. Powiada, że bez fotela amerykańskiego prawie żyć nie może.

— Hm, hm, to trzeba będzie przyzwyczaić się czytać gazetę gdzieindziej.

— Gazetę? Ach, gazetę wzięła przed chwilą właśnie miss Rumfort.

— Tak? I gazetę także? Masz tutaj cztery centy, poszlij po drugą.

Pewnego dnia siedzi sobie pan Liebling bez surduta przy stole, delektując się fajeczką, nagle wchodzi miss Rumfort i wydaje okrzyk zgrozy na widok gospodarza w negliżu. — Biedaczysko ucieka prędko do sąsiedniego pokoju, ażeby tam przyodziać się w surdut.



— Ach z jakiej ładnej filiżaneczki pije pan kawę! Przychodzi prawie ochota napić się z niej.

Gospodyni zaprasza. Trochę ceremonii, ale miss Rumfort nie wzbrania się długo — jedynie tylko dla miłości filiżaneczki.

Nazajutrz o tej samej porze znowu się zjawia:

— Przychodzę tylko zapytać, co się dzieje z moją filiżaneczką?

Domyślono się. I dziś papa Liebling dostał tylko jedną filiżankę kawy.

— W najbliższą środę daję dla moich uczenic *five o'clock thee*; pozwolą przeto państwo, że na ten cel użyję ich pokoju — prosiła pewnego dnia miss Rumfort.

Kiedy pan Liebling wrócił owej środy do domu, zastał szesnaście młodych pań w swoim mieszkaniu, a żona i córki wysilały się, by uczynić zadość życzeniom prezydującej na końcu stołu miss Rumfort.

— No, mam już dosyć tej miss — oświadczył rodzinie na drugi dzień papa Liebling. — Jutro wypowiesz tej pani. Ostatni czas! Wobec tego, co się dzieje, byliśmy wkrótce gośćmi w naszym własnym mieszkaniu. A proszę cię także, wyperswaduj sobie raz na zawsze odnajmowanie mieszkania paniom!

W dzisiejszej gazecie jest własne ogłoszenie, że dwaj młodzi cudzoziemcy poszukują mieszkania z całym utrzymaniem u przyzwoitej rodziny. Piszę zaraz na to ogłoszenie...

— Na miłość Boską! Dwóch naraz!

— To ostatnia próba, moja droga. Dotychczas nie mieliśmy szczęścia. Kto wie? Może nareszcie teraz będzie dobrze.

Pan Liebling napisał. Sprowadzili się cudzoziemcy, a obie strony były tak zadowolone, że wyprowadzili się dopiero po roku, ale nie sami... zabrali ze sobą Emmę i Helenę.

— No — zawołał z tryumfem papa Liebling — czy mój pomysł z odnajęciem był wyborny, czy nie?

— Pomysł? No, zapewne... ale jak ja to wszystko przeprowadziłam — nic nie mówisz. To było niezwykle. Ażeby w dzisiejszych czasach wydać naraz dwie córki — trzeba być geniuszem!



ANDRZEJ THEURIET.

## NA DRODZE DO KARYERY.

**S**tefan Boussenot, skoro tylko przybył do Paryża, pośpieszył pokazać się panu des Courtils, któremu zawdzięczał swoją nominację w ministerstwie.

Pan des Courtils mieszka przy ulicy Świętego Dominika, na pierwszym piętrze. Naczekawszy się dość długo w przedpokoju w towarzystwie interesantów, Stefan zostaje nareszcie przyjęty w gabinecie tego dygnitarza. Odkąd został deputowanym do Ciała Prawodawczego, radca generalny okręgu Paulmy zmienił się znacznie: w czarnym krawacie, w długim, zapiętym surducie, ma minę mniej szczerą a ruchy uroczystsze. Gościa jednak wita uprzejmie, podaje mu rękę i wskazuje krzesło obok biurka, zavalonego broszurami i oprawnymi sprawozdaniami.

— A więc! młody przyjacielu — mówi — dotrymałem obietnicy i zawód rozpoczęty... Jesteś pan zadowolony?

— Panie — odpowiada z odcieniem smutku w głosie Stefan — winienem panu wdzięczność za wydobycie

mię z zapadłej prowincyi. Bez pana nie byłbym się dostał na to stanowisko, będące przedmiotem gorących zabiegów tylu innych kompetentów... Jednakże odkąd tutaj jestem, przewiduję trudności, które przedtem na myśl mi nie przysły, i szczerze mówiąc, raczej zaniepokojony jestem, a nie zadowolony.

— Do licha!... Niełatwo pana zadowolnić!... Stanowisko, jakie pan zajmujesz, jest jednym z tych, co prowadzą do kariery... Zamiast wegetować na prowincyi, dostałeś się pan do Paryża, jedynego miasta, gdzie młody człowiek, szczerze, jak pan, uposażony od natury, może zajaśnieć swojemi zdolnościami... Doprawdy skarży się pan jak ktoś, że zanato ładną ma żonę!...

— Niestety! być w Paryżu, to jeszcze nie wszystko, trzeba także móżdż w nim żyć, a życie tu drogie... Nie mam majątku. Może być, że stanowisko moje w ministerstwie zaszczyt mi przynosi, ale w dochodach moich nic się nie zmieniło na lepsze... To, co mam, wystarczało mi na prowincyi, ale w Paryżu, widzę, że nie zejda się końce, i to mnie dręczy...

— Mój kochany — powiada deputowany z uśmiechem współczucia — widzę, że pan nie posiadasz sprytu... Tutaj łatwiej aniżeli gdziekolwiek, człowiek który ma głowę na karku, może sobie dać radę... Naturalnie gołębie nie spadną panu w postaci gotowej pieczeni; ale latają dookoła pana, a zręczny myśliwy powinien je umieć przywabić do siebie i w swoją sieć pochwycić.

— Przyznam się panu, że pod tym względem jestem nowicyuszem... I dlatego właśnie przyszedłem prosić pana o radę.

— Dam panu dwie! — odrzekł des Courtils; — pierwsza, to umieć podobać się ludziom i stworzyć sobie korzystne stosunki, druga jest niejako uzupełnieniem pierwszej — rzucić się w świat i możliwie jak najprędzej bogato się ożenić... Jesteś pan przystojnym

chłopcem, a w Paryżu dosyć jest posagów. Trzeba tylko zręcznie zabrać się do rzeczy: w sentymencie się nie bać, mieć przede wszystkim praktyczną stronę na celu.

— Bardzo dobrze — podnosi zarzut Stefan — ale te zręczne manewry wymagają dużo cierpliwości, a także trochę pieniędzy; trudno rzucać się w świat, mając 2800 franków rocznego dochodu... Co tu robić?

— Rób pan długi — odpiera cynicznie deputowany — a wypłacisz je pan później posagiem swojej żony... To się spotyka codziennie... Nie oplątujże się pan w sieci pajęczce! Ale mam dla pana współczucie i jeszcze raz podam panu rękę... Odkąd wszedłem do Izby deputowanych, nie mogę podołać robocie... Sprawozdania, mowy do wygłoszenia... Mam dzięki Bogu, łatwość pióra i wymowy, ale niekiedy techniczne wyrażenia sprawiają mi trudność, nie wniknąłem jeszcze dobrze w sprawy administracyjne... Otóż, mógłbym skorzystać z pańskich zdolności i pańskiej znajomości prawa... Czy zechce pan zostać moim sekretarzem? Przychodźbyś pan do mnie po biurowych godzinach... Mogę panu za to ofiarować skromne wynagrodzenie; sto franków miesięcznie i obiad a poza tem, pańskie nowe zajęcie ułatwi panu nawiązanie stosunków z wpływowymi ludźmi; dzięki mnie wejdiesz pan do salonów parlamentarnych... Zgoda?

Stefan propozycję przyjmuje z uniesieniem. Widzi się już wprowadzonym w świat najwyższego towarzystwa, pomiędzy prawodawców, którzy trzęsą sprawami publicznymi, i rozplywa się w podziękowaniach.

— Doskonale — woła des Courtils — sprawa załatwiona i rozpocznie pan od jutra!... Na początek będę pana prosił o przejrzenie szkicu interpelacji, z którą zamierzam zwrócić się do ministra oświaty, w kwestyi szerzącego się braku poszanowania religii na uniwersytetach...

I tak Stefan Boussenot został sekretarzem deputowanego z Bas-Cher. Zabiera się z przejściem do roboty i pierwszego zaraz dnia przekonuje się, że jego zajęcie wcale nie jest synekurą. Pan des Courtils zapala się do spraw religijnych, jego wykształcenie jednak nie stoi na wysokości jego dobrych chęci. Projekt interpelacji jest nędznym elukubratem bez ładu i składu, zlepkiem nie-dołączonych frazesów, świadczących o braku znajomości rzeczy. Stefan jest przedewszystkiem zdumiony. Ale, że tu wchodzi w grę jego miłość własna, unosi się ambicją, i dzięki swemu czytaniu, a więcej jeszcze wrodzonym zdolnościom, fabrykuje wcale niezłą mowę, której des Courtils wyucza się na pamięć i wygłasza ją przed forum parlamentu ze znacznym powodzeniem. Nazajutrz, czytając mowę w urzędowym dzienniku, Stefan sam jest zdziwiony siłą swoich argumentów i czuje się przejętym wdzięcznością dla tego polityka, który nietylko, że mu służy za pośrednika w wypowiedaniu prawdy ministrowi, ale jeszcze płaci za to w dodatku.

Pan des Courtils, upojony komplementami członków swojej partii, cieszy się odniesionym sukcesem i zdaje mu się, że to wyłącznie on jest autorem świętej interpelacji. A że jest człowiekiem roztropnym, nie śpieszy się z wprowadzeniem młodego Boussenot'a do tych salonów parlamentarnych, do których wstęp obiecał mu ułatwić. Obawia się jakiegoś nierozważnego słówka, któreby, pozwalając domyślić się zazdrosnym kolegom współpracownictwa Boussenot'a, pozbawiło go całego uroku. Zawód ten jednak stara się wynagrodzić Stefanowi, dbając o jego potrzeby i nie szczędząc mu w cztery oczy pochwał. Drogocenny sekretarz stał się domownikiem w apartamencie przy ulicy Świętego Dominika. Nawet w nieobecności szefa znajduje zawsze w porze obiadowej nakrycie dla siebie. Potrawy są wykwintne a wyborczego wina obfitość. Po obiedzie dele-

ktuje się aromatyczną czarną kawą przed kominkiem, albo, gdy dzień jest piękny, przy otwartem oknie, wychodzącem na ogród. Później zapala wyborne hawanna i w doskonałym humorze zasiada do pracy, przygotowuje sprawozdania przeznaczone do odczytania w komisji, odpowiada na listy interesantom, złote obiecując im góry.

Pewnego majowego wieczora, kiedy w szarej godzinie Boussenot oddaje się marzeniom, oczekując na podanie lampy, otwierają się drzwi poza jego plecami i jakiś głos kobiecy szepce:

— Przepraszam!... Czy mój wuj jeszcze nie wrócił?

Sekretarz się obraca i widzi w szarawem świetle młodą dwudziestoparoletnią kobietę w jasnej, wiosennej toalecie i wytwornym kapeluszu, przybranym fiołkami. Wstaje, składa pełen elegancyi ukłon i odpowiada:

— Pan des Courtils jest w mieście na obiedzie, wróci jednak około dziewiątej, bo razem dziś mamy pracować.

— W takim razie, jeżeli pan pozwoli, zaczekam tutaj na niego.

I bez ceremonii już, zdejmując młodą osobę kapelusza, poprawia sobie włosy przed lustrem i z całą swobodą zasiada na fotelu obok biurka Boussenot'a.

Stefan obserwuje przybyszkę, zajętą zdejmowaniem rękawiczek, przez jakiś czas w milczeniu. Przy resztkach światła dogorywającego dnia wydaje mu się ładną. Zgrabna, smukła brunetka o czarnych, połyskujących z pod spuszczonej rzęs oczach, o białej cerze, delikatnych rysach i wąskich usteczkach z ironicznym trochę uśmiechem w kącikach; lubieżna i równocześnie niewinna, coś w rodzaju niektórych dziewczec Perugin'a.

— Pan jest sekretarzem pana des Courtils? — za-pytuje, chcąc przerwać ambarasujące trochę milczenie.

— Mam ten zaszczyt — odpowiada skromnie Stefan.

— Mój wuj mówi dużo dobrego o panu... Nie może dosyć nachwalić się pańskiej gorliwości... Czy polityka istotnie pana zajmuje?

— Mój Boże!... Staram się przedewszystkiem możliwie najlepiej spełniać przyjęty na siebie obowiązek... A obowiązek ten — dodaje z wyszukaną uprzejmością Stefan — jest mi szczególnie przyjemny, jeżeli jak dzisiaj, pozwala mi przyjmować w zastępstwie pana des Courtils tak czarującego gościa.

»Czarujący gość« spuszcza oczy i robi minkę na pół zdziwioną a na pół złośliwą. Między dwojgiem młodych ludzi zalega znów cisza. Przerywa ją wejście deputowanego, który się usprawiedliwia przed siostrzenicą, że tak długo kazał jej czekać na siebie.

— Och! — mówi siostrzenica — nie miałam czasu niecierpliwic się dzięki panu, który był łaskaw dotrzymać mi towarzystwa.

— Cała przyjemność jest po mojej stronie — odzywa się z ożywieniem Boussonot.

Pan des Courtils spogląda ukradkiem na pałające zachwytem oczy młodego człowieka i niewinnie wyzywającą minę siostrzenicy. Nagle, powstaje w jego głowie myśl o pewnej kombinacji, i uśmiechając się:

— Mój przyjacielu — powiada — przedstawiam panu pannę Nancy de Lisle, moją siostrzenicę... Pan Stefan Boussonot, mój sekretarz... A teraz, kiedy się już stało zadość formalności przedstawienia, zapowiadam ci, moje dziecko, że na święta Wielkanocne pojedziemy do twojej matki, do Meudon, a wtedy będziecie mogli zawrzeć bliższą ze sobą znajomość.



E. U M A N I E C.


 N O C A.
 

(Z rosyjskiego).

Posiedź ze mną, siostró, nie odchodź... — wyszeptał z trudnością ranny żołnierz, nerwowo szukając ręką pod poduszką.

— Posiedzę, posiedzę, tylko leż, nie ruszaj się — uspokojająco powiedziała mu siostra miłosierdzia i zapytała łagodnie:

— Czego ty szukasz?

— List chciałbym jeszcze raz przeczytać...

Siostra wyszukała pod poduszką list, napisany na ćwiartce prostego papieru, tłustem, koślawem pismem, i po raz trzeci zaczęła czytać.

»Drogiemu mężowi Mikołajowi Sawieliczowi od żony Teodozyi z miłością niski pokłon. Jeszcze wam piszę drogi mężu mój, że córeczka nasza Aksjutka nie długo się męczyła. Dwa dni wszystkiego chorowała na gardło, a na trzeci dzień umarła. Wzywałam znachorkę i felczera, ale widać wola Boża — dziecko umarło. A ty nie smuć się, Mikołaju, niema słów, żal, ciągle płaczę, bardzo ucieszna była dziewczeczka, jeść już nawet nie mogę. Jeszcze posyłam wam jednego rubla srebrem; przedzę w mieście sprzedałam i myślę sobie, poszlę mężowi, może jemu w dalekich stronach i tytoniu niema za co kupić. Jeszcze kłania ci się kuma«.

— Ukłonów nie czytaj, siostró — powiedział żołnierz i obrócił się twarzą do ściany.

Lampa świeciła się ciemno pod samą powałą niewielkiej izby na sześć łózek. Wszyscy spali oprócz Mikołaja i siostry miłosierdzia. Młoda jeszcze i ładna, cała



oddana na usługi bliźnim, prawdziwą była przyjaciółką wszystkich chorych, niosąc im ulgę w cierpieniu i tęsknocie za rodziną. Ten blondyn zwłaszcza z amputowaną prawą nogą szczególne budził w niej współczucie. I oto w późną noc, zmęczona, spragniona wytchnienia, uwolniła felczera i siedziała koło młodego żołnierza, odcytując mu list z domu, rozstrajający go więcej aniżeli odjęta noga.

Leżał, nie ruszając się, twarzą zwrócony do ściany, i po lekkim drganiu jego ciała poznała, że płacze.

— Dawno jesteś żonaty? — zapytała, pragnąc wyzwać go na rozmowę i tym sposobem uspokoić.

— Piąty rok — wyszeptał i załkał.

— I dobrzeście z żoną żyli?

— Dobrze... daj Boże każdemu! Ja za nią półtora roku jako robotnik u teścia służyłem. Przykry on, ten teść, srogi starzec, no i bogaty a my biedni. Zawsze chciał córkę za bogatego wydać.

Mikołaj obrócił się twarzą do siostry i mówił już dalej spokojniej:

— Kiedyśmy się pokochali, on widzi, że nic już nie poradzi i mówi mi: ty najprzód weź się do roboty, przekonam się jaki ty człowiek a potem dostaniesz dziewczynę. No i jałem się do pracy z ochotą, wesoło, bo ona ciągle była przy mnie. A żeby tam głupstwa jakieś między nami były — broń Boże! Skończył się termin i pobraliśmy się. Wziąłem ją do siebie; żyje jeszcze moja matka staruszka, i braci jeszcze mam, młodszych odemnie. Rok nie minął i urodziła się Aksiuta. Ucieszne było dziewczętko! My do niej zawsze cudaczek i cudaczek, i została cudaczkiem... I wszystko, bywało, rozumie, jak stara, a z twarzy podobna do matki, z takimi samymi czarnymi oczami... i taka kędzierzawa... Ze mną na ławie i spi, bywało, do matki nie chce iść odemnie. A ot, i niema cudaczka...

I żołnierz zapłakał nie ukrywając już swoich łez.

— Przeszań Mikołaju, nie płacz — powiedziała łagodnie siostra. — Zwiększy się gorączka, dłużej będziesz chorować, a jak będziesz spokojny, to za jakie dwa tygodnie wypiszesz się i pójdziesz do domu. Pomyśl, jak się żona ucieszy.

— Oh siostró — odpowiedział smutnie — niema może minuty, żebym o niej nie myślał... Ale jak ja bez nogi. Czy uwierzysz, siostró, kiedy płynęliśmy w łodziach do Tianzina po chińskiej rzece Piejsze okaleczali i ranni, i kiedy Chińczycy zaczęli do nas strzelać z jednego i drugiego brzegu, to ja sobie myślałem, dałby Bóg, żeby mnie dobili. Ale widać, Bóg tak nie chciał; w dwóch łodziach obok nas dziesięciu rannych dobili, a naszej ani jedna kula nie dosięgła...

Albo znowu w Tianzinie; zdobyli nasi fort i znaleźli tam dużo szarpi i bandażów, i różnych rzeczy do opatrunków; Chińczycy przygotowali to, widać, dla swoich... No, i doktor nasz pozdejmował z nas gałgany, opatrzył, obandażował i kazał rozmieścić rannych po szopach i domach. Sióstr jeszcze nie było, dopiero później przyjechały. Mnie z towarzyszymi położyli w szopie. Nie upłynęła nawet godzina, a tu jak nie zaświszcz granat, jak się nie zakręci, jak nie pęknie wreszcie, tak wszystkich podobijał drzazgami, a ja jeden zostałem przy życiu i zaledwie mi rękę drasnęło.

Wspomnienia te ożywiły żołnierza, zapomniał, zda wało się, na chwilę o swoim własnym cierpieniu. Chcąc podtrzymać w nim ten nastrój, zapytała siostra:

— A cieszysz się, że dostałeś order?

Milczał chwilę, potem odpowiedział w zamyśleniu:

— Zapewne, carska nagroda, wielka rzecz, siostró, tylko mi to dziwno, zaco dają... Ot ja, powiedzmy, z towarzyszymi na przodzie przy dowódcy rotę, i co z tego? Jak to wszystko zakipi, czy ty z przodu idziesz,

czy z tyłu, zapominasz o sobie i myślisz tylko byle bliżej nieprzyjaciela, i nawet wcale ci nie straszno... No, powiedzmy, nogę mi przestrelili na wylot; zarabiałem trzech złotoskórych Chińczyków i dostał mi się krzyż. A dwom żołnierzom, co szli razem ze mną, rozszarpał granat wnętrzości i ducha wyzionęli na miejscu... Jakaż im będzie nagroda? Ja, chociaż kaleka, zawsze wrócę do domu, na krzyż wypłacą sześć rubli miesięcznie, szanować będą i wszystko, a kto życie za ojczyznę oddał — temu nic. To krzywda. Może w domu zostawił żonę, i matkę i dzieci. Która oficerska, czy po jakim wyższym wojskowym wdowa, to ona, mówią, dostaje pensję, a naszej babie nic. Jakże to tak siostró?

Siostra nie odpowiedziała. Wiele trzeba było mówić o miłości ojczyzny i o przysiędze służbowej. Żołnierz był prawym, po swojemu, i zaledwie pojałby jej wywody.

— Rotnemu to samo mówiłem w szpitalu — ciągnął dalej Mikołaj, tym samym tonem rozmyślania — a on mi na to, ot co powiedział: »Poległym w boju królestwo niebieskie i nagroda od Boga«. — Prawda, to wiadomo, Bóg nie opuści, tylko bab żal bardzo, no i dzieci... Z czegoż żyć będą? Nie jedna czeka — czeka na męża, zamęcza się przy robocie, bieduje, a wkońcu zamiast męża pisarz pułkowy list przyśle: zginął, pisze, wasz mąż. Tyle wszystkiego. Nieraz i wcale nie napiszą, i nie wie baba, czy prosić Boga o zdrowie dla niego, czy modlić się za jego duszę. Zapewne, ja człowiek ciemny, dużo rzeczy nie rozumiem, ale sobie myślę, że tak nie powinno być...

Znowu nie odpowiedziała nic siostra, bo trudna była odpowiedź. I jej się zdawało, że nie tak być powinno, a jak — nie umiała powiedzieć.

— No, zaśnij teraz, Mikołaju, niedługo zacnie świtać — rzekła i chciała już wstać z krzesła, kiedy nagle do uszu jej doleciał cichy szept:

— A cudaczek to wziął, ta i umarł...

— Ty znowu o tem myślisz, Mikołaju? — z wyrzutem powiedziała siostra. — Czy nigdy się już nie poprawisz?

— Och, siostró, jakże mam o tem nie myśleć? wyszeptał. — Kiedym szedł na wojnę, myślałem o wojnie, swoich to prawie i żal mi nie było. Daleko oni, i nie spodziewałem się ich zobaczyć. A ot, teraz leżę czwarty miesiąc bez nogi, kaleka, do służby, znaczy, niezdolny, nu ot, i duma się ciągle o domu. Teodozya, tak się zwie moja żona, widzę jak się męczy... Pamiętam, jak raz wybiłem ją za cudaczka. Od urodzenia nie biłem, a tu tak się zdarzyło... Do pieca garczek z kapuśniakiem wstawiała, a maleństwo podeszło do matki, za spodnicę szarpnęło i Teodozya rozlała kapuśniak. Obróciła się i uderzyła cudaczka żelaznymi szczypcami. Zerwałem się z ławki, chwyciłem dziewczynkę na ręce i dalejże bić Teodozyę, z przestachu. Rozpłakała się, a mnie wstyd było i żal, a mówię niby w złości: »Cóż, plecy ci połamam?« — Nie boli, mówi, a przykro... Nie obcy mnie... cudaczek to... Ze zgryzoty, mówi, uderzyłam«.

— I pogodziliście się prędko? — zapytała siostra.

— Zaraz. Nastraszyłem się, że szczypcami okaleczy dziewczynkę, a ona ot, na gardło umarła... I co to za choroba siostró?

— Zapewne dyfterya. Dużo dzieci zabiera... — drżącym i głuchym szeptem powiedziała siostra. — Ot ty męczysz, Mikołaju, i płaczesz, a ja o wiele więcej od ciebie doświadczyłam, a radabym żyć i pożyteczną być ludziom...

Żołnierz wpatrzył się w jej ładną, spokojną twarz, potem powiódł wzrokiem po białym kornecie, przykrywającym jej gładko zaczesane włosy, po szarej sukni z białym fartuchem, po rękach delikatnych, i jego oczy niebieskie zajaśniały podziwem.

— I o tem myślałem, siostrzo, że ty nie przywykła a tak się starasz — odezwał się znów — jeden woła, drugi jęczy, trzeci płacze, a ty wszystkiemu dajesz radę i taka jesteś dobra. A czy płacą siostronom miłosierdzia?

— Płacą, ale ja nic nie biorę. Ja nie z Czerwonego Krzyża; ja z własnej woli.

— Z własnej woli? — zdumiał się. — A jak zabijają?

— To zabijają — odpowiedziała zrezygnowana siostra i uśmiechnęła się — po to szłam. Tylko że szpitale i przenośne lazarety zawsze na uboczu, siostry miłosierdzia i lekarzy rzadko zabijają.

— A w domu, u siebie, zostawiłaś kogo?

— Hm... Nie, nikogo.

Odpowiedziała i drgnęła. Wspomniała o jednym człowieku, dalekim i kochanym: o jego miłości, o prośbach. Serce na chwilę ścisnął ból tęsknoty za drogim człowiekiem, ból pragnienia zobaczenia go. Nie zapomniała o nim ani w lazaretach pod gołym niebem, ani tutaj w szpitalu, w tej izbie z ciemno świecącą się lampą pod powałą i sześciu łózkami, nie zapomniała, bo nie chciała zapomnieć...

— A więc ty sama na świecie?

— Tak — odpowiedziała, doświadczając nagle radośnego uczucia, że to nieprawda, że ona nie sama.

— Dlaczegoż za męża nie wyszłaś. Przykro samej...

— Byłam zamężną, a teraz jestem wdową. Ot, ty płaczesz po swoim cudaczkę, a ja troje pochowałam...

— No?... — zdumiał się żołnierz i z większym jeszcze zajęciem zaczął się wpatrywać w jej twarz.

— Tak — odpowiedziała smutnie — miałam dwie dziewczynki i chłopczyka. Dziewczynki umarły jednego dnia na dyfteryę. Został się pięcioletni chłopczyk. Tak go strzegłam, tak kochałam... W tym czasie była w Petersburgu cholera. Malec był taki zdrowiuteńki, wesoły. Raz, wieczorem, kładąc się spać, skarżył się, że go nu-

dzi, potem dostał wymiotów, chwyciły go kurcze, cały posiniał, a rano już nie żył. Wezwani przezemnie lekarze nie mogli go uratować. Ot, i zostałam sama jedna na świecie.

— A gdzież twój mąż?

— Męża jeszcze na dwa lata przed śmiercią dzieci pochowałam.

— No, i biedna ty, siostró! — z westchnieniem powiedział żołnierz. — I aż tutaj cię bieda zaniósła?

— Nie, nie sama tylko bieda, widzisz — w życiu trzeba kogoś kochać. Człowiek już tak stworzony. Nie powiodło mi się w życiu, wszystko, co miałam, straciłam, a serce zawsze zostało to samo i żyć przecie trzeba. I zrozumiałam wtedy, że dla samej siebie żyć nie dobrze, że wszyscy ludzie bracia, że jeżeli mogę im być pożyteczną, to nie trzeba się od nich usuwać. I ot, skoro to zrozumiałam, pojechałam na daleki wschód nieść pomoc, czem mogę, chorym i rannym, oderwanym od rodzinnej ziemi i rodziny.

— Ty lekarka? — zapytał Mikołaj.

— Nie, nie uczyłam się nawet leczyć, a zapragnęłam pomagać bliźnim i wszystko odrazu pojęłam. I dobrze mi: lekarze ze mnie zadowoleni, żołnierze mnie lubią, i jestem szczęśliwa. I, czy uwierzysz, Mikołaju, dobrego miałam męża, dzieci kochane, a nigdy nie czułam się tak szczęśliwą, jak teraz. Wtedy, smuciłam się, trwożyłam, drżałam o ich życie, a teraz nie mam nic swojego, spokojnie spełniam moje zadanie i widzę, jaki pożytek ludziom przynoszę.

— Już to ty siostró prawdziwa! — odezwał się żołnierz. — Nie tylko jak mówisz, ale nawet jak posiedzisz chwilkę w milczeniu, to tak lekko robi się na sercu. Nie mam nieraz sumienia prosić cię, nie jeden ja tutaj, a bez ciebie tak smutno... Kiedyś czytałaś nam Ewangelię, a ja słuchałem i ciągle myślałem.

— O czem myślałeś?

— A ot, jak Chrystus mówi: bądźcie braćmi i kochajcie się między sobą. Dawniej było mi to do niczego, a jak ty mi opowiedziałaś swoje życie, to widzę, że tak żyjesz, jak Bóg przykazał. U nas na wsi, kiedy pop w cerkwi czyta Ewangelię, nie zrozumiesz wszystkiego i spytać się niema kogo, a ciebie nie boi się człowiek zapytać i powiesz wszystko zrozumiale. Tylko trudno to.

— Co trudno?

— Życ dobrze, żeby i ludziom i Bogu dogodzić.

— Nie tak trudno jak się zdaje, Mikołaju. Każdy robi według sił swoich. Jeden może i musi robić dobrze, a drugi, jeżeli chociaż źle bliźniemu nie robi, to i to już dobrze. Weź chociażby siebie za przykład. Nikt cię nie uczył, ty od sochy poszedłeś do wojska, a już mówisz o sprawiedliwości i zasługom nie przypisujesz znaczenia; widać z tego, że masz dobre serce. A nas dużo uczyli, tylko dobroci mało wiali w duszę, dlatego to każdy więcej myśli o sobie, aniżeli o drugich. Na świecie dużo smutku. Jeżeli się zbliżysz do człowieka, pożałujesz go, pomożesz mu, to przekonasz się odrazu, że ty nie jesteś taki nieszczęśliwy, jak myślałeś, i odrazu lżej ci się zrobi.

— Tak to jest, tak siostró, tylko, czem pomożesz? — poważnie zauważył Mikołaj. — Weźmy samą rodzinę; w kiepski rok to i swoich nie wyżywisz. Jakże tu dać sąsiadowi?...

— Nie o pieniądze tu, mój miły. Ty widzisz, ja pieniędzy nikomu nie daję, bo sama ich nie mam, ale mam siły, zdrowie, miłość i wszystko to oddaję z wielką radością. I nie zastanawiam się, że jeden wart, a drugi nie wart. Wiesz co ci powiem — mówiła siostra dalej drżącym głosem: w moich rodzinnych stronach jest jeden bardzo dobry człowiek i kocha mnie oddawna, i ja go kocham... Kiedy mię Bóg zasmucił, zabierając mi

wszystkie dzieci, człowiek ten nie opuszczał mnie, razem ze mną przeżywał mój smutek. I kiedy wybierałam się tutaj, nie chciał mnie puścić, błagał, żebym wyszła za niego, żebym go nie zostawiała. W chwili rozstania, serce mi się krwawiło, a przecież pojechałam... Widzisz, ja tak sobie powiedziałam: tam, potrzebna byłam jednemu, a tu wielu ludziom; tam kochałabym tylko jego dla siebie, a tu wszystkich kocham. I nie uwierzysz jak lekko mi na duszy; pół roku tu już pracuję, a zdaje mi się, że zaledwie tydzień upłynął. Teraz tu już dużo sióstr miłosierdzia, lazarety urządzone doskonale, i, kiedy wy wszyscy sześciu wyzdrowiejecie i pojedziecie do ojczyzny, i ja wrócę do domu.

— I wyjdiesz za niego? — z żywym zainteresowaniem zapytał Mikołaj.

— Wyjdę... — z pogodnym uśmiechem zasłużonego szczęścia odpowiedziała siostra.

— No, daj ci Boże! — z głębokim uczuciem wymówił żołnierz.

— Dziękuję, mój miły — wyszeptwała. — Nie zapomnę twego serdecznego życzenia. A teraz zaśnij.

Lampa pod powalą zaczęła już gasnąć. Błady świt przebijał się przez okna. Numer piąty stękał przez sen. Siostra przystąpiła do niego, nakryła go starannie kołdrą i cicho wyszła z izby.

Mikołaj odprowadził ją wzrokiem i długo, długo patrzył na drzwi, za którymi znikła. Zasnął, i śniła mu się chata rodzinna, żona, stara matka i pogodna twarz siostry miłosierdzia. A z niebios błękitu wesoło i radośnie uśmiechał się do niego »cudaczek«...

Zasnęła i siostra miłosierdzia na twardej pościeli, podłożywszy pod głowę swoje spracowane ręce. I śniło się jej, że wszystkie cierpienia, wszystkie smutki zatoneły w świetle wielkiej, prawdziwej miłości...





ANDRZEJ DUMAS.

## OBIAD PODPREFEKTOWEJ.

Niezawodnie, młodzianka Zuzanna des Tournelles, która wyszła za Jerzego Chabannes, młodego podprefekta z Villeneuve-sur-Seine, nie objawiała nigdy wstrętu do obiadów, przyjęć i balów, i nie myślała nigdy usunąć się od świata. Gdyby, przypadkiem, rodzice zaproponowali jej byli partyę, któraby jej niezupełnie przypadła do gustu, nie byłaby wcale, za przykładem niewiniątka Molière'a odpowiedziała: »Nie mój ojciec, wstąpię raczej do klasztoru«. Nowe obowiązki podprefektowej, zmuszające ją od czasu do czasu do »przyjęć«, nie zdawały się jej nawet być zbyt nieprzyjemnymi.

A jednak, kiedy młoda para w trzecim tygodniu swego pobytu w uroczym zakątku nad morzem Śródziemnem otrzymała pewnego poranka urzędowy telegram z zawiadomieniem, że jakiś generał z ministerstwa wojny miał się zatrzymać nazajutrz w Villeneuve-sur-Seine i że wypadałoby dać na jego cześć obiad z udziałem wybitniejszych reprezentantów władz, Zuzanna nie mogła ukryć swego niezadowolenia. Przykrością dla niej było nie tylko porzucić tę cudną miejscowość — gdzie tak dobrze im było — ażeby zabrać się do czynnego, regularnego życia; przykreść przede wszystkim sprawiała zakochanym myśl, że obecność tylu fraków zepsuje im pierwszy wieczór u siebie.

Zuzanna szeptała ze smutkiem:

— Jak to długo będzie, trzy godziny bez pocałunku!

Trzeba było jednak być rozsądną. I podczas, gdy Jerzy polecał telegraficznie sekretarzowi podprefektury

zaprosić na obiad przedstawicieli władz, a służącemu poczynić potrzebne przygotowania, Zuzanna pakowała rzeczy, gdyż tego samego jeszcze wieczora trzeba było wyjeżdżać pociągami.

\* \* \*

Poznali się zaledwo przed trzema miesiącami w Paryżu na balu na cel dobroczynny. Zuzanna wbrew wszelkim zasadom, jakie w nią wpajano w klasztorze, przetańczyła trzy walce, jeden po drugim, z jednym i tym samym danserem i upojona trochę muzyką, powiedziała mu z zachwycającą naiwnością:

— Ja nazywam się Zuzanna des Tournelles. A pan jak się nazywa?...

Zawarto wkrótce bliższą znajomość. I teraz, nie przyzwyczajeni jeszcze żyć jedno obok drugiego, budzili się uszczęśliwieni, że to wszystko nie było snem, zdziwieni jeszcze i zachwyceni, że byli razem...

\* \* \*

Kiedy nazajutrz przybyli do Villeneuve-sur-Seines, pociągami o piątej minut czterdzieści ośm, powóz podprefektury czekał na nich na dworcu. Znalazszy się u siebie, Zuzanna, nie zdejmując nawet kapelusza, pobiegła do jadalnego pokoju, chcąc z obowiązkami pani domu zapoznać się jak najprędzej.

Stół, nakryty już, zajmował prawie całą długość pokoju. Nie był to mały stoliczek na dwoje, o jakim marzyła w dniu powrotu z poślubnej podróży! Na białym stole wszystko było przygotowane: talerze, duże i małe kieliszki, kandelabry i kwiaty. Na talerzach, oparte o poustawiane w stożki serwety, karnety wskazywały gościom przeznaczone dla nich miejsca...

Pani Chabannes... pan generał z ministerstwa... pan inżynier dróg i mostów... pan prokurator Rzeczypospo-

litej... pan poborca podatków... pan podprefekt... pan komendant żandarmeryi... pan prezydent trybunału...

I młode małżeństwo spoglądało smutnie na miejsca, które mieli zająć naprzeciwko siebie, rozdzieleni całą długością stołu. Kosz z kwiatami nie pozwalał im nawet widzieć się.

\* \* \*

W tej chwili sekretarz podprefektury przyszedł powiedzieć, że poborca podatków wyjechał wczoraj w sprawach urzędowych i nie będzie mógł być na obiedzie.

— To dobrze — rzekł podprefekt. — Trzeba usunąć jego nakrycie.

I dodał, zwracając się do żony:

— A teraz niema ani minuty czasu do stracenia. Chodźmy się przebrać.

Musieli się śpieszyć, żeby ich goście nie zastali nieprzygotowanych. Nie można było o głupstwach myśleć. Nawet na niewinny pocałunek, mimochodem, w ramię, nie można było sobie pozwolić. Jerzy dzielnie się trzymał. Potrafił oprzeć się wszelkim pokusom i pozwolił żonie ubrać się spokojnie w ładną, nową suknię, całkiem białą, trochę wydekoltowaną, nie zanadto, jak wypadało na ceremonialny obiad.

Wtem, Jan, służący, zapukał do drzwi.

— Mów — powiedział podprefekt.

— Pan prezydent trybunału kazał oświadczyć panu prefektowi, że pani prezydentowa jest cierpiąca. Pan prezydent prosi, żeby pan prefekt zechciał mieć go za usprawiedliwionego...

— Zabierz jego nakrycie.

I kończyli swoją toaletę z całym pośpiechem. Zegar wskazywał siódmą godzinę.

— Śpiesz się — rzekł Jerzy. — Zaraz tu będą... zdaje mi się nawet, że ktoś dzwoni.

Ale to był listonosz. Jerzy zeszedłszy na dół, zastał list zaadresowany dobrze mu znanem pismem inżyniera:

»Mój kochany Prefekcie!

Przykro mi bardzo, że nie mogę korzystać z Twojego uprzejmego zaproszenia. Ale szef mój wezwał mię do siebie na wieczór. Sprawa pilna. Wybacz. Do widzenia. Twój oddany...

Piotr Bory«.

Stół zmniejszył się już. Wyjęto jedno przydłużenie. Trzeba było znów zebrać jedno nakrycie.

\* \* \*

Czas upływał. Jerzy poszedł do salonu, gdzie także wkrótce cała szeleszcząca w nowej sukni, zjawiała się Zuzanna. Spaźniali się goście. Tem lepiej!

Mogli sobie usiąść trochę i wypocząć, a że byli sami, młodzianka podprefektowa, zapominając o powadze pani domu, usadowiła się na kolanach męża i złączeni serdecznym uściskiem, zamienili długi pocałunek zakochanych.

Zuzanna zerwała się raptownie.

— Bacność! Ktoś idzie!

Wszedł woźny podprefektury, przynosząc telegram na srebrnej tacy.

»Komendant żandarmeryi do podprefekta Ville-neuve-sur-Seine. Wielka kradzież w sąsiedniej gminie. Zmuszony natychmiast przeprowadzić śledztwo. Proszę mnie mieć za wytłumaczonego«.

— Wszyscy nas zawodzą! — zawołał Jerzy — Fiasco zrobimy z naszym obiadem. Zostało już tylko dwóch gości: generał i prokurator.

A Zuzanna myślała, nie śmiać mu powiedzieć:

— Gdyby tak i tych można odprosić.

Siedzieli oboje zamyśleni, nic do siebie nie mówiąc. Wśród ciszy salonu słychać było tylko tykanie ścien-

nego zegara. Nagle w przyległym korytarzu rozległ się głos dzwonka telefonu. Jerzy pośpieszył a Zuzanna podchwytowała urywki rozmowy!

— Hallo... Hallo... Ach... to pan, panie prokuratorze... Tak, dziękuję, a pan... Bardzo przyjemna podróż... Jakto! nawet wieczór ma pan zajęty... Bardzo mi przykro!... Proszę mi wierzyć, że... Do widzenia, do widzenia!...

Wrócił podprefekt, wołając:

— To prokurator usprawiedliwia się także, że nie będzie mógł przybyć!

\* \* \*

Sytuacja stawała się zabawną, zapewne, ale także ambarasującą. Co pomyśli generał, zobaczywszy, że nie ma nikogo na obiedzie, na jego cześć wydanym? Czy uwierzy w szczerść wszystkich tych wymówek. Podprefekt zaczynał być w kłopotcie.

Zuzanna prawie na pewno oczekiwała jeszcze jednej depechy. Od czasu do czasu nadśluchiwała: »Czy nie dzwonił telefon?... Zdaje mi się że słyszałam... Ale telefon milczał uporczywie. Otworzyły się drzwi. Ukazał się generał.

Sympatyczna była powierzchowność tego generała. Wyprostowany, czerstwy jeszcze, rzeźko nosił swoje lat sześćdziesiąt. Pomimo przenikliwych oczu, do góry podkręconych wąsów i brwi krzaczastych, twarz jego wyrażała uprzejmość i serdeczność. W całym jego zachowaniu, w ruchach, głosie, było coś pocziwego, prawie ojcowskiego.

— Jesteśmy zrozpaczeni, panie generale — rzekł Jerzy. — Proszę sobie wyobrazić, co nam się stało... To nie do uwierzenia... Wszyscy zaproszeni przez nas...

Generał uprzejmie wysłuchał go, a później, uśmiechając się, rzekł:

Otóż przyszedłem do państwa, ażeby wam podziękować... osobiście i przeprosić. Byliście bardzo dla mnie łaskawi i prawdziwie wzruszony jestem waszą gościnnością. Zaledwieście wrócili z waszej poślubnej podróży, i to dla mnie przyspieszyliście wasz powrót... Wierzcie mi, że bardzo mi przykro... tembardziej, że, mówiąc otwarcie, nie jestem zwolennikiem wielkich obiadów... Zupa na wieczór, nigdy więcej. W moim wieku to zupełnie wystarczające. Pozwólcie też pożegnać się. Jutro o świcie muszę wyjechać na przegląd wojska. Wy również zmęczeni, całą noc spędziwszy w wagonie, potrzebujecie spoczynku. Nie zatrzymujcie mnie... Do widzenia, moje dzieci...

— Ależ panie generale, to niemożliwe — odezwał się Jerzy. — Bardzo prosimy nie odmawiać nam tego zaszczytu...

— Prosimy nie pozbawiać nas tej przyjemności, nalegała Zuzanna.

Nie dał się generał uprosić.

— Żegnam was, moje dzieci. Idę...

\* \* \*

Kiedy Jerzy z Zuzanną weszli do jadalnego pokoju, nakrycia gości poznikały wszystkie, jedno po drugim. Nie było już dużego stołu, przygotowanego na obiad uroczysty, tylko mały biały stolik, przybrany kwiatami, jeden z tych stolików, przeznaczonych na kolacze sam na sam, tak wąski, że nad nim spotykały się usta, jeden z tych stolików, jakby stworzonych dla zakochanych.

— A teraz — zawołała Zuzanna — chodźmy jeść... Jestem głodna, jak nigdy.

Zasiedli tedy do stołu. Jan podał *menu*. Podprefekt rozkazał.

— Podaj raki, od nich zaczniemy. Odkorkuj butelkę szampana.

A widząc, że świeże, różowe usta Zuzanny zdawały się oczekiwać na pocałunki: dodał:

— Można potem odejść do kredensu, zadzwonimy na ciebie, gdy będziesz potrzebny.



M. T I M K O W S K I.

## NIEMA KIEDY.

Stupin przyszedł z urzędu do domu i zasiadł do obiadu. W jego kawalerskiem mieszkaniu było, jak zwykle, grobowo cicho; blacha tylko syczała w kuchni i od czasu do czasu wzdychała głośno Matrena.

Stupin siedział w ponurej zadumie. Prawdziwego apetytu nie miał i apatycznie przeżuwał ozór, ulubioną potrawę Matreny, którą szkaradnie przyrządzała.

Załatwiwszy się z ozorem i ciągle jeszcze czując niemiły smak w ustach po tej potrawie, Stupin usiadł na fotelu i zaczął czytać gazetę: »Sułtan wydał irade... Meeting w Liwerpolu... Nieurodzaj... nieurodzaj... nieurodzaj... Wczoraj odbył się pierwszy seans gry w szachy... Wystawa drobiu... Podrzucone dziecko... jeszcze podrzucone dziecko... Wykrycie kradzieży... Zaczadzenie... Bal w klubie szlacheckim... Fałszywa kryda... Bal perkalikowy... Otwarcie klubu... Zniesławienie... Straszny pożar... Fałszywa kryda... Bankructwo... bankructwo«...

— Faj!

Stupin odrzucił gazetę, zapalił papierosa i powiedział sobie:

— Trzeba się zorientować.

Ale mu jakoś nie szło: sułtan plątał się z nieurodzajem, bale — z kradzieżami, meetingi — z podrzuconymi dziećmi, a nad tem wszystkim unosił się swąd. Do tego przyłączyły się liczne nieprzyjemności, różne wątpliwości, nieporozumienia i wszystko to wzięte razem wytwarzało w Stupinie uczucie, które on nazywał »niestrawnością duszy«.

— Et, do diabła wszystko! Spróbuję zasnąć — mruknął do siebie i położył się na sofie.

Ale sen nie przychodził, Stupin drzemał tylko i zdawało mu się, że siedzi jeszcze za stołem i przeżuwa wstrętny ozór.

— Obrzydliwe! — mruknął i nie otwierając oczu, przewrócił się na drugi bok.

Straszne niedorzeczności płaczą mu się po głowie; to jest wynalazcą elektrycznego bufetu, z którego po szynach wysuwają się najrozmaitsze potrawy, to buduje okręt, na którym można i pod wodą pływać i w powietrzu latać i po ziemi jeździć...

— Nie, to niemożliwe! — rzekł głośno Stupin, zeskakując z sofy. — Trzeba gdzieś iść... Konieczna tu serdeczna rozmowa, bo inaczej zeżre cię handra.

Puścił się do Pryskuczewa i zadzwonił u podjazdu, gdzie przybite były obok siebie dwie miedziane tabliczki z napisami: »Adwokat przysięgły Waleryan Mikołajewicz Pryskuczew« i »Dr Nina Iwanówna Pryskuczewowa«.

— Waleryan Mikołajewicz jeszcze nie wrócił — powiedziała Stupinowi fertyczna, wystrojona pokojówka. — Dawno już czekają na nich klienci; powinien już wkrótce nadjechać.

W tej chwili zatoczył się na podjazd powóz, z którego wyskoczyły okazały blondyn w modnym płaszczu.

— W głowie się kręci! — powiedział, wpadając do przedpokoju i podając po drodze rękę Stupinowi. — Dopiero ze sądu... Od rana jak zagorzały.



— Czeka ją na pana...

— A diabli... Muszę na kolej, jadę do Władimira — tłumaczył Stupinowi. — Zaczekajcie chwilę, ja zaraz, zaraz...

Rzucił na ręce pokojówki płaszcz i został we fraku z adwokacką odznaką.

— Prostu nie wyłażę z fraka... Pociąg odchodzi o szóstej; żeby się tylko nie spóźnić...

— No, to ja innym razem, kiedyś...

— W tej chwili się załatwię... Wy tymczasem z żoną... Pani w domu?

— Przyjechała i znów pojechała. Mają powrócić na obiad.

— Więc wy tymczasem z żoną... Ja zaraz...

Pryskuczew zniknął w drzwiach gabinetu i Stupin słyszał dochodzący stamtąd jego dźwięczny, uprzejmy z przyzwyczajenia głos:

— Tysiąc razy przepraszam! Zatrzymali mnie w sądzie... My z wami zaraz, zaraz...

Rozległ się turkot zajeżdżającego powozu, a potem energiczne dzwonięcie.

— Ot i pani przyjechała — powiedziała pokojówka, przebiegając prędko koło gościa.

Stupin przeszedł do jadalnego pokoju, gdzie oczekując na obiad, siedziały dwie ładne, rumiane dziewczynki z guwernantką, osobą nieokreślonych lat, sztywną i figurą swoją przypominającą osę. W ślad za Stupinem wleciała, jak huragan, Nina Iwanowna, w palcie, w kapeluszu na głowie, z niewielką torbą w ręku, z czerwoną z gorączkowego ożywienia twarzą.

— A! — zawołała wesoło, ściskając w przelocie rękę gościowi. — Wyleźliście ze swojej gawry?

Następnie pochwyciła swymi silnymi rękami jedną córkę po drugiej, podniosła je w górę i wyczuła serdecznie.

— Jak się masz kotku! Jak się masz Sniegurka! Jak się macie freilein... A z wami co słyszać? — zapytała Stupina.

— Ot ja, wiecie...

Ale Pryskuczewowa już znikła i słysząc było jej świeży głos z trzeciego pokoju:

— Przyjechałam tylko wziąć instrumenty i zaraz znów uciekam... Masza! Masza!

— No, cóż, kwasicie się zawsze? — zapytała Stupina, przebiegając w podskokach przez jadalny pokój.

— Tak ja, wiecie. Nina Iwanowna...

— Tak?

I znów wybiegła.

— Ciągłe się trapiacie? — rzekła, zjawiając się ponownie w jadalni. Mówiłam wam już tysiąc razy...

— Co takiego?

Ale już jej nie było; a za chwilę ukazała się trzymając w ręku szkatułkę z instrumentami.

— Niema kiedy zjeść obiadu — mówiła, biorąc śpiesznie na widelec kawałek śledzia. Nieprawidłowy poród i różne komplikacje (guwernantka poczerwieniała). Freilein, wy już bezemnie zjedzcie obiad... No, dzieci, ja niedługo wrócę. Całujcie mnie... Nie grymasić, nie kaprysić... Teodorze Stefanowicz, zostańcie na obiedzie bez ceremonii z dziatwą... No, na mnie konie czekają...

— Nie, przecież ja, właściwie...

Ale Pryskuczewowa, uściskawszy mu na pożegnanie rękę, wyszła już z pokoju.

— Mąż, zdaje się, w domu — woła jeszcze z gan ku. — Teodorze Stefanowicz, mąż w domu!

Stupin wyszedł za gospodynią; równocześnie Pryskuczew wyprowadzał już swoich klientów.

— Stanowczo, stanowczo — powtarzał, chcąc się ich jak najprędzej pozbyć. — Bądźcie spokojni. Do widzenia. Wszystkiego dobrego, Masza, przeprowadź.

— Uf! — odsapnął, biorąc pod rękę Stupina i ciągnąc go nazad do jadalni. — A żona pańska jeszcze nie przyjechała?

— Nie, ona już...

— Znowu pojechała? Dawajcie, napijemy się chociaż wódki; obiadu nie zdążę zjeść.

Dzieci siedziały za stołem; guwernantka rozlewała zupę na talerze. Pryskuczew wypił kieliszek wódki i zakąsił śledziem na widelcu.

— A wy co?

— Nie, ja już dawno...

— Po obiedzie? Szczęśliwiec!... Darujcie, ale do-  
rożka czeka!

Pryskuczew teraz popatrzył na zegarek i złapał się za głowę.

— Aj, aj, aj, spóźnię się! No leczę... Nie zapominajcie o mnie, proszę was... Jak będę tylko trochę wolniejszy... Przyjdźcie we czwartek. Nie, we czwartek jestem zajęty... W piątek? W piątek także jestem zajęty... Lepiej w niedzielę... Chociaż w niedzielę muszę jechać do Rostowa. No, jednym słowem, przychodźcie... Bardzo będę rad. Wy gdzie teraz? Może ja was podwiezę.

— Doprawdy, nie wiem... Może podjadę kawałek do Kołobowów?

— Doskonale! Podwiezę was do rogu.

Na rogu Stupin wysiadł z powozu i skierował się do Kołobowów.

— U was goście, czy co? — zapytał pokojówkę, zobaczywszy cały przedpokój zawieszony płaszcami.

— Tak, w gabinecie siedzą.

Weszła żona Kołubowa, wiecznie cierpiąca na zęby; trzymała się za twarz i mówiła postępując:

— Słyszę z salonu znajomy głos... Witam, Teodorze Stefanowicz. Dlaczego tak dawno nie byliście u nas?

— Zęby bolą?...

— Och, zęby!... Wasia zajęty, u niego odbywa się narada... Och!

— To ja kiedyś innym razem...

— Nie, dlaczegoż... Lubasza, powiedz Wasylowi Filimonowiczowi...

Lubasza poszła do gabinetu, skąd przez uchylone drzwi dochodziły głosy sprzeczki; rozprawiano o cegle i słowo »cegła« unosiło się w powietrzu.

— Proszę do salonu... Och...

Przez ścianę w salonie usłyszał Stupin jakiś niezajomy mu głos, jakby płaczący, czy jęczący.

— Co to? — zapytał przestraszony...

— To — córka...

— Także zęby?!

— Jakie zęby! Ona uczęszcza na kurs dramatyczny... Oh...

— Pan zaraz przyjdzie — oznajmiła Lubasza.

Wasył Filimowicz wszedł podniecony i jakoś śmieźnie mrugający.

— Cieszę się, cieszę! — mówił ściskając rękę Stupina z roztargnieniem. — A u nas narada: budujemy dom z taniemi mieszkaniami; ale to sekret do czasu... Spółka, spółka...

Biegał tam i nazad po pokoju, zacierając nerwowo ręce i przysłuchując się głosom dolatującym z gabinetu. W powietrzu nie przestawała unosić się cegła.

— Nie będę już przeszkadzał — rzekł Stupin.

— Ależ posiedź!

— Nie, niepotrzebni wam goście; Nadzieję Jegorównę zęby bolą, ty... Ja już kiedyindziej.

Stupin pożegnał się prędko i gospodarz z wdzięczności za to uściśnął mu rękę aż do bólu.

— Ty, bracie, zawsze o duszy, a my więcej o cegle — mówił, wyprowadzając gościa do przedpokoju i chcąc żartem złagodzić niezręczność.

Na ulicy Stupin spotkał się z Trubarowem, maleńkim, zwawym człowieczkiem, który szedł z zafrasowaną twarzą, założywszy ręce na plecy i przebierając prędko nogami. Trubarow w tej chwili chwycił go za klapę palta i wysypał w krótkim czasie taką masę słów, że Stupin stał, jak oszołomiony.

— Dokąd? W interesie? W jakim interesie? Cóż to ciebie nigdzie nie widać! Zalażł niedźwiedź do gawry i łapę liże! Czytałeś moją ostatnią broszurę? Nie? Żałuj... Udało mi się tam, zdaje się, wysmagać tego i owego. Ale ty pewnie nic nie czytasz? Leżysz wiecznie na sofie? Tak, bracie, nie można!... Człowiek z djabelskimi zdolnościami — i leży, Kwietyzm, bracie, inercya!... Ach, leżyboku, leżyboku!... No, a ciągle biegam, ciągle mówię... Trzeba myśl budzić... Kiedy ty się otrząśniesz ze swojej bezwstydney spiączki? No, do widzenia... Ja tam kiedyś wpadnę do ciebie... A broszurę przeczytaj!...

I Trubarow podreptał dalej, zostawiając ogłupiałego Stupina. Koło niego przemknął na welocypedzie kolega biurowy Protopopow i przesłał mu pocałunek w powietrzu.

— Stój! — krzyknął Stupin.

Ale Protopopow, zgiąwszy się w kabłąk i przebierając pracowicie nogami, był już daleko.

— A, zapadnijcież się wszyscy! — zaklął Stupin.

Idąc dalej ulicą, zobaczył Izwolina, trzęsącego się dorożką.

»Ot, z kim dobrze będzie porozmawiać!« — uradował się Stupin.

— Pawle Mikołajewicz! — zawołał donośnym głosem na Izwolina, który jak pijany kiwał się całym korpusem w dorożce.

Izwolin drgnął, przebudzony z drzemki i zatrzymał dorożkarza.

— A ja, dalibóg, zasnąłem właśnie — rzekł, witając się ze Stupinem i spoglądając na niego mętnymi oczami. — Lekcyje, posiedzenia, narady, komisye, komitety... O jednym tylko marzę: kiedy mi się nareszcie uda wyspać? W parni dwa miesiące nie byłem!... Nie zatrzymujcie mnie już. Dziś walne zgromadzenie, na którem z pewnością zasnę... Ot, jak pospycham z siebie te kłopoty, to my z wami... Ale teraz... No, jazda, bracie, jazda!... Do widzenia!...

— Fuj, djable! — rzekł Stupin, przeprowadzając wzrokiem dorożkę. — Do Kuźmińskich może wstąpić, albo co?

Wziął dorożkę i pojechał do Kuźmińskich. Znowu źle trafił; we wtorki u Kuźmińskich wintowali. Gospodyni nie było w domu; wyjechała na posiedzenie psychologicznego Towarzystwa słuchać referatu o »zasadach moralności«. Sam Kuźmiński stał za plecami otyłego pułkownika i zaglądał w karty; wint był z »wychodzącym« i gospodarz czekał na kolej.

— Ba! — przywitał Stupina. — No, jakże tam? Życie? Zdrowi? Chodźmy do pokoju, pogadamy.

Zaprowadził Stupina do jadalnego pokoju, gdzie stał samowar, nalał mu herbaty i zaczął wypytywać.

— Tak... zatęskniłem — mówił Stupin, popijając herbatę. — Smutno jakoś na duszy... niepokój jakiś...

— Tak, tak, to i ze mną bywa...

— Przed oczami zupełnie jak kalejdoskop: pstro, bez związku...

— Tak, tak, zupełnie jak kalejdoskop.

— Czujesz nareszcie potrzebę wydobyć się z tego chaosu, pokrzepić się czemś...

— Tak jest, pokrzepić się!

— No i chce się z kimś pogadać serdecznie, dokopać się, że się tak wyrażę, do samego korzenia, dowiedzieć się, dokąd my nareszcie idziemy?

— Tak, tak, to właśnie: dokąd my idziemy?

— Piotrze Iwanowicz, chodź, dajesz karty! — rozległ się niecierpliwy głos z salonu.

— No, otóż widzicie... otóż... Co tu poradzisz? — rzekł Kuźmiński, rozkładając ręce. — Zaraz wam tu pułkownika przyślę; on wychodzi...

— Nie, nie... ja właściwie także nie mam czasu — skłamał Stupin. — Lepiej już kiedyś innym razem.

— Piotrze Iwanowicz, czekamy! — rozległ się znów więcej jeszcze niecierpliwy głos...

Stupin uciekł, nie dopiwszy herbaty.

— Stanowczo nie wiesz, gdzie pójść — mruknął, wyszedłszy na ulicę i zaczął myślał przebiegać znajomych: — »Może do Szapkina? Nie, on zaraz wyssie duszę twoją, jak pajak, wypyta się dokładnie o wszystko, rozłoży wszystko u siebie w głowie po różnych komórkach i zostanie po dawnemu nieczułym... Staruszek Uranosow już znośniejszy, to tylko źle, że lubi szczegółowo opowiadać o swoim reumatyzmie, i przytaczać najświeższe anegdoty o Iwanie Andrzejowiczu Kryłowie... Nie, zajdę ja do Szełuchina; nie jest on sympatyczny, to prawda, ale przecież podobny na człowieka. Przynajmniej nie zajęty po uszy, i to dobre«.

Szełuchin, starszy człowiek, w aksamitnym surducie, przyjął Stupina otwartymi rękami.

— Kogo ja widzę! Ach kochany, właśnie was potrzebuję! Zapomnieliście o starym!... No, opowiadajcie, co się z wami dzieje?

— Handra jakaś gnębi mnie ciągle.

— Co wy, Bóg z wami! Pracować trzeba, działać... Co wam się stało?

— Niestrawność duszy.

— Ha, ha! No, mówcie, mówcie...

Niespodziewanie, Stupin znalazł współczucie tam, gdzie się go najmniej spodziewał. Zdziwiło go to

z początku, potem wzruszyło i spowiadał się z coraz większym przejęciem.

— Kochany mój! — zawołał rozrzuwiony w końcu Szełuchin, kładąc rękę na jego ramieniu. — Napiszcie fejletonik!

— Co?

— Ot, wszystko to, coście tu mówili, przelejcie na papier. Napiszcie jakie trzysta — czterysta wierszy. Zróbcie to dla mnie, kochany, pocieszcie starego!

— Co za niedorzeczność! — rzekł Stupin, zbity z tropu.

— Alboż wy nie wiecie? Przecie ja zabieram się do wydawania gazety.

— Wy?!

— Tak, tak... Ot zaraz idę do drukarni. Wkrótce pierwszy numer wyjdzie. Poważna gazeta... z takim liberalno-konserwatywnym kierunkiem... tak, z kierunkiem... Kłopotu teraz po uszy; po nocach nawet pracuję. Napiszcie, kochany! Po piątku od wiersza — dodał ciszej. — Ale darujcie gołąbku, zagadałem się z wami, a muszę do drukarni... Czekam na fejletonik — krzyczał za odchodzącym Stupinem. — I jeszcze co, kochany: czy nie napisalibyście artykułiku o elektrycznych kolejach, ha? Co wam to szkodzi? A byłoby bardzo na czasie...

— Tfu! plunął Stupin, wyrwawszy się od Szełuchina.

Nie wstępując nigdzie więcej, wrócił do domu i zaczął już zdejmować palto, kiedy naraz błysła mu myśl:

— Matrena! — zawołał gniewie. — Daj mi bielinę: pójdę do parni!





## SPIS RZECZY.

	Strona
<i>Anatol France.</i> Gwardsista . . . . .	5
<i>F. Brady.</i> Senszacya (z angielskiego) . . . . .	11
<i>Andrzej Theuriet.</i> Chanteraine . . . . .	16
<i>Antoni Csechow.</i> Przykrzy ludzie . . . . .	22
<i>Paweł i Wiktor Margueritte.</i> Okup (30. października 1870 roku) . . . . .	32
<i>Henryk de Forge.</i> Ciotunia . . . . .	44
<i>Maksym Gorkij.</i> W stepie . . . . .	50
<i>Paweł Bourget.</i> Wódz . . . . .	65
<i>K. Timkowski.</i> Daleki krewny (z rosyjskiego) . . . . .	75
<i>Paweł Gruyer.</i> Straszny bohater . . . . .	82
<i>Antoni Csechow.</i> Dramat (z rosyjskiego) . . . . .	89
<i>Edmund Frank.</i> Przez telefon . . . . .	95
<i>K. Timkowski.</i> Kunktator (z rosyjskiego) . . . . .	102
<i>G. de Maupassant.</i> Menuet . . . . .	111
<i>Audrzej Theuriet.</i> Macierzanka . . . . .	116
<i>G. de Maupassant.</i> Złodziej . . . . .	123
<i>Paweł i Wiktor Margueritte.</i> Słomiany człowiek . . . . .	128
<i>M. Ritland.</i> Zasądzony (z holenderskiego) . . . . .	133
<i>Antoni Csechow.</i> Potwarz . . . . .	141
<i>M. Level.</i> Kłusownik . . . . .	146
<i>F. Wrede.</i> Siostra troska . . . . .	151
<i>Eugeniusz Fourier.</i> Ubezpieczenie od ognia (humoreska) . . . . .	156
<i>Ch. Esquier.</i> Wielki Książę . . . . .	162
<i>Iwan Wasow.</i> Dziad Joco patrzy (wolny przekład z bułgarskiego) . . . . .	166
Dwie poczwary (humoreska) . . . . .	173
<i>Remy Saint Maurice.</i> Dezerter . . . . .	177

<i>René Maiseroy</i> . Rozgrzeszenie . . . . .	191
<i>Eugeniuss Czirikow</i> . Bodak (bajka) . . . . .	196
<i>Pawel i Wiktor Margueritte</i> . Mój pierwszy . . . . .	203
<i>N. A. Lejkin</i> . Polowanie na zięcia (hmoreska) . . . . .	208
<i>A. Baumberg</i> . Ostatni, najlepsi (humoreska) . . . . .	216
<i>Andrzej Theuriet</i> . Na drodze do karyery . . . . .	222
<i>E. Umaniec</i> . Nocą (z rosyjskiego) . . . . .	228
<i>Andrzej Dumas</i> . Obiad podprefektowej . . . . .	237
<i>M. Timkowski</i> . Niema kiedy . . . . .	243

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN



# Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Ceny w Koronach.

- Balcer Oswald Dr.*, prof. Uniw. lwowskiego. **Genealogia Piastów**. Kraków 1896, 4-o, str. 574. 20—
- Barabasza Stanisław*. **Ornament płaski na pomnikach krakowskich z XV i XVI w.** (Wydawnictwo subwencyonowane przez komisję dla spraw przemysłowych)-Trzy poszyty w folio, (75 tablic wraz z tekstem objaśniającym) po . 24—
- Birkenmajer*. **Mikołaj Kopernik**. Studya nad pracami Kopernika i materiały biograficzne, obszerny tom in 4-to z kilkudziesięciu rycinami i podobiznami 20—
- Bobowski Mikołaj*. **Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI w.**, z 6 tabl. Praca odznaczona nagrodą Akad. Umiej. 7—
- Bobrzyński Michał i Smolka St.* **Jan Długosz**, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie. W 4-ce 6—
- (Rzecz źródłowa na podstawie najnowszych badań, pisana stylem tak pięknym, iż czytać ją można jak najciekawszą powieść).
- Brzozowski Fr.* **Korab. Przysłowia polskie**. W 4-ce. . . . . 2-60
- Brückner A. Dr.* **Taniec Rzeczypospolitej Polskiej**, szkic historyczny z 2-ma rycinami 1-20
- Ciechanowski St. Dr.* **Dżuma**, zapobieganie i leczenie . . . . . —80
- Codex diplomaticus** Universitatis studii generalis-Cracoviensis, Pars 5, ab anno 1549 usque ad annum 1605, obszerny tom in folio . . . . . 8—
- Poprzednio wydane 4 tomy in folio . . . . . 4—
- Czerkowski Włodzimierz Dr.*, prof. Uniw. **Wielkie gospodarstwa**, ich istota i znaczenie . . . . . 3—
- **Teorya czystego dochodu z ziemi** . . . . . 2-40
- Finkel L. Dr.*, prof. Uniw. **Bibliografia historii polskiej**, część II, zeszyt III (obejmuje bibliografię prawa i ekonomii, cywilizacyi, kultury (szkolnictwa) i literatury polskiej) 3-60
- Poprzednio wydany obszerny tom I kor. 12. Tom II, zeszyt 1—2 7-20
- Fischer Zygmunt*, c. k. inspektor rybactwa krajowego. **Przewodnik rybacki** dla właścicieli i dzierżawców rewirów rybackich, str. 56 z tablicą 1—
- Frank Dr i Sorauer Dr.* **Choroby roślin**, wskazówki praktyczne w celu poznania chorób i środków zaradczych, z 44 rycinami i 6 tabl. kolor. 3-60
- Golian Zygmunt ks.* **Listy**, serya I 3—
- Gołba Franciszek ks.* **Sześć pieśni biblijnych**, w przekładzie polskim z komentarzem 2—
- Górski Antoni*, prof. Uniw. Jagiellońskiego. **Warunki gospodarcze dzierżaw angielskich** 1-20
- Grabowski Bronisław*. **Krzysztof**, tragicomedia żakowska . . . 1-60
- **Noc dwóch wieków**, poemat . . . . . —80
- Grabowski Tadeusz Dr. A. Dumas syn* i współczesny teatr francuski . . . . . —80
- **Wiktor Hugo i jego korespondencya** 1-20
- Homera Illada**, przełożył wierszem miarowym *Paweł Popiel*, b. prof. szk. głównej warsz. . . . . 2-40
- Herold Polski**, czasopismo illustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce Rocznik I, k. 16— Rocznik II. 10—
- Karbowiak Antoni Dr prof.* **Krakowska szkoła katedralna w wiekach średnich** 1-20
- **Szkoły dycjezyi chełmińskiej w wiekach średnich** . . . . . 3—
- Karłowicz Jan*. **Słownik gwar polskich**, tom I, A—E, tom o 459 str. 10—
- Kętrzyński W. Dr.* **O Stowianach** mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salsą i czeską granicą, z 7 mapami . . . . . 3—
- Kluczycki Stanisław*. **Niebo i ziemia**, pogadanki popularno-naukowe w 4-ce, str. 520 w wykwintnej oprawie . . . . . 24—

**Gebethner i Wolff w Warszawie.**

1. Komis. warsz.

## Ceny w Koronach.

Pogadanki te zawierają zestawienie tego, co się mówi w kółku przyja-  
ciół przyrody w ogólniejszem znaczeniu. — Tekst ilustruje kilkaset rycin  
liczne chromolitografie, tablice sferyczne i 1 heliogravura.

*Kluczycki Stanisław. Świat napowietrzny.* Dwanaście pogadanek, wyda-  
nie wykintne z 11 rycinami . . . . . 3—

— *Mrówki.* Sześćnaście pogadanek, bardzo ozdobne wydanie z 40 pięknymi  
rycinami . . . . . 2-80

*Kowarzyk Hugo,* inspektor kopalni. *O nowych urządzeniach podziemnego  
wywozu węgla w Jaworzniu, z 2 tablicami* . . . . . 3—

*Kutrzeba Stanisław Dr. Sądy ziemskie i grodzkie w wiekach średnich.*

1. Województwo krakowskie . . . . . 1-50

*Lachner Fr. prof. Ornament roślinny w sztuce, zastosowany do przem.* —80

*Lepszy Leonard. Lud wesółków w dawnej Polsce* . . . . . 2—

Treść w skróceniu: Przeżytki pogaństwa w obrzędach i zwyczajach,  
tudzież humor ludowy. — Misterya. — Zacy w roli wesółków. — Wesółkowie  
zawodowi. — Konik zwierzyński. — Błazny i t. d.

— *Wspomnienia artysty.* Urywki z pamiętnika. Wydanie wytworne, z wi-  
nietami i 18 rycinami Edw. Lepszego . . . . . 3—

— *Cech malarski w Polsce od wieków średnich do końca XVIII w., przy-  
czynek do historii sztuki. Część I z 6 autentycznymi rycinami* . . . . . 3—

*Lutostawski W. O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona str. 165* . . . . . 4—

*Manteuffel G. Dorpat i były Uniwersytet dorpacki.* . . . . . 4—

*Markiewicz B. ks. prof. sem. duch. O wymowie kaznodziejskiej, str. 543* . . . . . 8—

*Matlakowski Władysław. Budownictwo ludowe na Podhalu. 4-to z 28  
tablicami i 25 rysunkami w tekście* . . . . . 15—

*Mayet Klaudyusz M. ks. Anioł Eucharystyi czyli żywot Maryi Eustelli* . . . . . 3—

*Michalska K. Ozdoby z kwiatów, dziełko przyozd. 28 pięknymi ryc.* . . . . . 1-20

*Milewski Józef, prof. Uniw. Budżet i kredyt publiczny, roztrząsania finansowe  
i polityczne* . . . . . 4—

*Mycielski Franciszek, prezes Tow. roln. Nasze rolnictwo i przemysł* —80

*Piekosiński Fr. Dr. Płeczące polskie wieków średnich, część I, Doba  
piastowska, z kilkuset pięknymi rycinami* . . . . . 10—

— *Heraldyka polska wieków średnich* . . . . . 15—

Autor podaje tu wyczerpujący opis wszystkich znanych mu, naszych  
średniowiecznych herbów (z wielu rycinami).

— *O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu. Z 20 tablicami. Tom I.  
Wydanie II powiększone* . . . . . 10—

Tom II obejmuje dwanaście pierwszych pokoleń rycerstwa polskiego  
wieków średnich, z licznymi rysunkami w tekście . . . . . 10—

Dzieło niezbędne dla każdego, kto studjuje polską heraldykę.

— *Sredniowieczne znaki wodne (filigrany). dwa zeszyty in folio z licznem  
tablicami autografowanemi* . . . . . 10—

— *Kamienie mikozyńskie, str. 73, z 9 tablicami rycin* . . . . . 2-40

— *Studia, rozprawy i materiały z dziedziny historii polskiej i prawa pol-  
skiego tom I. z rycinami* . . . . . 10—

Treść: I. Kamienie mikozyńskie. II. Ludność wieśniacza w Polsce.

III. Kodeks dyplomatyczny, zbiór dokumentów średniowiecznych.

*Poe Edgar Alan. Przygody Artura Gordona Pyma.* Jedna z najciekawszych  
powieści poczynnego autora amerykańskiego . . . . . 2—

*Ramult Stefan. Statystyka ludności kaszubskiej z mapą Kaszub. Obszerny  
tom o 290 stronicach* . . . . . 8—

*Rehmann Ant. prof. Uniw. Tatry pod względem fizyczno-geograficznym.  
Z 2 mapkami* . . . . . 4-80

*Rostafiński J. prof. Uniw. Słownik polskich imion rodzajów oraz skupień  
roślin, poprzedzony historyczną rozprawą o źródłach. (Słownik łacińsko-polski  
i polsko-łaciński). Znacznym tom o 900 stronicach* . . . . . 10—

— *Symbola ad historiam naturalem medii aevi, dwa obszernie tomy* . . . . . 14—

*Rychlak Józef ks. Dr. Złe moralne a natura ludzka* . . . . . 1-20

*Rzepiński Stan. Grecya, wspomnienia z podróży odbytej na wiosnę  
w roku 1896* . . . . . 1—

Gebethner i Wolff w Warszawie.







Biblioteka Uniwersytetu  
MARI CURIE SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

B99436

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000174957